

Biblioteka  
Główna

1243346

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

1243347

KŁOCEK

Biblioteka Główna UMK



300049108548

Dr. Tripplin

WSPOMNIENIA

z

Ostatnich Podróż

1-2

Malinowskiej Głici

WSPOMNIENIA  
z  
OSTATNICH PODRÓŻY.



WESTPHALIA

ESTATNICH PODROZY

1071540

WSPOMNIENIA  
Z  
OSTATNICH PODRÓŻY

D<sup>ra</sup> Teodora Triplina

TOM II.

JEROZOLIMA. ŚWIĄTYNIA SALOMONA. KOŚCIÓŁ Ś. GROBU  
BETLEHEM. OGRÓD SALOMONA. KLIMAT-CERES-POMONA-FAUNA  
PALESTYNY. ODWIECZNE WODOZBIORY. JERICHO. JORDAN.  
MORZE MARTWE. KLASZTOR Ś. SABY. HEBRON.  
CHOLERA AZYATYCKA W JEROZOLIMIE.

---

WARSZAWA.

NAKŁADEM AUTORA.

W Drukarni Alexandra Ginsa.

Nowozielna № 37 (1064 D).

1878.



## ROZDZIAŁ I.

### Jeruzalem.

---

Tylko dwa miasta wywarły na serce moje wrażenie niczem nie zatarte i tak głębokie, że sama ich nazwa już mnie wzrusza i nerwy moje, wcale zbytnią wrażliwością niewyposażone, do drgania i prawie do brzęku pobudza.

Temi miastami nie był ani Paryż wrzawliwy, ani też ów *bogobojny* Rzym, tylko uroczy cichością Kraków i ponura Jerozolima.

A dla czego?

W pierwszym mieście dzieckiem prawie szukałem i znalazłem kolebkę ducha mojego, a w drugim szukałem i znalazłem, w wieku prawie już podeszłym, ulgę na cierpienia obolałej duszy mojej.

Niebyłbym napisał tej książki, gdybym tej ulgi nie był znalazł, na cóż bowiem wyjawiać swe najtkliwsze myśli i wystawiać je na krytykę i zganienia żyjącej gawiedzi, kiedy się niema nadziei stać się tej dzięki odwadze użytecznym społeczeństwu?

Smutna to rzecz, że szczerze, serdeczne, poczciwe myśli człowieka, chcącego niezależnie służyć publiczności, przechodzić muszą przez przetak ludzi zaprzędanych, lub też jedynie złością i zazdrością ożywionych; smutna to rzecz, że nad natchnieniem człowieka kochającego spokój, porządek i pracę, muszą czuwać nożyce trwogi i żądła systematycznej niesumiennej nagany. Lecz się dla nadziei jakiegokolwiek bądź pożytku dla ludzkości poddajemy temu srogiemu losowi, tak jak

się Chrystus poddał bolesnej śmierci — i ogłaszamy co myślimy w kształcie, w jakim nam pozwolono myśleć.

\* \* \*

Jerozolima dziś mała, bardzo nieczysta, znikczemniała, jest jednakże punktem centralnym, stolicą całego świata istotnie oświeconego, który tak się chętnie chyli przed potęgą wiecznego, ciągle żywego słowa, przemówionego po raz pierwszy przez Chrystusa: „wszyscyśmy bracia, a tylko jeden jest Panem, który jest w niebie“.

„Jesu Cristo puro-assoluto— solo!“ mówił mi w chwili rozstania poczciwy Jezuita, ojciec Soragna, dawny kapitan kawaleryi; jego pojmuję najzupełniej, lecz i to wiem, że *on* nie pojmuję na jakie bezdroża wpuścić się może zwolennik Chrystusa, niechący się kierować prostym, pojedynczym sposobem myślenia i działania. On widzi piękno a tego nie pojmuję, że zubożeniem piękna człowiek intrygujący, przewrotny, może doprowadzić łatwowiernego do zubożenia brzydoty. Któżby to mógł, choćby na jedną chwilkę, wyobrazić sobie, jeśli nie ma w zarodku swoim rozdwojonych, rozstrojonych, niestałego charakteru myśli, przekonań, chęci, dążeń? Chętnie umiera dla swego przekonania człowiek szlachetny, tak jak umierał Chrystus, lecz jakże tę gotowość dać ludziom, którzy się nigdy nie nauczyli szukać szczęścia, mocy wyrzeczenia się czegokolwiek bądź? którzy przyzwyczajeni są biedz na oslep za popędem swych namiętności? nad którymi nie tronuje przekonanie, że nie są zwierzętami, lecz stworzonymi na obraz Boga istotami?

Te myśli zrozumiałe, lecz może niepoprawne i niestosowne dla usposobienia chwilowego ludzkości, wykwitły mi w duszy, gdym się z minaretu meczetowego na górze oliwnej przypatrywał Jerozolimie. Meczet jest wzniesionym na wklęsłości, którą w skałę pozostawiła prawa stopa Chrystusa, gdy się On wznosił własną wolą do Nieba, z którego dusza Jego przybyła w chwili zwiastowania. Mahomet uczcił ten ślad

wielkiego, niezaprzeczonego przezeń czynu, pomnikiem okazałym, w pięć wieków po wniebowstąpieniu, i ten pomnik stoi do dziś dnia. Nie jest mi wiadomem, czemu Cesarzowa Helena, świętą mianowana, tak dbała o pamiątki Chrystusowe, nie uczciła tej pamiątki żadnym długotrwałym pomnikiem.—Niewiem też dla czego tyłu innym, mniej ważnym, dała pierwszeństwo, lecz o tym przekonany jestem, że Muzułmanie tu pilnujący meczetu, wierzą szczerze w ten cud, i że im się zdaje, iż święciej jest wstąpić do Nieba piechotą, niż konno, jak to zrobił Mahomet.

Był tu młody, niezwykle postępowy Iman, którego tutaj wysłał za karę Szeik-ul-Islam, za jego wolnomysłne tendencje. Znano go dobrze w klasztorze Ojców Franciszkanów, i to ośmieliło młodego ojca Gaudentego do wybrania się zemną, z kilku innymi Polakami i Alfredem Stick, na wycieczki na górę Oliwną i do ofiarowania ukradkiem mszy świętej, na śladach stopy Chrystusowej, w chwili, gdy ja zabawiałem Imana po za meczetem rozmową moją, doskonałem cygarem i kawą, prawdziwą Mokka, którą sporządziłem w oka mgnieniu, za pomocą maszynki spirytusowej natychmiastowej, przywiezionej z Londynu przez pomocnika mojego, Alfreda. Ani się spodziewał Iman jak ojciec Gaudenty Słowikowski odbył mszę, cokolwiek per Dominum pstrum, lecz całkowicie w poruszeniach, giestykulacyach i tempach, co było najważniejszym. Rozumie się, że przyniósł z sobą Hostyę, mszał, piksydę, kielich, ampułki, patynę, *dalmatykę*, komżę, a przede wszystkim wino i to w dość sporej butelce — kwatereczkę, wino Betleemskie naturalnie, bo to zresztą i wyborne co do smaku, a zaś najświętsze, prawdziwie relikwiowe, co do pochodzenia.

Nie byłem obecnym na tym świętym obrzędku, bom musiał zabawiać młodego Imana, ani Alfred także się na Mszy nie znajdował, bo musiał kawę warzyć w przedsiönku minaretu, lecz to muszę poświadczyc, że ziomeków naszych głęboko wzruszył ten akt, tak święty i tak śmiało dokonany przez ojca Gaudentego,—bo to była w analach Chrystianizmu zanotowana dopiero trzecia Msza, ukradkiem odprawiona na



tem pamiętnem miejscu. To też ojcu Gaudentemu, dawnemu wojakowi, aż oczy zbiełały z świętego, łatwo pojąć się dającego zadowolenia i widać było po nim, że mu dusza krzyczała: *has ego feci res, quas nemo audebat*.

Potem pił z Imanem kawę, zawarł z nim przyjaźń, ja dolewałem ukradkiem araku jednemu i drugiemu, ad majorem amicitiae gloriam, i na tem się skończyło, że obaj śpiewali: *gaudeamus igitur juvenes dum sumus*, lub coś podobnego.

„Ogni paese contrada, ogni prete inganno!“—mówi bardzo stare przysłowie włoskie.

\* \* \*

Poszli — ja pozostałem z Alfredem i z murzynką, nieodstępną naszą towarzyszką, która już bez nas ani żyć, ani oddychać nie może. Dziwny to rozwój odbywa się w tej młodej, zaledwie do samowiedzy przyszelej duszy: dzieckiem jest, bawi się jak dziecko z matkami, lecz jak tylko może mówić z temi, którym ufa, o Bogu, o duszy, o przyszłości duszy— wówczas rzuca zabawki, kwiatki, dzieci, ptaków, piesków, kocięta, wtenczas wytrzeszcza owe coraz większe, roztropne, chciwością wiedzy palające oczy, wówczas nadstawia uszy i serce, otwiera swą duszę i pochłania wyrazy wieczne, których nas nauczył Chrystus.

Pozostaliśmy sami, bo Iman się upił i spać poszedł, tamci zaś pobiegli do Jerozolimy — na śniadanie.

Pozostaliśmy sami i patrzeliśmy na ten gród, w którym się spełniła największa zbrodnia, jakiej świat był widownią.

Tu zazdrośni ludzie, Faryzeusze, chciwi bytu świetnego a próżniackiego, zbuntowali ciemny lud, aby się domagał śmierci dobroczyńcy swojego; tu wysoki dygnitarz rzymski umył ręce, a jednak zezwolił na śmierć sprawiedliwego. Złość, nikczemność i obluda w trzech osobach, — trzy potęgi szatańskie skupione w jednej chwili, w tymże samym punkcie ziemi,—w jej centrum, jak świadczy kamień w posadzce kościoła greckiego.

I tak żydzi zabili Messyasa swojego i cieszyli się mękami jego, a Rzymianin proszony o wodę, dał mu octu, aby tem przedłużyć męki jego, drugi zaś przebił mu bok, ale nie ten, w którym bilo serce: nie chciał mu skrócić życia, pragnąc tylko dodać mu bólu.

Wstapiliśmy na najwyższy punkt całej Judei, to jest na szczyt minaretu, co swą wzniosłą kopułą pokrywa ślad stopy opuszczającego ziemię, a wstępującego do nieba Jezusa Chrystusa, który w tej chwili przestaje być synem ziemi i staje się dla nas wszystkich Bogiem.

Patrzemy na około siebie,— tyle obszaru nie zobaczy nikt na tym świecie z żadnego punktu ziemi, żeby nawet widział jednym rzutem oka Ocean Atlantycki i Spokojny razem; takie miejsce istotnie znajduje się na międzymorzu Panamy.

Tam nie byłem, lecz widziałem Bałtyk i Morze Północne razem z Danii, Morze Północne i Ocean Atlantycki razem z Norwegii,—ostatni z Morzem Śródziemnym w Gibraltarze,—morza Śródziemne i Adryatyckie ze szczytu Apeninów Neapolitańskich, morze Śródziemne i Czarne w Konstantynopolu,—lecz nie wiedziałem że jest na świecie punkt, z którego można widzieć morze Śródziemne i morze Martwe jednocześnie.

Na tym punkcie stoję teraz zadziwiony i wątpię nie mogę, że widzę jedno i drugie.

Widzę więcej, widzę od północy góry Garibii i Ebal pod Sichem, widzę nawet góry Galilei, gdzie się wychował nasz jedyny Pan, Chrystus. Na południe widzę Betlehem, ogrody Salomona i sławny Hebron, gdzie spoczywają zwłoki Abrahama, Izaaka i Sary.

Na zachodzie przedstawiają się oczom moim góry Ephraim, dolina Saron i kraj Filistynów i Mediterraneum, widzę nawet przez dobrą perspektywę, pomimo dwunastomilowej odległości, parostatki na niem bujające. Od wschodu wita mnie widok Jerycha, Jordanu, Martwego morza i tam owych gór Nebo, z których tęsknie na Palestynę spoglądał Mojżesz, nie śmiejąc na nią stąpić, poczuwając się może do jakiej winy.... dość, że sumienny ten człowiek nieczuł się godnym

tego. Utrzymują historycy, że z powodu trądu on i jego siostra uważali się za niegodnych tego wielkiego szczęścia.

Widzieliśmy cztery światy. Zstępujemy na ziemię, matkę naszą i na niej siadamy znużeni.

Na tem samem miejscu siedział Chrystus, prawie dziewiętnaście wieków temu, i ujrzawszy miasto, które kochał, płakał nad niem mówiąc: „O gdybyś poznało i ty, co jest ku pokojowi twojemu! lecz ty zakrywasz oczy swoje“!

„Albowiem przyjdą na cię dni, gdy cię otoczą wrogowie twoi, ścisną cię w murach i zrównają cię z ziemią i uduszą dzieci twoje, i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dla tego, żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego“.

Pewno jego zapłakane oczy spoczywały wówczas na Sionie, na okazałym grobie króla Dawida, przodka Jego, i na ogromnym gmachu największej w świecie świątyni, wystawionej przez Salomona, *której część obszaru* zajął meczet Omara, jeden z największych, lecz w porównaniu z dawną świątynią Salomona, wyglądający jak kapliczka.

Wówczas Sion był okazale pięknym: mnóstwo złocistych i lazurowych kopuł świeciło nad miastem pomiędzy wysokimi palmami, sterczały groźne wieże zamku Dawidowego, pokryte spiżem, by im nie szkodziły deszcze, w rzece Kidron, dziś wyschłej, płynęła wówczas obficie woda; góry zaś okoliczne, dziś szare, rażące nagością i kształtami trumiennymi, pokryte były drzewami cudowne owoce wydającemi. Palmy, które dzisiaj prócz odrobiny cienia nic nie wydają, rodziły wówczas tak słodkie owoce, że z nich wyrabiano jakiś miód aromatyczny, sławny zaś na cały wtedy znany świat. Owego morza Martwego, którego wyziewy dziś trują, wcale nie było, znajdowały się tam tylko ogrody żyzne i jezioro słodkiej wody, równie rybne, jak jezioro Genesaret.

Ziściła się przepowiednia w krótkim czasie. Żydów rozproszono. Tytus wysłał ich chmary ogromne do Rzymu i żywił nimi owych olbrzymich węgorzy, zwanych murenami, pielęgnowanych w jeziorze Albano. Codzień

im rzucano dwóch najzdrowszych, najtłustszych żydów, zupełnie żywych; naturalnie śmiano się serdecznie, widząc biednego Izraelitę drgającego pod zębami tych okrutnych ryb. Smakosze rzymscy przepadali za rybą karmioną potomkiem Dawida, nie wiedziano bowiem jaki z niego lepszy zrobić użytek.

Co to miasto upokorzeń doznało, od czasu popełnienia tej, o pomstę do Nieba wołającej zbrodni! Tytus Wespazjan, chociaż z resztą tak dobry, burzy im miasto od stóp do głów. Adryan, choć taki szlachetny, tak żyda nie cierpi, że chce pozbawić Jerozolimę jej imienia i jej gruzów: więc na jej miejscu stawia miasto Aelia Capitolina i poświęca je Jowiszowi. Żydowi za nic w świecie nie wolno wejść do miasta.

Na miejscu, na którym stała arka przymierza, Adryan wznosi własną swą statwę. Z chrześcian także się uraga ten tak piękny, jak szlachetny cesarz: na miejscu grobu Chrystusa, umieszcza statwę Jowisza, na Golgocie, na której On umarł z miłości dla rodu ludzkiego, piękny Adryan wznosi statwę Wenery, a w Betlehem, tam gdzie Marya daje życie Chrystusowi, wystawia posąg Adonisowi. — Tak sobie drwił z chrześcian ów cesarz, który pierwszy odebrał właścicielom prawo życia i śmierci nad niewolnikami, czego nawet przechwalony August nieśmiało uczynić.

Lecz Konstancy i matka jego, św. Helena, kazała zniszczyć w Jerozolimie te pamiątki bałwochwalstwa. Bogobojna cesarzowa zaludniła Jerozolimę kościołami i kaplicami. Nigdy to miasto nie przestawało być celem pielgrzymek, lecz od czasów św. Heleny, schodzone się do Jerozolimy z najodleglejszych stron świata, i karmiono się duchowością z tego olbrzymiego grobu wykwitłą.

Początek 6-go stulecia miał być znów zgubnym dla tej miejscowości. Wzięta przez Persów, odzyskana przez Greków, zagarnioną została w 637 r. przez Arabów, któremi dowodził Omar. Potem w r. 1040 nieszczęśliwe to miasto zalaniem zostało przez hordy tureckie, dopuszczające się najhaniebniejszych gwałtów, których Arabowie nigdy nie popełnili.

Chrześcijanie tu jeszcze przebywający, lub przybywający, doświadczyli najsroźszych prześladowań. Te nowe srogości wywołały nareszcie oburzenie w państwach zachodnich, już szczerze chrześcijańskich, ztąd powstały Krucjaty, w których nawet królowie polscy brali udział. Jerozolima zdobyta przez Gotfryda de Bouillon, staje się stolicą królestwa Jerozolimskiego. Lecz ją w sto dziewięćdziesiąt lat potem Saladyn odbiera chrześcijanom. Cesarz Fryderyk II staje pod jej murami roku 1229, a sultan Egiptu sprzedaje mu ją. Emir Dawid odbiera ją dziesięć lat potem, i jeszcze raz jest oddaną chrześcijanom w roku 1243, lecz już w rok potem wpada na zawsze w ręce muzułmanów, pod których władzą pozostaje do dziś dnia. Znika następnie jej znaczenie do tego stopnia, że nią dowodzi urzędnik, mający rangę naczelnika powiatu. W roku 1824 spisek mieszkańców odbiera ją Turkom na tygodni kilka, lecz niedługo potem Basza turecki przybywa i zmusza mieszkańców do kapitulacji.

Nowa przyszłość zdawała się otwierać dla Jerozolimy, gdy Pasza Egiptu, Mehemed-Ali i jego dzielny syn Ibrahim postanowili odbudować Państwo arabskie na zgliszczach części państwa tureckiego. Jerozolima i cała Syrja wpadły w ich organizujące ręce w r. 1831, a zwycięstwo ich pod Konia, roku następnego, zdawało się poruczać im losy całej Turcyi. Przez ośm lat, jak to już wyżej wspominaliśmy, Syrja i Palestyna używały błogosławieństwa organizującego rządu. Lecz Anglja chciała pozostawić Turcyą w rękach niedoleźnych i uzyskawszy pomoc Rosyi, Austryi i Pruss, wytoczyła egipskim organizatorom nieublagany bój, oddała Turcyi Syrję i Palestynę, zbombardowawszy Beyrut i Akre (1840).

I porządek znów panował w Azji mniejszej, — porządek turecki, — rozumie się, — lecz Turcyja dobrze zapłaciła za pomoc, i od tego czasu kuleje na wszystkie cztery nogi, lubo ją Anglja, Francya, a nawet Piemont, w r. 1854 z tej, zdaje się, niewyleczonej choroby, podreperować chciały.

Władza Turcyi w Syrii i w Palestynie jest atoli więcej pozorną niż rzeczywistą, panuje ona, lecz nie

rządzi, nie posiada bynajmniej tego uroku władzy, który jej nadaje moc i siłę, w nieobecności wojska. Pasza sprowadza sobie rok rocznie bataljon wojska z Damaszku przed burzliwymi świętami wielkanocnymi, podczas których zbiega się tutaj do dwudziestu tysięcy chrześcijan, rozmaitej barwy i rozmaitych wyznań i staje się powodem nieporządku, rozterek, bitw i zabójstw, nawet w samym wnętrzu kościoła Świętego Grobu. Będziemy mieli sposobność przypatrzania się tym walkom w tej świątyni zgody i miłości chrześcijańskiej, lecz własnym oczom nie damy wiary, nie pojmiemy nigdy, że katolicy rzymscy wierzą w pewne cuda, które tylko księża greccy mają prawo wykonywać we wnętrzu samym grobu Chrystusowego.

Podczas obecności tych ośmiuset żołnierzy, jaki taki porządek panuje w Jerozolimie, a nawet w najbliższej okolicy, lecz po powrocie ich do Damaszku, Pasza nie jest w stanie za nic odpowiadać i nie rusza się z swego pałacu,—z pałacu króla Heroda. Jednym słowem, Turcyja jest istotnie jedną z potęg, która panuje w Palestynie, lecz są tu inne potęgi, które jednocześnie panują. Każde plemię arabskie i beduińskie zachowuje pewną niezależność i samo sobą się rozporządza; są tu całe wsie, które płacą podatek nie Sultanowi, ale jakiemuś Emirowi beduińskiemu,—a wiele jest miejsc w tym kraju, w których reprezentant Wysokiej Porty jest tak dobrze złupionym, jak każdy inny podróżny, jeżeli wprzód nie wejdzie w ugodę z Beduinami i jeżeli się nie okupi. Podczas mojego pobytu w Jerozolimie, pomimo znajdujących się tam żołnierzy tureckich, dwa plemiona arabskie były się zacięte pomiędzy sobą, w okolicach Hebronu, a jednocześnie ten sam Szeik doliny Kirial-Yearim, któregośmy mieli przyjemność poznać w ciągu naszej ostatniej podróży z Ramleh, uorganizował sobie dość liczną bandę łotrów i korzystając z okoliczności, rozbił kilka bogatych karawan ciągnących do Jerozolimy. Osiadł potem w zamku zwanym *dobrego rozbójnika*, nasz interessujący Abu-Gosz, Szeik Kiriał-Yearimu i począł sobie żyć na stopę udzielnego księcia, przejmując wszelkie komunikacje pomiędzy Jaffą a Jerozolimą. Jak się z bogaci łupem,

to sobie prysnie gdzieindziej, gdzie go ramię tureckie pewno nie dosięgnie, a jak straci to co zyskał, to wróci niespodzianie i odbije się znów na chrześcijanach. We wsi Kuryet-el-Anab, o dwanaście wiorst od Jerolimy, panuje znów inny rabuś i pobiera forsowne bakszysze od podróżnych. To samo co istniało kiedyś w Europie, a mianowicie w Niemczech za czasów Burgrafów i Baronów, organizuje się obecnie w Palestynie, ogolocoonej z wojska, bo wszystkie koncentrują się w Armenii tureckiej i w Turcyi Europejskiej, zagrożonej wojną. Ten *modus vivendi* nie jest zresztą wcale tak nowym, istniał zawsze pod każdego słabego sultana panowaniem. Widzimy tu miasta niezależne, ani od rządu, ani też jedne od drugich, a pomiędzy temi miastami, plemiona koczujące na schyłkach gór i pomiędzy jaskiniami i przebiegające kraj w różnych kierunkach, ze swemi licznemi stadami, tam gdzie jest pasza i woda, i wiodące bój zacięty o jaką studnię, lub o jakieś źródło. Tak też i było w najdawniejszych czasach, wiemy, że Abraham i jego syn Izaak wiedli bój zacięty z Abimelekiem, że Dawid swarzył się ciągle z Filistynami, nim został królem. Wschód nie starzeje się nigdy, wszystko co w nim było odnowić się może, — państwa i instytucye rodzą się tam i upadają jak wszędzie zresztą, lecz obyczaje nie zmieniają się tam nigdy; rassa zaś Izmaïła zdefiniowaną już została doskonale przez Genezę, jest to rassa do postępu niezdolna, niesforna i nieufna, i tym własnościami tak ujemnym zawdzięcza długowieczność swej narodowości. Izmael będzie srogim człowiekiem jak osioł dziki, ręka jego przeciwko wszystkim, a ręka wszystkich przeciwko niemu (Genesis XVI—12). Oto jak go zwiastował Anioł Agarze, przepowiadając jej syna, którego porodzi. Przyznać należy, że w owych czasach, aniołowie nie silili się na grzeczności względem dam, chociaż przepowiadali prawdę, bo potomkowie Izmaëla istotnie nie przestali być srogimi i dzikimi osłami.

Po stoku wschodnim Góry Oliwnej zeszlśmy aż do Betanii, gdzie Zbawiciel wskrzesił przyjaciela swego Łazarza, brata Marty i Maryi Magdaleny. Betania, dziś zwana El-Azarigeh, jest teraz jeszcze ładną, kwie-

cistą osadą, mającą 500 ludności daleko mniej dzikiej i obszarpanej od ludności innych miejscowości blisko Jerozolimy, mianowicie od ludności Silloë, słynnej od lat kilku tysięcy z hałaśliwości i brutalstwa. Oglądaliśmy grób, w którym leżał umarły, a nie w letargu pogrążony Łazarz, bo przecież wyraźnie stoi w Piśmie, że ciało jego już uległo rozkładowi. Oglądaliśmy także gruzy pałacu Magdaleny, która sobie żyła na pańską stopę.

Na tych gruzach rośnie mnóstwo pachnących krzewów i kwiatów... W ogólności zastanowiła mnie bogata i bujna roślinność tego miejsca, zasłoniętego od północy i zachodu, a wystawionego na ciepłe powiewy wschodu i południa. Pan Boissier, znakomity botanik zaręcza, że mniej jest różnicy pomiędzy roślinnością Jerozolimy i Rzymu, jak pomiędzy florą Jerozolimy i Betanii. I tak jest w istocie, tutejsze palmy daktylowe wydają już owoce zupełnie smaczne, mogące iść w porównanie z daktylami Talifetu i Mekinezu, w państwie Marokańskiem. Euphorbia Palma Christi dochodzi tutaj do rozmiarów olbrzymich i ma liście pięciopalczaste, czerwone, dwa razy większe od ręki największego niemca, wiemy bowiem, że niemiec słylnie z ogromnych rozmiarów swej ręki. Z pestek tej rośliny wygniatają tu rycinowy olej, z którym jeżeli jest świeżym, mieszkańcy tutejsi jedzą sałatę, nie wystawiając się tem wcale na żadne niedogodności. Rośnie tu także przesliczna roślina, Umbellifera Ferula Assafoetida, której sok nie tylko nie sprawia obrzydzenia Bethaniankom, owszem, używają go do potraw, jak czosnek lub cebulę. Istoty te, dopóki są młode, wcale dobrze wyglądają, lecz mają w sobie coś *magdalowego*, zaledwie mogłem obronić Alfreda Stick przed ich natarczywością, rumienił się biedny Anglik jak gotujący się rak, Azzima zaś gorszyła się i nawet w złość wpadała.

By uniknąć dalszych poufałości, musieliśmy się udać do kawiarni tureckiej, w której było kilku żołnierzy i gdzie w ogródku Azzima urznęła sobie dobry pręt, by nim bronić cnoty ucznia swojego, tak sumiennie pojmowała swoje obowiązki. A może też była już



zazdrosną! Z rozwojem duszy następuje i rozwój uczuć i namiętności — niestety!

Musieliśmy wrócić do Jerozolimy, już nie drogą prowadzącą pomiędzy ogrodem Getsemani i grobem N. P. Marji i bramą S-go Szczepana, lecz przez dolinę Józefata i bramę Mogrebską, do naszego mieszkania położonego w najbrudniejszej i najludniejszej żydowskiej dzielnicy miasta, gdzie w samym szpitalu izraelskim zająłem mieszkanie dotychczasowego dyrektora, mieszkającego teraz z nowo-zaślubioną żoną, w pięknym domu teściowej, wdowy po dość majątnym bankierze.

Mieszkanie to składało się z dwóch pokojów parterowych i kuchenki, z dwóch pokojków na pierwszym piętrze i — z dachu, na którym także mieszkać było można, był bowiem jak prawie wszystkie dachy na wschodzie i w Neapolu, płaskim.

Ogród szpitalny, niewielki wprawdzie lecz piękne zawierający drzewa, krzewy i kwiaty, służył nam za przechadzkę i miło w nim było w godzinach, w których się po nim nie przechadzali pacyenci lub pacjentki, których naturalnie razem nie wpuszczano tutaj, żeby sobie nawzajem krwi nie psuli. Alfred zajął pokoje na piętrze, ja z murzynką zająłem dolne, objadowaliśmy zaś wszyscy na dachu, jako na neutralnym gruncie, którego część była zasłoniętą płótnem żaglowem.

Powietrze w tym domu nie odznaczało się czystością, — bliskość szpitala nie jest nigdzie wygodną rzeczą, niewiem jak to wytrzyma młoda murzynka, przyzwyczajona do oddychania czystym powietrzem. Lecz ona zaręcza, że wszędzie jej będzie dobrze smną, że się nie brzydzi choremi, bo przecież sama była chorą, i że powietrze zbyt czyste, wcale jej nie służy, że o tem wie bardzo dobrze, chociaż to brzmi dziwnie. Co do tego, miała słusność, powietrze zbyt czyste, zbyt świeże i kwasorodne nie służy osobom, których płuca są rozdrażnione lub w stanie zapalenia. Widać, że się ta młoda dziewczyna już spostrzega, że nie jej uwagi nie uchodzi, — widać, że jeszcze jest chorą.

W kuchni nie dajemy jej wiele pracować,-- co rano przychodzi jedna z posługaczek szpitalnych i najtrudniejszą część pracy domowej wykonywa.

Szpital jest urządzony na 120 osób, a chorych, obu płci pozostających obecnie w szpitalu jest 47. Lekarz jako wynagrodzenie pobiera lokal wolny i czwartą część piastra na dzień, a zatem franka za dziesięciu chorych. Przytem za każdego wyleczonego dostaje 50 piastrow, to jest 10 franków. Oprócz tego opał, światło, i — kwartę dobrego rosółu, jakoteż trzy funty chleba dziennie. Najmniejsza liczba chorych od lat sześciu, od czasu jak istnieje szpital, spadała na 22, najwyższa 120, przed dwoma laty podczas cholery i przetrwała w tym stanie przez dwa miesiące, lecz za każdego umarłego wytrącają dyrektorowi półtrzecia franka, co jest dość uciążliwym, podczas cholery zwłaszcza, kiedy często w jednym dniu umierało do ośmiu chorych. Od wielu tedy przypadkowości zależał biedny lekarz szpitala Izraelitów, tak dziwnemi rządzonego prawami, mógł się zadłużyć u administracji szpitalnej, lecz z głodu, z zimna i z braku dachu przepaść nie mógł.

Takich szpitali tem samem prawem rządzonych, było dwa, na ludność przeszło siedmio-tysięczną żydów, zamieszkałych w obrębie bardzo szczupłym, bo w szóstej zaledwie części obszaru całej Jerozolimy,— reszta zaś ludności dochodziła zaledwie do ośmiu tysięcy w czasach zwykłych, gdyż liczba ludności niestalej dochodzi w czasach wyjątkowych, zwłaszcza podczas świąt wielkanocnych do 15,000, tak, że trudno znaleźć dla niej pomieszczenie w mieście, które okrążyć można wcale się nie śpiesząc, w godzinę. Do takich szczupłych rozmiarów doszło teraz miasto, którego ludność w czasie największej świetności, miała przechodzić pół miliona.

Mury dzisiejsze Jerozolimy zostały wzniesione od r. 1536 do 1539 w czasie panowania Solimana II-go syna Selima, szerokość muru dochodzi czterech stóp wysokość jego jest nierówna, nigdy jednak nie przechodzi trzydziestu stóp, a w niektórych miejscach, gdzie miasto już z natury obronne, wysokość ta jest o wiele mniejszą. Nie raz, lecz raczej ze dwanaście razy, okrą-

żyłem miasto po samych szczytach muru; może nie ma w świecie przechadzki, któraby w krótszym czasie mogła wzbudzić większy poczet myśli i wspomnień i dać lepsze wyobrażenie o położeniu miasta, i o jego kształcie. Z bramy zachodniej, przez którą się wychodzi do Betlehemu, aż do wschodniej, która panuje nad ogrodem Getsemane, potrzeba nie więcej jak pół godziny czasu, przekroczyłeś starodawny gród Dawida i szczyt góry Sionu, widziałeś spód przepaści Gehenny, podziwiałeś świeże plantacye skropione źródłem Gilloy, widziałeś groby doliny Józefata, okoliłeś mury świątyni Salomona i byłeś tuż obok przy stawie Betezdy i obok pałacu Poncyusza Piłata. Samotność tu panuje, nikt twoich myśli nie przerywa toków, bo nikogo nie napotkasz. Tylko około bramy Jaffy spotkałem kilka osób, są to Frankowie, to jest chrześcijanie europejscy, tu podróżujący i tu się zwykle zbierający wieczorem. W piątki i w święta zoczysz także w ogrodach, które przeżyna droga do Damaszku, kilkanaście kobiet muzułmańskich, tak dobrze otulonych w płaszcze białe, że nie wiesz czy są stare czy młode, piękne lub brzydkie, ale to wiesz, że ćmią tytoń, bo charchają nargilami i dym wychodzi z pod jaszmaków. Dziwiło mnie, że nie było więcej dzieci pomiędzy temi ćmiąciami kadynami, ale kobiety lubiące palić i marzyć, nie przepadają za dziećmi, umieją się bez nich obejść.

Mur obronny otaczający Jerozolimę, ma kształt mniej więcej czworoboczny, dość nieregularny, bok północny dłuższy jest od trzech innych. Wyłamano w nim siedm bram, lecz dwie z nich zamurowano, a jedna jest prawie zawsze zamkniętą, cztery odpowiadające czterem stronom świata, są otwarte od wschodu do zachodu słońca, lecz dla spóźnionego podróżnego, otwierają się za dobry bakszysz, za jakie dziesięć piastów przynajmniej.

Kilka razy te mury zostały zburzone, kilka razy znów wzniesione, lecz nie zawsze i wszędzie na tychże samych fundamentach. Od strony wschodu i zachodu, zdaje się, że ich kierunek nie uległ zmianie, bo je odgranicza od wschodu dolina Józefata, a z zachodu przepadziście Hinnomei, tworząca tu naturalną fosse. Lecz

ze strony południa miasto znacznie skrócono, bo cała góra Giono została wyłączoną z jego obrębów, a ze strony północy, pół wzgórza Moriah również odcięto. Jeszcze teraz można znaleźć ślady muru okrężnego, za czasów Tytusa zburzonego. Biblia nam mówi, że Salomon, wystawiwszy świątynię, połączył ją z murem i fossą, i, że zasypawszy doły miasta Dawidowego, saequavit oraginem urbis Davidi, na tym nowo zdobytym gruncie wybudował nową dzielnicę.

Później, jak się miasto zaludniło i powiększyło, trzeba było wzniesć drugi mur zewnętrzny, następnie nawet i trzeci, lecz za ledwie to się dokonało, gdy nadeszła kara Boska w postaci Tytusa Wespazjana.

I runęły świątynie, zamki i mury, oszczędzono tylko groby, dziś tylko te świadczą o dawnej potędze narodu, który,— przykro mi to powiedzieć,—zasłużył na bardzo wielkie upokorzenie, bo srogo się obszedł ze swoim Messyaszem, potomkiem Dawida, który życiodawczem słowem wydzwignął cały świat z toni i podniósł człowieka do godności syna Boskiego!

\* \* \*

Wróćmy do naszej brudnej, zaulkowej, hałaśliwej i strasznie cuchnącej dzielnicy starozakonnej. Oh! Pińczowie, jakże cię często wspominałem w Jerozolimie! — jak się pocieszałem doznaniem w twych wcale nie aromatycznych murach wrażeniami, dodając sobie odwagi dla zniesienia przykrości teraźniejszego mojego położenia. Niczego tu nie brakło dla wskrzeszenia w pamięci najlepszej istoty obrazów dawno ubiegłego dzieciństwa: był tu Jankiel z głową oblaną, Mosiek z kołtunem, były tu Siury ze świerzbą, Szaja z trądem, arcywerni przedstawiciele żydostwa rodzinnych stron moich. Darmo, kiedym się nie umiał podobać żydom zchrystianizowanym, uherbowanym, udekorowanym, tom powinien pokutować w Jerozolimie, służąc jej prawowiernym żydom za lekarza,—lecz, na nieszczęście, nie brakło i tu Jankłów, Mošków, Siur i Szajak, wcale nie kaukazkiego kroju, stroju i kolorytu, żydów i żydówek z cerą prawie czarną, z etiopskimi wargami, z abisyń-

ską welną na głowie, z murzyńskimi policzkami,—nie brakło tu żydów i żydówek, których krew musiała się tu koniecznie wślizgnąć kontrabandą, w godne poważania starożytnie i czyste (pod względem rassowym) plemię izraelskie. O córki Syonu! Matka waszego Zbawiciela, gdy przybiegła do waszego grodu, słysząc jakie niebezpieczeństwo zagrażało Jej synowi, nie była uznana przez was za siostrę dla tego, że znużona, spalona, śniada, wychudła i w stroju niedbałym przed wami stanęła. I wzgardziłyście nią. Ona zaś do was mówiła: „nie gardźcie mną, jestem czarną, lecz piękną — nigra sum, sed formosa—i jestem waszą siostrą.

Przebóg, o córki Syonu! teraz wy jesteście czarne i brzydkie, brzydkie, jak z całego serca życzę, żeby był grzech dla każdego z mych bliźnich.—Tak jest, jesteście czarne i zarazem brzydkie, szpetne, paskudne, brudne i obszarpane. Zkądże ta murzyńska cera? czy matki wasze lubią kontrabandę tak, jak siostry wasze w Kaliszu i na całym pograniczu Prus ją lubią? tylko, że to jakaś kontrabanda *vitalis* musiała tu *sztadfindować*, jak mówią żydzi galicyjscy, którzy *sztadfindują* w Krakowie dla geszeftowania *w wekslowaniu*. I dla was muszę się tu poświęcać za dwa franki na dzień i jeszcze płacić półtrzecia franka srebrem, jeżeli mi która z was umrze. Ale się nie obawiajcie o kontrabandę, wślizgnięte w poczet ludzi istoty,—będę was bez tego ratował, jak braci i siostry, bo was za takich uważam, dzięki Chrystusowi, którego matką niegdyś wzgardziły niewdzięczne córki Syonu. Ja nie mam prawa wykonywać wyroków Boga i krew nawet moja oddałbym by wam ocalić życie,—bo jestem chrześciani-  
nem, wychowanym w pierwotnej religii Chrystusa.

Już objąłem zarząd szpitala, już go mi zdał mój kolega i ziomek, Dr. Meyer. Nie jest on wcale krewnym swych dwóch imienników D-rów Meyer, których poznałem, będąc jeszcze dzieckiem w Kaliszu, i których mikstury, gorzkie i obrzydliwe, jeszcze tkwią w wiecznej pamięci mojego podniebienia i mojego srogiego języka. Ci Meyerowie byli z rodu spiczasto-nosych, zadarto-brodowych, chudych i małych, czarno-włosych Meyerów. — mój zaś kolega był Meyerem dużym,

okazałej tuszy, nosa krótkiego, grubego, brody okrągłej, szerokiej, włosa cokolwiek pozłacanego i sporych siwych oczu. On jest z wcale innej linii, — zaręcza mi,—tylko psipadkiem urodzowany w Kaliszu, ale wychowany w Wrocławiu na Smidegassie (ulicy Schmiedegasse) i bardzo krewnym pana Kalisch, redaktora Kladeradacza, który mu zawsze odpowiada drukiem w swojej bardzo wziętej, śmieszkowej gazecie, jak to można widzieć w odpowiedzi na list, który doń napisał w czasie wojny francuzkiej, pytając się o dwóch braci swoich, w wojsku pruskim służących.—„No, patrz pan kolega, co tu wydrukowano :

„An Herrn Director Dr. Abraham Friedrich Meyer in Jerusalem: Alles gut: der Itzig is in Gefangenschaft gerathen und der Mauschel liegt krank in Hospital. Sie sollen leben noch hundert Jahr“. No! —on tak dobry i serdeczny, ten kuzyn Kalisch z Kladeradacza, co go sam stworr-zył“.

Nowozamężna pani doktorowa jest ładną, fertyczną kobietką, z tej spiczastej czarnookiej i drobnej rasy. Cokolwiek zbyt drobna na takiego olbrzyma. Ale drobne żydóweczki przepadają za olbrzymami, i tym się na niebezpieczeństwo wystawiają. Szkodaby było tak ładnej córki Syonu.

Bardzo mi była wdzięczną za przysłany gościniec,—trafił jej do smaku, przybył właśnie w pożądaney chwili.

Tak dużych pomarańcz i granatów sam Ober-Rabin nie widział nigdy, i te co przyjął, włożył pod dzwon szklanny na pokazywanie. Chleb ptolomajski, chociaż cokolwiek kwaszony, był wysmienity, już nie może być lepszy na świecie. Konfitur z Karmelu — i król Salomon nie mógł jeść lepszych, a wino — wino, no to już prawdziwy koszerne nektar,—sam Ober-Rabin pił własnoustnie zdrowie wielmożnego pana Doktora, i mnie wszyscy byli wdzięczni za taką pamięć, za taki honor. To zaraz widzieć kto ma pańską edukację“.

Pani Meyer jest córką nieboszczyka pana Ehrligstein, rodem ze Lwowa, człowieka znacznie ucivilizowanego, który kazał uczyć córkę śpiewać i grać na pantalionie, ona tak zamięłowana w śpiewie, że nawet

nazajutrz po ślubie śpiewała: Wiktoria! Wiktoria!  
o welche grosse Wonne! zapewne na cześć królowej  
angielskiej.

Szosta część izraelitów, żyjących w Jerozolimie,  
pochodzi mniej więcej z kraju, w którym za czasów  
Kazimierza znaleźli przytułek. Miło mi przychodzi  
zeznać tutaj, że o mojej ziemi źle nie mówią, tak jak  
wołoscy i mołdawscy; nie uważają jej za macochę, —  
witają serdecznie wszystkich mówiących naszym języ-  
kiem. Macochą nie była ta ziemia dla nikogo, tylko  
dla tych, co się zubożonym żydom nie podobają.

Pierwszą moją prywatną pacjentką była pani  
Silberbaum, z którą znajomość zawarliśmy na morzu  
Czarnem. Quantum mutata ab illa! wcale nie źle i cał-  
kiem szlachetnie wyglądała w stroju czysto-polskiej  
bogatej żydówki, w błyszczących złotych perłach, wy-  
sadzanej łusce na skroniach, w turbanie białym z ga-  
zy jedwabnej na głowie, w niebieskich atlasowych sza-  
tach, ozdobionych koronkami. Prawdziwie było na co  
patrzeć i chlubić się tak okazałą ziomką. Przyszła  
powitać mnie macą sporym kugłem i dukatem z Ma-  
tką Boską, bitym za czasów Jana Kazimierza, który  
się znalazł jakby cudem pomiędzy jej kosztownościa-  
mi. Ona tak pragnęła serdecznie mnie nim poczęsto-  
wać i wywdzięczyć mi się za tyle starań poniesio-  
nych dla jej zdrowia. Bogu tylko i mnie, Jego narzę-  
dziu, zawdzięcza, że tu przybyła żywą i że znalazła ul-  
gę na swoje cierpienia na gruzach świątyni Salomona.  
I ona tak mówiła o mnie D-rowi Meyer i skłoniła go  
do ofiarowania mi tego miejsca w liście, przysłanym do  
Konstantynopola, pod adresem przezemnie jej danym.  
Życzą mi z całego serca i rokują dobre powodzenie  
tu, w ich ojczyźnie, gdzie ja jestem gościem i bardzo  
pożądanym gościem. A wszystko pomogło, com jej za-  
pisał, a jak aptekarz zobaczył moje recepty, to on się  
aż złapał za krymkę z uszanowania; — i wszystko też  
pomogło, niech będą Bogu dzięki, tak jak było prze-  
powiedzianem.

Zresztą nie źle im się tu powodzi, jej mąż ma  
miejsce w szkole, nauczyciela hebrajskiego języka i hi-  
storyi świętej, a ona *geszeftuje* jako bankier, i handluje

relikwiami, sprzedaje hurtem krucyfiksa, Matki Boskiej, apostołów, ewangelistów i wszystkich innych świętych i święte z perłowej macicy, z muszli, z bukszpanu, z drzewa oliwnego, z asfaltu Martwego morza, oraz róże jerychońskie, a wszystkie te świętości są opatrzone świadectwami drukowanymi na pergaminie, że to było poświęcane przez Patryarchę, i pieczęciów mnóstwo, jak również i podpis Słowikowskiego, jako księdza tu obecnego, --a wszystko to idzie do kraju, w którym teraz bardzo wierzą we wszystko, co cudowne. Dobrze idzie ten handelek teraz, wprzód wcale nie szedł, bo tam ludzie nie wierzyli, lecz teraz lepiej im się powodzi, bo od niejakiego czasu dają wiarę i tacy, co dawniej w nic nie wierzyli — „dzisiaj tam moda wierzyć, to niech trwa jaknajdłużej, aby nieprzeszła“, rzecze pani Silberbaum nader rozsądnie.

Jakto czujni żydzi, — jak się dobrze znają na modach i jak z tego korzystać umieją! Bodajto mieć religię, której jedynymi relikwiami są myśl i uczucie: taka religia nie jest modną, lecz przetrwa życie ludzkie i uszczęśliwia na wieki. — Lecz czyż ją wszyscy chcą pojąć? mówią że tylko wybrani ją pojąć zdolni, myślą się: Chrystusa pojęli wszyscy ludzie dobrej woli.



## ROZDZIAŁ II.

### Świątynia Salomona i kościół Św. Heleny.

Spoglądając ze szczytów góry Oliwnej, którą często i chętnie odwiedzamy, na Jerozolimę, dla której codziennie tkliwsze uczuwamy współczucie, zawsze pytające, zwracamy oczy na ten plac bardzo wielki, obszerny jak Ujazdowski, na którym stała niegdyś świątynia Salomona, a teraz sterczy hardo i wyniosłe, ów także już bardzo stary, a jeszcze jędrny, meczet Omara. Tutaj stała niegdyś świątynia, którą Pan Bóg rozkazał Sam Sobie wystawić, aby tu mieszkała chwala Jego i aby była ubóstwianą przez ludzi. Był to więc pomnik najświętszy, jaki tylko wyobraźnia ludzka zdolna sobie wystawić.

Z tego pomnika pozostały tylko małe i to jeszcze wątpliwe ślady: wyobrazić sobie przynajmniej można, czem istotnie był ten pomnik, czy ogrom jego odpowiadał ogromowi idei, którą o nim mieściliśmy w naszej wyobraźni, czy odpowiadał wielkości tego obszaru. Pismo święte, gdy mówi o tej świątyni, posługuje się tem słowem, raz w sensie ścieśnionym, raz w sensie ogólniejszym. W sensie ścieśnionym świątynia nie była czemś innem, jak domem wzniesionym Odwiecznemu przez Salomona, domem, który później został zburzonym przez Nabuhodonozora i odbudowanym przez Zarobabela.

Był to budynek zamknięty i pokryty, jak inne domy, który się tylko wspaniałością, a wcale nie

rozmiarami, różnił od innych domów. Mury jego wewnątrz były wyłożone rzeźbionym cedrem, a nawet złotem w miejscu, zwanem Miejscem Świętem. Rozmiary budowli wcale nie były kolosalne, sto dwadzieścia stóp naszych długości, trzydzieści pięć szerokości i pięćdziesiąt trzy wysokości, — nie mniej i nie więcej, nie ma o tem żadnej wątpliwości, niech o tem mówią przesądniczy co chcą. Są to rozmiary wcale rozumne, wcale podobne do tych, któremi się cieszy niejeden kościół wiejski, nawet u nas, bywają nawet większe w niektórych kościołach wiejskich modrzewiowych. Cóż to jest w porównaniu z Domem Kolońskim, z katedrą Medjolańską, z Bazyliką Św. Piotra w Rzymie?

A nawet niepotrzeba było większej świątyni, ona bowiem niesłużyła, jak u nas służą kościoły, do mieszczczenia w sobie wiernych, była to świątynia, do której wejście było wzbronione. Tylko ofiarnicy tu wchodziłi na przemian, dla palenia kadzideł na oltarzu, dla położenia na stole chlebów ofiarnych i dla karmienia lichtarza siedmioramiennego olejkiem pachnącym. *Miejsce arcy-święte*, sanctissimum sanctorum, służyło jedynie tylko najwyższemu ofiarnikowi: „Summo Sacrificatori“. Raz na rok on wchodził, by skropić propitiatorium krwią ofiarną.

Ówczesnym ceremoniom izraelskim wystarczał tu często symboliczny przybytek, w którym się ani błagało ani spiewało, ani kazało, ani spowiadało. Lecz dziedziniec około niego, powinien był być obszernych rozmiarów, dla pomieszczenia ogromnego mnóstwa narodu; świątynia bowiem Jerozolimska, nie była tylko świątynią jednego miasta, lecz świątynią całego kraju. Tutaj przybywali Izraelici całej ziemi ubóstwiać Adonae w czasie świąt uroczystych.

Dla tego też urządzono najprzód trzy dziedzińce odgraniczone, jeden dla ofiarników, drugi dla ludu męzkiego, trzeci, jeszcze więcej odgraniczony, dla kobiet. Nie brakło tam izb, komnat, sal dla schowania naczyń świętych, ksiąg prawa, ornatów, ubiorów, pieńędzy i ofiar, które niósł lud (nie przybywający z próżnemi rękoma); tam też mieszkali kapłani, lewicy, klerycy i inni, potrzebni do służby kościoła. W tych

salach miewano ciągle kazania, w innych odbywały się dysertacye i dyskusyje doktorów, owdzie mędracy przychodzili medytować publicznie, jeszcze gdzieindziej modlono się. Nakoniec, wiemy to, dzięki Jeremiaszowi, znajdowały się tutaj i więzienia.

„Ubił Fassur Jeremiasza Proroka, i dał go do więzienia, które było najwyższem w bramie Beniaminowej, a ta była przy domu Pańskim“. (Jeremiasz XX—2).

Był to jak widzimy mały świat, otwarty ciągle dla pobożności Izaelitów. Cały tedy ten zakład był poświęconym i nazywano go często w sensie ogólniejszym świątynią, lub domem Odwiecznego, chociaż jednym nie był pokryty dachem. Tam to, na tym dziedzińcu i w jednej z sal dyskusyjnych, Jezus, wówczas jeszcze dziecko, bawił trzy dni, zatrudniony interesami Swego Ojca, przysłuchując się rozprawom, biorąc sam w nich udział i zadziwiając wszystkich rozsądkiem odpowiedzi swoich. — Tutaj, lat ze dwadzieścia potem, Chrystus przepędzał, podczas świat uroczystych, swe dni, przechadzając się w portyku Salomona, otoczony uczniami swojemi, nauczając lud i rozprawiając z faryzeuszami i z skrybami, tak jak niegdyś czynił Sokrates z sofistami pod portykiem Aten. Jeden i drugi padli ofiarą swej dobrej wiary, swych dobrych chęci;—tak bywa szlachetnym, fortes cocciderunt in bello, a pozostają źli i psują dobrym dołę.

Tu, pod portykiem Salomona, zebrali się, „jak jeden człowiek“, wszyscy pierwotni, przez Chrystusa samego nawróceni Chrześcianie, aby dokonać Jego dzieła, aby świadczyć światu o Jego zmartwychwstaniu.

Co pozostało z świątyni? z świątyni w rzeczywistym sensie tego słowa, z właściwego domu Boga, ani kamyczek nie pozostał, nawet z przyległych, wymienionych budynków. Wyrok, przez Chrystusa dany, został spełnionym: kamień niepozostał na kamieniu. Lecz mur okólny, o który wspierało się mnóstwo budowli, należących do świątyni, to jest do całego tego poświęconego zakładu, lecz mur ten pozostał całkowicie w takim stanie, w jakim się znajdował za Jezusa Chrystusa.

Istotnie, z trzech stron mury nowsze, wzniesione w części na podstawach dawniejszych murów, nie dozwalają żadnych wątpliwości: granice dzisiejszej mahometańskiej świątyni są z trzech stron namacalnie też same, które zajmowała salomońska. Od północy budynki nowsze, oparte do dawnego muru, nie wszędzie dozwalają dowieść tożsamości w sposób niezaprzeczalny, lecz ona może być uważaną za nader prawdopodobną.

To okolenie, które tworzy róg południowo-wschodni Jeruzolimy, a które zajmuje piątą część obszaru całego miasta, jest nazwane przez Arabów Haram-el-Szerif, co znaczy: Świątynia szlachetna; — najczęściej nazywają to miejsce po prostu Haram czyli świątynią, tak jak się nazywają dwie inne świątynie, które zawiera w sobie Mekka i Medyna. Żadnemu niemuzułmaninowi nie wolno tu postawić nogi, najdosłowniej- szy chrześcianin srogo by to przyplącił swemi kośćmi, a nawet życiem, lecz zbisurmanieni dawni rodacy moi zaręczali mnie, że wewnątrz okazałego meczetu Omara nie zawiera w sobie nic innego, jak zwiedzany przezemnie meczet Ś-ej Sofii w Konstantynopolu, prócz rozległości rozmiarów, szczuplejszej w meczecie Omara. Na murach cztery olbrzymio-ogromne, okrągłe, zielone tablice, z napisami arabskimi, grubo złocone- mi, wyjętymi z Koranu.

W środku wielkiej okrągłej przestrzeni, wysłanej krajczakami z wici, jakiś rodzaj niskiej trybuny. na której siedzą na własnych piętach Imany i wyższe duchowienstwo, frontem do wchodzącego widza; na podłodze kładzą, modlą się i czołem biją o ziemię prawowierni, korzący się, mahometanie -- jeden od drugiego oddalony.

W towarzystwie jednego z oficerów tureckich, mogłem przechadzać się po murze okrężnym, od którego w wielu miejscach meczet sam jest tylko odległym o jakie 200 kroków, nie zupełnie bowiem w środku tego rozległego planu wzniesiona jest ta okazała budowla. Meczet ten jest ośmiobokiem obszernym i wysokim, na którym wznosi się cudna, szczytna, imponująca śmiałością kopuła.—cacko ogromne, na które miło patrzeć,

bo proporcjonalnością, harmonią rozmiarów, prawdziwie zachwyca. Nie jest to kopuła wydęta, jak kopuła Bazyliki św. Piotra, ani też spłaszczona krymkowato, jak kopuła katedry florentyńskiej, lecz się wznosi raczej, jak gruby koniec jaja strusiego.

Do boku tego głównego meczetu przytyka się inny meczet Aksa, także dość wspaniały i kilka innych meczecików. Przed wejściem do meczetu o kroków trzydzieści, na wysokiej kolumnadzie, jest przedśionek marmurowy, w którym biją ciągle trzy fontanny, służące do obmywania. Tu i owdzie oratorja i szkoły, i po całym dziedzińcu rozsiane wysokie, ciemnozielone cyprysy, których koloryt żywo odbija od jasnej barwy murów—tu i owdzie także klomby kwiatów, nie symetrycznie, lecz raczej jakby przypadkowo rozsiane,—nie psuje to bynajmniej harmonii, owszem, może jej raczej służy. Ani też nawet ta płaszczyna, porośla darniną niską, lecz gęstą, zniwelowaną jest regularnie—tu i owdzie wklęsłość.—Bóg raczy wiedzieć, na ilu tu gruzach przeszłości, te trawy, te krzewy i te drzewa rosną; to rzecz pewna, że chcąc na tym gruncie stawiać coś na właściwej opoce, stanowiącej w Palestynie wszędzie postawę ziemi, trzeba tutaj w Jerozolimie kopać przynajmniej na czterdzieści stóp, przez gruzy rozmaitej postaci, ery i epoki. Zdawałoby się, że i Jerozolima jest jednem z przedpotopowych miast: uczony pan Momsen utrzymuje przynajmniej, że istniało to miasto przed siedemdziesięciu stuleciami.

Pyszna świątynia Omara nie ma odpowiednich sobie minaretów,—ma tylko jeden minaret i ten nie jest wysmukły, wysoki, biegnący w niebo, tak jak raca kongrewska, słowem, wcale nie jest jak owe dziwnie strzeliste minarety stambulskie, lecz jest sobie wygodnym dla muezzina, dość grubym niskim minaretem, który jednakże tę ma zaletę, że wcale nie zasłania kopuły meczetu, a warto ją widzieć ze wszęch stron bez cienia, bez zasłony i zawady, bo jej tak, jak istotnie pięknej pannie, wszelkie przystrojenia ujmują nadobności.

Na tym obszernym dziedzińcu, w cieniu cyprysu, palmy, róży lub rozmarynu, spotkasz nieraz muzułmanów wszystkich wieków, z tak malowniczymi, du-

chowością tchnącemi, w religijnym zachwycie pogrążonemi twarzami, że cię to zastanowi, a może i zmartwi, bo takich twarzy nie znajdziesz nawet pod kopułą bazyliki rzymskiej, pod którą spoczywają, lub raczej pod którą mają spoczywać, kości Św. Piotra. Muzulmanie pojmują nabożeństwo w sposób nam nieznany, może nawet mało pojęty: schodzą tu na ten grunt poświęcony, dla nich prawdziwie święty, aby rozpamiętywać głęboko i rzewnie o urokach owych wieczno-dziewicznych, zawsze miłosnych hurrysek, które im obiecał Mahomet w raju na tamtym świecie. Rozpamiętywać o urokach cielesnych nietrwałego puchu marnego, błahych istot kobiecych!! oto najwyższa potęga duchowości, do jakiej wznieść się zdoła dusza mahometañska! Bogu dzięki, że tej uniżoności zmysłowej nie pojmuje żadna dusza czysto chrześcijańska: myśli wprawdzie i w naszych kościołach, rzewnie i głęboko, o kawalerze nie jedna młoda kobieta, ale to zapewne tylko dla tego, żeby mogła za niego przesyłać serdeczne modlitwy do św. Antoniego Padewskiego, protektora miłości plastycznej, dozwolonej, tak gorliwej i skutecznej! to rzecz wcale inna! Byleby tylko nie profanowały kościoła dla ukazywania swych ogrodów botanicznych na głowie, swych gęstych kędziornych grzywek na czole, ogonów i pęt na sukni, a co najgorsza, bucików zbyt ciasnych na wysokich korkach, tak wznieścionych, że niemi sobie psują zdrowie na całe życie. Ah! to się nie pokaże u naszych polskich kobiet, którym Aniołowie w niebie zazdroszczą nie tylko piękności, lecz także i religijnej czystości...

Na tym samym dziedzińcu niegdyś modliły się dzieci Izraela, „wszczepieni w domu pańskim, zakwitający w sieniach Boga naszego“, i których „dusza żąda i bardzo tęskni do sieni pańskich, a jeden dzień spędzony w nich na modlitwie, wart więcej, jak tysiąc dni życia szczęśliwego, spędzonego po za jej obrębem“. Tak mówi psalterz o urokach modlitwy i ofiar składanych w tym dziedzińcu, z którego teraz żyd tak wykluczony, żeby został rozszarpanym na drobne kawałki, gdyby się w nim ukazał. I cała ludność izraelska Jerozolimy przyplaciłaby tę profanację życiem. Nawet

do muru okolnego nie wolno było się zbliżyć żydowi. Za czasów rzymskich musieli drogo opłacać to szczęście, św. Heronim mówi: „*miles mercedes postulat ut illis flere plus liceat*“, a był świadkiem tego naocznym w końcu czwartego stulecia.

Gorzej jeszcze było za Turków, lecz niedawno bogaty i zacyjny Izraelita angielski, Sir Mojżesz Montefiore, kupił swym współwyznawcom pozwolenie, płakania tak często jak zechcą, obok resztek starodawnego muru salomońskiego, położonych w stronie zachodniej świątyni, tam, gdzie jest dzielnica mograbska. Rzadko tam zachodziłem bez spotkania ich, lecz pozostaję wierny prawdzie, że wielu z tych żydów pomagało sobie do płaczu wachaniem tak mocnego czosnku, iż od jego woni płakałby i osioł dardański najrzewniejszemi łzami, a może załamywałby i ręce. Ale żydowi wszystko cieleśnie biorącemu, o to głównie idzie, żeby mógł powiedzieć, że lzy wylewał na gruzach świątyni Panskiej, — wylewał je za pomocą czosnku, a czasem chrzaniu z zewnątrz muru, który kiedyś otaczał świątynię Salomona, i tem się zadawałnia, powraca do szacherki, bije Jankła syna swojego, wykrzyczy Surę, żonę swoją i skacze do ocz Abramowi, teściowi, co go okpił temu lat dwadzieścia na posagu. Takich scen byłem naocznym świadkiem.

Bądź co bądź, trzeba się litować nad losem żydów gdziekolwiek są, bo wiele cierpieli i cierpią. Zresztą, jak mówi mądry deputowany parlamentu wiedeńskiego: „każdy kraj ma takich żydów na jakich sobie zasłużył“, a żaden kraj turecki nie zasłużył sobie na lepszych, jak na takich, których teraz posiada, a nawet i na tych nie zasłużył, bo tu przynajmniej żydzi nie handlują pewnym towarem, roznoszącym po świecie bezwstyd i zarazę.

Ogół żydów jerozolimskich znajduje się w opłakanym stanie, któremu wspomniany dobroczyńca, p. Montefiore, starał się ulżyć: kupił za bramą Jaffy kawałek dość obszerny gruntu, kazał go otoczyć murem i na nim stawiają się teraz domy, dla pomieszczenia gnijących na kupie, w dzielnicy swej, żydów. Wprzód jeszcze założył on szpital, którym dyrygowałem, kilka

szkół i bóżnicę wielką i wcale okazałą, jakiej tu nie widziano nigdy, świątynia bowiem Salomona, jak już wiemy, nie była prawdziwą bóżnicą, lecz tylko przybytkiem, w którym się przechowywała arka przymierza i w którym żydzi myśleli, że jest skoncentrowany Adonai, tak jak się da skoncentrować gaz, kwas węglowy w ciału stałe.

Z tem wszystkim ludność żydowska jest najuboższą ze wszystkich innych miast Jerozolimy, a największa jej część żyje tylko z jałmużny od dnia do dnia, i dostaje łatwo najobrzydliwszej i najboleśniejszej ze wszystkich chorób—azyatyckiego trądu. Zdrowemu klimatowi i wiatrom okolicznym, które tu w figlarnym ruchu ciągle oczyszczają powietrze, przypisać należy, że tu nie panuje bezustannie dżuma. Pobozność tu przyciąga żydów,—bezczytność i nędza zabijają ich,—a ze świata schodzą nie żalując go, pewni że gorszego i Bóg nie znajdzie. Przybywają oni nietylko ze wszystkich części Azji, lecz i ze wszystkich części Europy, zwłaszcza z księstwa Rumuńskiego, gdzie w ostatnich czasach wymierzono przeciw nim srogie, inkwizycją hiszpańską, dragonadami francuzkiemi telnące prześladowania. Przybywają tu nawet z Afryki,—a nie wszyscy w celu modlenia się, lub powrotu do ojczyzny, lecz po prostu aby spędzić resztę życia jaknajędźniej, i umrzeć w nadziei znalezienia grobu w dolinie Józefata.

Tu nie wystarczy dwóch, trzech, czterech milionów, które szcudrze wydał p. Montefiore;—trzebaby tu setki milionów, które dla nich, dla ocalenia świata wstydu, wydać by mogła i powinna rodzina Rotszyldów. Lecz ci na nieszczęście nie chcą być królami żydów, a wolą być żydami królów. Rotszyldowie mniej więcej jeszcze izraelici, mniej więcej skatoliczali, mniej jeszcze prawdziwie zewangelizowani, mają dzisiaj w żyłach swoich przecieź jeszcze krew czysto-izraelską, ządnam przymieszaniem czysto-chrześcijańskiej *nieszgojowana*. Jakżeż ta rodzina, która pieniądze tak dzielnie umie korzystać z wszystkich klęsk wojennych, trapiących ludzkość, może się oprzeć chęci wspomnienia ziomków?



Czy włoch, czy austryak, czy francuz, czy prusak, czy rossyanin, czy turek, czy Wiktorja czy Teodor, czy holender, czy aszanty, wszystko im jedno — oni wiedzą, że śmierć każdego przyniesie im pieniądz. Nie powinnybyż ta rodzina poświęceniem chociaż setnej części bajecznego kapitału swojego wyrwać żyda jerozolimskiego z upodlenia, o jakim nikt nie ma wyobrażenia, i które wstrętem nawet przejmuje psy dobrze wychowane, które chowają ogony pod tylne nogi i uciekają, gdy tylko zwietrzą obszarpanego, nigdy się dobrze umyć nie umiejącego żyda.

Wszyscy żydzi, nawet najwięcej zfrancuzieli i zangielszczeni, przyznają, że do siebie są nader podobni, czy to pochodzą z odmiany czarnej, czy żółtawo-czerwonej, czy z spiczastej, czy z okrągławej,—lecz żyd orientalny odznacza się charakterem odrębnym i fizjonomią specyficzną. Spojrzenie jego jest ukośnem i niespokojnem: a owym fałszywym, udanym uśmieszkiem, który niemiłe sprawia wrażenie, stara on się zasłaniać przejmującą go bezustannie trwozę. On nie mówi jak inny człowiek, lecz zawsze szepcze jak więzień, bojący się zbudzić swych oprawców. On nie chodzi, lecz posuwa się wzdłuż murów, spoglądając z podelba, uważnie nadstawiając uszy, i przemyka się za każdy róg ulicy, jak lis, przez psów goniony. Często niesie swe trzewiki w rękę, by mógł chodzić bezszmerne jak mysz, nie go bowiem tak nie straszy jak własnych nóg stapanie. Gdy nań patrzysz, on przyspiesza kroku, gdy go zawołasz—ucieka jak jelen. Ba! on nawet nie śmie odetchnąć całą pierśią.

Z tem wszystkim dobrze wierzy ten żyd (w porównaniu z którym, czworonożny tchórz jest jeszcze aniołem wonności), że świat cały będzie jednak należał prędzej lub później, ale raczej dość prędko, do żydów, wie o tem dobrze, że się żydzi sowiec zemszczą na chrześcianach za doświadczone prześladowania i wzgardy, że tu niepomogą żadne korowody, bo tak jest napisanem, że z Iraela wszystko dobre wyniknie i że do Iraela *wszystkie dobra* powrócą.

A jednak musimy się litować nad niemi, bo jesteśmy szczeremi, prawdziwemi, z dobrej, czystej krwi,

z dobrej czystej myśli, z dobrych uczuć ulepionemi chrześcianami, istotami nieudającemi chrześcian jakimś śmiesznem, sztucznem, przesadzonem demonstracyjnem okazywaniem nieobecnych wcale w sercu i myśli uczuć, lecz po prostu chrześcianami od głów do stóp, nawet od czapki do ostrogi.

Litujmy się nad niemi, bo tak im mówił Bóg w Lewityku w rozdziale XXVI, w wierszu 36-ym: „Rozproszę was jak próchno purchawki, a którzy z was tu pozostaną, tedy przywiodę strach na serca ich, że je gonić będzie chrzest liścia padającego, i będą uciekali jako przed mieczem, i padać, chociaż ich nikt gonić nie będzie“.

Na Boga, ludzie, niewidzicie w tej przepowiedni wszechmądrości, wszechmocy Jego? i tu wątpić o przyszłości sprawiedliwego człowieka, kiedy niesprawiedliwi tak ciężką karą, od dawna przepowiedzianą, straceni zostali w hańbę, którą i najbogatszy żyd, żeby był najwięcej upojonym próżnością, czuje niezawodnie we wnętrzu serca swojego.

My chrześcianie prawdziwi, my zwłaszcza chrześcianie, którzy prócz Boga, Jego Syna Chrystusa i Ducha Świętego, łącznika pomiędzy Ojcem i Synem i nami ludźmi, nic innego nie ubóstwiamy, my nie dla modlenia się na gruzach świątyni Salomonskiej do Jeruzolimy przybywamy.

My tu przybywamy modlić się nie na grobie Salomona świetnego, ani Gamaliela uczonego, lecz na grobie Istoty bez ziemskiej świetności, bez ludzkiej uczoności, której nie wierzyli ani Faryzeusze ani przewódzcy ludu, lecz która była stokroć większą od świątyni Salomona.

---

## ROZDZIAŁ III.

### Kościół Świętego Grobu.

Pospolicie podróżni pośpieszają po przyjeździe jak mogą najszybciej do kościoła św. Grobu. I bardzo sprawiedliwie, cóż bowiem może więcej wabić do Jerozolimy, niż nadzieja oglądania miejsca, na którym zmartwychwstał nasz Zbawiciel! Los Jego, Jego cierpienia oplakiwaliśmy tak rzewnie w dzieciństwie naszym, łzy nam wyciskały tak bolesne słowa wszystkich czterech ewangelii, w których tak prosto, tak okropnie malowniczo, a tak jednoznacznie były opowiedziane nieskończone, z takim przedłużonem okrucieństwem zadawane Mu upokorzenia i męki! To co w dzieciństwie pojąłem, to co wrosło w serce nasze z uczuciem litości, to co wyciskało łzy w wieku, więcej do śmiechu i zabaw, niż do smutku i rozpamiętywań pochopnym, to pozostanie w niem na całe życie. A chociaż potem i nastąpi wiek walki, miłości, studjów fachowych, podróży, ambicyi i usług społeczeństwu oddawanych, a całej uwagi skończonego człowieka wymagających, to jednakże i z pośród walk, szaleństw, prac i znojów, z pośród słuchania głupstw i czytania książek, zatrzcę mogących szlachetne dążności, ocali się nie mało zasobów uczucia, które serdecznie nas przejmują dla Chrystusa naszego.

A jednak, dopiero w dziesięć dni po przybyciu do Jerozolimy, odważyłem się pójść do kościoła s. Grobu, dopiero po przekonaniu się, czy istotnie plac na któ-

rym się odbyło ohydne katowanie, mógł być położonym wówczas po za miastem, kiedy dziś kościół św. Grobu, zwany także kościołem Zmartwychwstania, jest umieszczonym właśnie w środku miasta, mającego naturalne swoje granice od wschodu, południa i zachodu, w taki sposób nakreślone, że żadnym żywym sposobem ich przekroczyć nie można, chociażby się oto siliła wola tak potężnego króla, jakim był Salomon, choćby się nawet był wziął na przelamanie tych zawad, tak jak się wziął Kopernik i Galileusz na przewyciężenie zabobonów rzymskich.

Pierwszy powiedział słońcu *sta!* drugi powiedział o ziemi „*si muove!*” Obaj ciężko odpokutowali za to — biednemu Galileuszowi aż łamano kości w Rzymie, nie na ulicy kijami, jak się to zdarza często i głupcowi, lecz regularnie, umiejętnie, w inkwizycyjnym budynku, z pomocą synów św. Dominika i chirurgów torturatorów pierwszej i drugiej klasy.

Zdobyłem się na tę odwagę nareszcie, stawiając na ryzyko moje mi tak miłe illuzye. Przypomniałem sobie, że moja religia, będąc opartą na słowie, na myśli i na duchu, niepotrzebuje żadnych materyalnych dowodów dla swej żywotności, ani żadnych cielesnych przewodników dla swego uczucia, i ostoi się wszystkim przeciwnościom.

Kościół św. Grobu jest położonym w dzielnicy chrześcijańskiej, to jest w części północo-zachodniej miasta: ta świątynia składa się z trzech odrębnych kościołów, tak z sobą połączonych, że z nich wynika jedna tylko budowla. Wszystko to jest otoczone klasztorami, także połączonemi z kościołem, lecz z zewnątrz prowadzą doń tylko jedne, nie bardzo obszerne drzwi, do których się dochodzi przez dziedzińczyk, i ztąd tylko widziana jest facyata kościoła. Blisko drzwi na prawo, wisi na dwóch mocnych palach ogromna, gruba, tętniąca blacha żelazna, którą dzwonnik bije dwoma młotami, kiedy chce zwoływać wiernych na modlitwy i na ceremonie kościelne, — dzwonów bowiem nie wolno mieć chrześcianom w Turcyi, tak jak przed 1866

rokiem, przed bitwą pod Sadową, która Austryę wyleczyła z 600 lat trwającej ciemnoty, nie wolno ich było mieć Ewangielikom w państwie apostołskiem.

Drzwiami wchodzi się naprzód do przedsionka, w którym siedzi z fajkami w ustach ze dwudziestu żołnierzy tureckich, czuwających bardzo uważnie nad bezpieczeństwem publicznem, nigdzie bowiem tak się nie czubią, ile w kościele Zmartwychstwania w Jerozolimie i w izbie deputowanych w Genewie. Z tego przedsionku, wchodzi się na prawo do kościoła: jest to rotunda obszerna i wysoka, pokryta dość wzdętą kopułą, w środku otwartą, na sposób Panteonu rzymskiego. W centrum tego obszernego, lecz nie tak rozległego, jak meczet św. Zofii, lub bazylika św. Piotra, obszaru, stoi piękna kaplica z marmuru czarnego, a w niej znajduje się grób, w którym spoczywało przez dwie doby Ciało naszego Zbawiciela. Na prawo od wejścia, jest kościół Kalwaryi: wchodzi się doń schodami o ośmnastu stopach, spadzistemi i wążkami. Trudno w naszym dziele opisywać szczegółowo wszystkie ołtarze i obrazy, tu się co krok spotykające, i wystawione przez chrześcian różnych wyznań.

Tu ukazują autentyczny grób króla Godfryda de Bouillon, tam grób króla Baldwina, cokolwiek dalej duży dół, w którym cesarzowa Helena święta znalazła niespodzianie czaszkę wspólnego ojca rodu ludzkiego, Adama. Zatraciła się ona na nieszczęście w podróży do Konstantynopola.

Te schody prowadzą na górę podzieloną na dwie części: w jednej szczupłej, w której zaledwie czterdziści osób mogłoby znaleźć miejsce, przybito Chrystusa do krzyża, a na drugiej części jeszcze mniejszej, to jest na właściwej Golgocie, wkopano tu krzyż w ziemię, czyli raczej wszczepiono go w szczelinę opoki jeszcze otwartej. Jest i obok rozpęk skały, który nastąpił właśnie w chwili śmierci Jezusa. Wszystko to przeżywa okropnem wrażeniem: było zemną i pod mojem przewodztwem kilkunastu Augustowian, służących za majtków w Cesars. Rosyj. Marynarce; wszyscy całowali te ślady, pocierali je umyślnie na to przynie-

sionemi nowemi chustkami, i płakali rzewnie jak dzieci, tak, że się rozbeczała i moja murzynka i mnie się łzy zakreściły w odwykłych od płaczu oczach. Rytuał modlitw tu przemawianych przez katolickich księży w łacińskim języku jest prosty, wyraźny i porywająco piękny: te modlitwy nigdy nie znikają z pamięci, to już ja sam przyznać muszę.

Trzeci kościół jest znów położony daleko głębiej od pierwszego, schodzi się doń dwudziestodwoma schodami; jest to kościół podziemny św. Heleny, gdzie został znaleziony prawdziwy krzyż męki, rzucony razem w cysternę z dwoma innymi, na których ukrzyżowano łotrów.

Wiemy jakim sposobem święta Helena sprawdziła, na którym krzyżu pozostał ślad niezatartej świętości: jeden umarły odzyskał życie przez to sprawdzenie.

Najweselszą częścią kościoła św. Grobu, jest poboczna duża kaplica, poświęcona św. Maryi Magdalenie i zajmująca miejsce Ogrójca, w którym Chrystus po zmartwychstaniu, ukazał się tej osobie, tak szczerze i święcie do ubogiego cieśli Galilejskiego przywiązanej, że dlań opuściła światowe życie, będąc jeszcze młodą i piękną i że nigdy już doń nie wróciła, owszem, wytrwała święcie w pokucie i w poświęceniu dla nowo a tak dobrze pojętej, religii.

Razi jednakże wielka, nadnaturalnej wielkości figura wyobrażająca Magdalenę wygorsowaną, w całej piękności i świetności światowej. Figura ta stoi na ołtarzu i w takim miejscu jest zupełnie niestosowną. Ubrano ją w suknie najmodniejsze i najdroższe, obwieszono łańcuchami złotymi, naszyjnikami z drogich kamieni, bransoletkami, a nawet kolczykami i drogiemi pierścionkami. Na głowie ma prześliczne, długie, aż do kolan, włosy, barwy jasno-złotej, i tak pięknie utrzymane, jak gdyby je fryzjer codziennie czesał i pomadował, i tak było w istocie, jak się o tem dowiedziałem później;—włosy zaś w podarunku otrzymała od pewnej księżny francuzkiej, której te włosy wypadły w skutek zmartwień i jakiejś gwałtownej choroby. Księżna, której także było na imię Marya Ma-

gdalena, poczuwając się może do jakiej winy, przyjechała tu umyślnie z Francyi, opuściwszy męża i tu wiedzie świątobliwe życie, rozszerzając cześć dla swej świętej imienniczki. Ona to sposobi na rycerzy kawalerów św. Grobu, mianowanych przez Patriarchę Jerozolimskiego: palaszem króla Godfryda uderza ich przed oltarem trzy razy po ramieniu, przypiąwszy im wprzód ostrogę złotą, która miała służyć niegdyś królowi Ludwikowi świętemu. Ubiegają się o ten zaszczyt, szczególnie francuzi, a to zapewne dla tego, że się dekoracya kawalerii grobu świętego nosi na czerwonej, zupełnie do legii honorowej podobnej wstążce. Zaszczyt ten kosztuje Francuzów dość drogo, przynajmniej ze 2000 franków; piękny z tego dochód ciągnie Patriarcha i obraca go na dobro szpitala i Ojców Franciszkanów, klasztoru św. Salwatora, znajdującego się też w pobliżu kościoła św. Grobu.

Dziwi mnie nie mało, że kilku z oficerów tureckich, wprawdzie wyższych, ozdobić raczyła Jego Eminencja tym krzyżem, a nawet pewnego Seffer-Paszę, Poznańczyka rodem, który przystał duszą, a więcej jeszcze ciałem, do wiary mahometańskiej. Mianowano go „honoris causa“. Jak dziwnym sposobem można zostać dygnitarzem Grobu świętego!! Mówią „magni honores corrumpunt mores“, lecz zdarza się także, że „corruptio morum principium honorum“.

Wesoła kaplica św. Magdaleny należy do narodu francuzkiego i pacierze w niej odmawiają się, kantyki śpiewają łaciną francuzką, a zatem *jam* wymawia się *żam*, *digito monstrad*, *diżito mastrad*; *Jehowa*, *zehowa* i t.p. To nabożeństwo, ta figura i to passowanie na rycerza, których byliśmy świadkami, niezbudowały ani pana de Monney, ani Alfreda, ani Azzimy, i trudno żeby mogły zbudować kogokolwiek, prócz francuzów, osobliwe gusta mających we wszystkim, co się tyczy religii.

Prócz wymienionych miejsc historycznych, skupionych w obrębie świątyni chrześcijańskiej, wystawionej przez Konstantego i jego matkę Helenę, jest tu także pod kopułą, zaraz obok drzwi, słup, do którego przytwierdzonym został Chrystus, gdy przed przybicciem do

krzyża ostatnią dostał chłostę, i tuż obok wejścia do kościoła Golgoty tablica marmurowa, wywyższona po nad poziom, na której Ciało Jego martwe zostało balsamowaniem.

Odległość jednego miejsca od drugiego jest następująca, zaczynając *od grobu*: 1-o do miejsca ukrzyżowania kroków 85,—2-o do dolnego kościoła, gdzie krzyż został znalezionym, kroków 92,—3-o do Ogrojca kroków 56,—4-o do ostatniej chłosty 52,—5-o do miejsca balsamowania 49. — Takie tu są małe odległości pomiędzy jednym a drugim miejscem historycznym!....

\* \* \*

Podczas ceremonii religijno - rycerskiej, odbytej w kaplicy Maryi Magdaleny, księżna de la Tour d'Auvergne często się wpatrywała w moją murzynkę, która ciągle mnie pytała o to i o owo, dotyczące się tej ceremonii, wydającej się jej, córce natury, bardzo zagadkową, a nawet czasami—i śmieszną. Z wielką też żywością zapytywała mnie, iz dziwną uwagą przysłuchiwała się mym odpowiedziom. Z nowo passowanym kawalerem św. Grobu, z panem de Monney, byłem w dobrej zażyłości, co widząc, księżna pragnęła się także zemną zaznajomić i wiele mi się wypytywała o Azzimę. Była to dama z 33 lat licząca, jeszcze wcale piękna lubo bardzo blada i widocznie cierpiąca.

Wszystko co się dotyczyło Murzynki bardzo ją interesowało, raczyła mi nawet powiedzieć, że to będzie wielką zasługą przed Bogiem, zyskać tak piękną duszę dla religii chrześcijańskiej. Mówiła bardzo biegle po francuzku, lecz najzupełniej z włoska, nawet z neapolitańska.

Teraz wiem kto jest ta księżna: pod nazwiskiem Maryi Magdaleny Bossi, była aż do dwudziestu lat pierwszą baletnicą wielkiego teatru San Carlo w Neapolu, słynną z piękności, dobrego prowadzenia i z talentu tancerskiego i mimicznego. Zaślubił ją niezmiernie bogaty, wcale już nie młody, francuzki bankier, pan Roux i, przeżywszy z nią lat kilka, umarł zosta-



wiając jej kolosalny majątek w dobrach pod słońcem i w gotowiznach. Dwa czy trzy lata potem, poszła za pułkownika francuzkiego, księcia de la Tour d'Auve... osobistego przyjaciela Napoleona III, lecz zupełnie zrujnowanego marnotrawcę: prócz długów nic już nie posiadał, nawet kredytu. Nie długo trwało szczęście księżęcej Magdaleny, — jej marnotrawny małżonek przegrał, przejadł, przeswistał małżonce wszystko co tylko mógł, nawet i część piękności, bo w skutek zmartwień czy też jak się zdaje choroby, udzielonej jej przez zanego księcia, straciła wszystkie włosy, jakie tylko posiadała, — nawet brwi i rzęsy, — un peu partout, jak się u nas pewna dama wysłowila. A że dzieci nie miała i z głodu także umrzeć niechciała, opuściła męża i schroniła się do Jerozolimy, aby tam w klasztorze Wizytek, jako pensyonarka, prowadzić bogobojne życie. Włosami zaś swojemi, starannie zebranemi, wyposażyła figurę Maryi z Magdala, przedstawiającą świętą i piękną grzesznicę na ołtarzu: na własnej zaś głowie nosiła rodzaj czepca zakonnego, i miejsce brwi okleiła sztucznemi, czarnemi, jakie miała przed wypadkiem. Nie mało robiła dobrego, i częste odbywała wycieczki do wszystkich odleglejszych miejsc świętych, aż nawet do Machery do pałacu Heroda, położonego na stopach góry Nebo z tamtej strony Morza Martwego, gdzie był więzionym i ścietym święty Jan Chrzciciel, na życzenie niewiernej Herodiady.

Rzadkiej odwagi dama! lecz włoszki mają więcej odwagi od włochów, zwłaszcza kiedy są jasnego włosa i czarnego oka. Takie włoszki mają w sobie wiele krwi północnej, mianowicie w Neapolu, gdzie podczas barbarzyńskiego rządu stało 8090 Szwajcarów, z kantonów niemieckich zakupionych.

Miało w krótkce spotkać nowe nieszczęście biedną księżnę: małżonek, nie mogąc jej skłonić żadną namową, żadnemi groźbami do powrotu i do oddania mu reszty majątku, uzyskał, dzięki wpływowi swego jaknajdostojniejszego przyjaciela w Rzymie — unieważnienie ślubu, i ożenił się z inną kapitalistką, także miejskiego stanu, chciwą tytułów i honorów.

Biedna księżna właściwie już nie była księżną, kiedy pana de Mornay passowała na rycerza, gdyż wyrok wyzuwający ją z tytułu, datowany był na kilka dni przed ceremonią passowania. Gniewało to niemająłodego, arcypróżnego szlachcica.

— Etre Chevalier d'une roturierè, d'une ballerine!—oh quel honneur! oh quel bonheur!— rzecze francuz, oburzony na zawistny los, który śmiechem okrył to jego wywyższenie.

— Pocieszaj się z Sefer-Baszą, z Osman-Beyem, z Abdala-Effendim, z wszystkimi Turkami i renegatami sposobionemi ręką fałszywej księżny, — rzeknę, śmiejąc się rozkosznie.

— Ah ça! Doktor wygląda jak człowiek, który się chce urągać zemnie!

— Istotnie? toby mnie nie dziwiło, bo się chcę śmiać z pana,—odpowiem francuzowi.

— Mais — mais! —krzyknie francuz.— Więc kiedy? gdzie? na co?

— Natychmiast —przed bramą św. Szczepana — na kamieniu. Tu w Jerozolimie wypada się pojedynkować biblijnie i ginąć śmiercią św. Szczepana, pierwszego apostoła, którego Pan Bóg raczył uczcić męczeństwem. Nie dam panu satysfakcyi, chyba na biblijne kamienie, za wymienioną bramą, obok ogrodu Getsemane i zarazem obok doliny Józefata, gdzie się tanim kosztem można doczekać sądu ostatecznego.

— Doktor mówi na seryo?

— Zupełnie na seryo.

— Więc obejdźmy się bez pojedynku i idźmy wprost na butelkę szampana, do kawiarni.

— Chodźmy zaraz na dwie — to jeszcze prościej i naturalniej.

\* \* \*

Francuz chce żyć we wszystkich klimatach i krajach w Szang-Hai, Jeddo, w Monomotapa, nawet w ziemi świętej, tak jak przywykł żyć w Paryżu: chce pić

szampan, grać ze dwie godziny na dzień w rumel pikietę, chce się nawet pojedyńkować. Nie przyjdzie mu ani na myśl, żeby się zastosował do kraju i do okoliczności w swych podróżach, a jeśli mu braknie chociaż jednej z wygod, do których się przyzwyczaił, to się czuje deklimatyzowanym i narzeka.

Księżna de la Tour d'Auve... dama baletnica,—pokazała się większą filozofką, natychmiast się zastosowała do okoliczności: przybrała swe dawniej noszone nazwisko ludowe Roux, pożegnała ogromnego gentelmańskiego lokaja, sprzedała konie, i jeszcze więcej świadczyła dobrego, niż poprzednio.

Oglądała nawet mój szpital uważnie, wchodząc we wszystkie szczegóły służby jak najstaranniej, i została sowitą jałmużną tak, że zaraz ją wpisała administracya w poczet dobroczyńców, na tablicę białą, dużemi niebieskimi literami, czcząc pamięć jej zmarłego małżonka, jego nazwiskiem, i nie wspominając żyjącego, niewiernego męża. Interesowała się nawet, i to bardzo serdecznie, losem mej murzynki, godziny całe z nią przepędzała w ogrodzie i na dachu mieszkania mojego, zadając jej pytania w angielskim języku, którego się uczy Azzima z wielką gorliwością, razem z tak prostym, rozumnym katechizmem pierwotnego kościoła chrześcijańskiego.

— Spodziewam się, że na Boże Narodzenie, Azzima będzie w stanie złożyć solenny egzamin w kościele Anglikańskim Jerozolimy, i że otrzyma chrzest święty,—rzeknę zadowolony postępami murzynki.

— A któż ją będzie trzymał do chrztu?— zapyta ex-księżna.

— Ja z Panią, jeśli zechcesz zezwolić na wyświadczenie tego zaszczytu neofytce?

— Oh!— z prawdziwą, z największą przyjemnością,— ale— przecież pan wie, że jestem wyznania innego?— dorzuci ex-księżna.

— Pani jesteś doskonałą, przykładną, jaka tylko być może, chrześcianką, i zapytana przez biskupa anglikańskiego, czy jesteś chrześcianką i czy pragniesz się opiekować wychowaniem chrześcijańskim neofytki, mo-

żesz odpowiedzieć sumiennie „Yes Mylord“, a to wszystko co potrzeba.

— Więc dobrze,—odpowie mi ta szlachetna, bogobojna osoba,—już od tej chwili chcę się uważać za matkę chrzestną Azzimy.

Zaraz ją też uściskała, i do serca swojego tklawie przytuliła. Odtąd odwiedzała nas pani Roux prawie codziennie, i prawdziwie macierzyński udział brała w wychowaniu Azzimy, która odpłacała tę staranność najszczerzem przywiązaniem. Podrosła, przytyła, wyładniała,—już nie mogła tulić się do nóg moich, to byłoby teraz niestosownem, lecz się tuliła do nóg swej dobrodziejki, matki chrzestnej, która tak szczerze obowiązki swe pojmowała i pełniła z taką starannością, że neofytkę prowadziła co niedziela do kościoła anglikańskiego i tam się z nią modliła, tam z nią odśpiewywała psalmy, tam z nią uważnie przysłuchiwała się kazaniu.

— Dawno Pani niebyła w kaplicy Magdaleny, w kościele św. Grobu?—spytam razu jednego.

— Od czasu mojej... degradacyi,—odpowie, smętnie się uśmiechając, dobra pani Roux, i dodała:—Ah! jakże mnie wstyd, że ta figura nosi moje włosy!

— A cóż panią skłoniło do ubrania jej w swe włosy?

— Namowy mojego spowiednika. Wmówił wemnie, że mi włosy odrosną, skoro moje wypadłe poświęcę Maryi Magdalenie.

— I—odrosły też włosy?

— Ani jeden.

— Więc odkradniemy te włosy, a natomiast ubierzemy ją w chignon jedwabny, odpowiedniej barwy: ani ona, ani wierni nie spostrzegą się na tej substytucyi.

— Per Dio Santo e la Madonna purissima! tak zrobimy, niech kosztuje substytucya co chce.

I tak się też stało, fryzyer ex-księżnej był zarazem fryzyerem św. Maryi Magaleny, od niego kupiono jedwabną perukę, pod warunkiem, że ją umieści na kartonowej głowie świętej.

Wszystko się udało jaknajpiękniej, pani Roux weszła w posiadanie swych włosów i sama je nosiła. Teraz odrastać jej zaczęły. Czy się to stało w skutek przepisanej jej przezemnie pomady Dupuyzena, tego nie wiem, lecz to z pewnością zaręczyć mogę, że się w krótkce po jej użyciu meszkiem zaczęła pokrywać czaszka, młodej jeszcze, a wcale pięknej wdowy.

Zdaje mi się, że ona pojmować zaczyna uroki prostego, nagiego wyznania chrześcijańskiego, takiego, jakie wprowadzili Apostołowie.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### B e t l e h e m .

---

Z wszystkich miejsc Palestyny, nie masz jednego, któregooby nazwisko tak miło brzmiało w uszach chrześcianina, przypomniec sobie zdolnego błogie lata dzieciństwa, spędzonego w urokach szopki, kantyczek, drzewa wili Bożego Narodzenia i w kraju, w którym wszyscy, nawet poważni, starzy wojacy, z czasów wojen napoleońskich, przypatrywali się z rzewnością naszej jodle jaśniejącej tysiącami światełek, połączanemi jabłkami, orzechami, piernikami, przedstawiającemi dzieciątko Jezus. U nas był tam i strumyczek, kręcący kółkiem młyna, i misternie z różnobarwnych kamyków i cegiełek ustawiona grotka, a pod nią w żłobie leżał mały Jezusek, klęczał św. Józef, siedziała Marya Panna, piękna jak anioł, chylili czoło klęczący trzej Królowie Monarchowie, pasły się krowa i oślica, — nie brakło i potulnych owieczek, i pieska z pilnującemi oczyma, i z sutym powiewającym ogonem.

Wszystkie te obrazy wskrzesza nazwisko „Betlehem“, tak od razu i czarodziejsko, że aż w sercu zadrga, — a cóż dopiero tutaj, kiedy tak blisko jesteśmy tego małego, a tak wielkiego miasta, w którym spełniły się przepowiednie i urodził się Ten, którego słowami żyjemy, nie lękając się śmierci, pewni, że dusza nasza do samoistnego życia przeznaczona, pewni, że Ten, co ją stworzył, ulituje się nad ułomnością naszą, że nam wybaczy wiele, bylebyśmy Jego Syna kochali.

„W żłobie leży—, któż pobieży kołędować małemu“? Bieźmy Mu kołędować naszym prostem, szczerem uczuciem, bieźmy i nie wstydzmy się naszego wzruszenia i owych łez, które wytryskują z niesfornych oczu, nieumiejących kryć uczuć serca naszego, na chwilę odmłodniałego! Gdy się jeszcze więcej zestarzejemy, wróciemy przecież, na lat kilka przynajmniej, do prostych uczuć dzieciństwa, nim dla odnowy, spoczniemy w matce ziemi, z której ulepione nawet ciało uroczę najpiękniejszej panny.

Nie daleko z Jeruzolimy do Betlehem, — jedenaście wiorst najdalej prostą drogą, lecz my nadłożyliśmy dwie wiorsty drogi, jest bowiem punkt na górze, z którego jednym rzutem oka, można obejrzeć Betlehem i Jeruzolimę od razu, z kądem jednocześnie widzimy miejsce, gdzie się zaczęło i gdzie się skończyło życie ziemskie, niestety, tak krótkie, naszego ukochanego zbawcy.

Nie tak łatwo dostać się na szczyt tej dość stromej, kamienistej góry, na którą jednakże najłatwiej z mniejszym mazołem wstąpić można ze strony południowej doliny, zwanej Urtas. Ze strony północnej, te strome wzgórza, pokryte drobnymi roślinami, zwłaszcza, mocno pachnącemi, małemi gwoździkami i aromatycznym tymiankiem, — ze strony południowej, rosną doskonale winogrona, z których umieją tu już wcale nie źle wytlaczać owe białe wino Betlehemskie, dobre nawet do robienia szampana, lepszego od Clicot i Montebello. Już tu się kręcą spekulanci francuzcy, którzy o tem przemyślają, lecz Arab chrześcijański Betlehemu, zazdrosnym okiem patrzy na tych wietrzających, szperających franków, i we wszystkim upatruje podejrzliwie jakiś postępek, mogący mu być szkodliwym. Beduin także zawsze się tu wałęsający, spogląda z pod burnusa zacząjonem ślipiem, na tę coraz się wzmagającą ludność europejską, zbrojną w jakieś zdradliwe, szybko się nabijające, z daleka sięgające strzelby, — i ze wzgardliwą litością patrzy na swą długą, sto razy łataną ruśnicę, w spuściźnie odziedziczoną od pokoleń pięciu lub sześciu. Arab chrześcijański z Betlehemu, dzielny, jeszcze dość młody, nauczyciel elemen-

tarny, mówiący wcale nie źle po włosku, wychowany u ojców Franciszkanów, zwykle kapucynami zwanych. Lecz wolą być nazwani nazwą założyciela, niż od kroju niekształtnej sukni pochodząca.

Pomiędzy nami jest pan de Mornay, rycerz św. Grobu, obrońca gorliwy pielgrzymujących chrześcian, uzbrojony w strzelbę Chassepot, w rewolwer o ośmiu wystrzałach, w pałasz niezawodny, toledowskiej stali, i strzelający z gifesu.

Na tych dolinach i wzgórzach paśł niegdyś trzody dzielny Dawid, człowiek Boga, także Betlehemczyk; tu się passował ze lwem i niedźwiedziem i pokonał ich, niemasz o tem wątpliwości. Saul zaś, król Saul, mieszkał tam dalej na lewo od Jerozolimy w Gibei, — gruzy zamku jego ztąd odkryć można nagiem okiem. A dalej, ku południowi, zielenią się w dolinie ogrody zamknięte Salomona, i lśni się na wzgórzu jeden z tych niezmiernych zbiorów wody, jedynych, najwymowniejszych dowodów przeszłej potęgi żydów. Nic z tego nie pozostało co na ziemi było, lecz to co pod jej powierzchni istniało, pozostało i zdumiewa wielkością.

Tu spotykamy owe brzydkie, okrutne ciernie, zwane Spina Christi; i tu wśród tego, pod ich opieką wyrasta owa lilja polna, której barwy i świętność zaćmiewają płaszcz Salomona. Owa lilja jest po prostu duża Anemona coronaria, pięknie w całej Judei wyrastająca.

Na jednej i tej samej, nie wysokiej, lecz silnej mulicy, siedziała z jednej strony ex-księżna, z drugiej ex-niewolnica murzynka, na stopie najzupełniejszej równości zostające; lecz często także poważnie z sobą rozmawiają o biednym, małym Chrystusie, którego tak się bał trwożliwy a okrutny król Herod, że wszystkich kazał wymordować nowonarodzonych, by mu żadnym żywym sposobem przepowiedziany Syn Boga, król Judei, ujść nie mógł.

Przyłączyła się do naszych kobiet, korzystając z eskorty, młoda kobieta koptyjska, kroju twarzy tak czysto egipskiego, jak owe statuy kamienne, siedzące w dawnych świątyniach piramid od czterdziestu wieków. Przy tej zaś koptance pięknej, pomimo oryginalności



nalności kamiennej i poważnej, towarzyszyli pieszo dwaj ludzie, jeden dość młody jeszcze, drugi młodzieńczy, czternastoletni chłopiec. Pierwszy przygrywał nam na szałamajce, drugi wtórował głosem i grał na bębenku z palmy, zawieszonym na szyi, a bił dwoma kijeczkami z kości, w środku wydrążonemi. Monotonny to koncert, lecz nie przykry, owszem — jakoś on uspokaja nerwy, zdaje się antyśpazmatycznym.

Byli to, ojciec, matka i syn — kapłan koptyjski, jego żona i uczeń teologii, pielgrzymujący tutaj, a mieszkający w Kairze. Wszyscy mają oczy czarne, dziwnie ukośne, w górę ze strony zewnętrznego kątu wykrojone, kości policzkowe dość wystające, czoła szerokie, lecz niewysokie, nosy bardzo regularne krótkie, usta oryginalne, cokolwiek wywinięte, brody szerokie z przelupką, — cery są śniadej, ale czyste, na której jednak się przebija zdrowy rumieniec, — w całym ich stroju pewna powaga, lecz i ponurość.

Są to chrześcijanie monofizyci, uznający w Chrystusie jedną tylko naturę. Apostołem ich był, jak utrzymują, św. Marek: wypełniają swe przepisy skrupulatnie, biorą co tydzień komunię pod dwiema postaciami, wyspowiadawszy się z całego serca, poszczą, w Piątek nie jedzą. Do chrztu potrzeba im nietylko wody, lecz i soli i oliwy, a nawet obrzezania. Chrześcijan zaś innych sekt nienawidzą, bardziej może jeszcze, niż Muzułmanów.

Jednakże ta koptanka upodobała sobie panią Roux i Azzimę, przesłała im wcale grzecznie ręką ukłony, i pytającym wyrazem swej oryginalnej, bardzo malowniczej twarzy zainformowała się, czy wolno jej przyłączyć się do nich, — i otrzymała zaproszenie uprzejme.

Ubraną była czarno, w suknię wełnianą, bez przepaski w stanie, — na głowie miała tarsusz czarny i kapтур biały. Pod suknią na szyi od dołu i pod rękawicami wyglądała bielutka koszula, — to wielkie szczęście, kopci bowiem najczęściej bez niej chodzą. Jest tych koptów, których poznamy później z bliska, w Egipcie samym 150,000.

Ze szczytu tej góry, tyle miejsc i tyle wspomnień, żeby tom cały nie wystarczył na ich spisanie. Tu mu-

simy się ograniczyć na zaręczeniu, że pół kraju plemienia Benjamina i plemienia Judy, widzimy z tego szczytu, na którym rośnie pyszna stara Pistacya terpentynowa, miły wydająca aromat. Zaręcza nas przewodnik, że często pod tem drzewem siadała Dziewica Boga Rodzica, i że w to wierzą nawet Muzułmanie, którzy nazywają to drzewo Miriam-Erbel, to jest drzewem Maryi, przypisując woń drzewa plecom Dziewicy, która się o nie opierała.

Ten kraj jest ulem legend: owdzie grób Racheli pod tą starodawną, ciężarem swoim, długim wiekiem opierającą się kopułą,—tu także urodził się Benjamin, jedyny syn Jakóba, spłodzony z tej strony Jordanu.

Dalej jeszcze miejsce, gdzie mieszkała Noemi i Ruth, owdzie zaś studnia Trzech Monarchów—tam kaplica pocziwego, małego proroka Habakuka, a tu klasztor św. Eliasza.

Najwięcej przyciąga grób cnotliwej Racheli. Genesis mówi o niej wiele: umarła biedaczka w drodze z Betel do Betlehem, tak blisko tego miasta, a przed śmiercią rzekła baba do niej: „Nie bój się, bo i tego syna będziesz miała“. I stało się; a gdy wychodziła dusza z niej, dała mu imię Ben-Ony, syn śmierci, później zaś zrobiono z tego Benjamin. Chrześciance, żydzi i mahometanie, oddają cześć temu grobowi, który trwa do dziś dnia, i który zacny Montefiore zakupił dla żydów. Oby Bóg raczył wysłuchać lamentującej Racheli i skupił tu wszystkich żydów.

Betlehem jest jeszcze więcej wyniesionem w górę od Jerozolimy, i przedstawia się oku wcale mile, gdyż boki góry, na której leży, są pokryte piękną roślinnością, po części zbożem i bujnemi winnicami, których i śladu około Jerozolimy nie ma. Nie braknie także ani oliwek, ani fig, ani pomarańcz. Mnóstwo okrągłych murowanych domków służy zarazem za tłocznię oliwy i mieszkanie dla czuwających nad polem, bo chociaż tu wiele pocziwych ludzi, nie braknie i szkodników pomiędzy niemi.

Na samym końcu miasta, daleko mniej okazałego od Jerozolimy, lecz jednak czystsze, znajduje się kościół „św. Narodzenia“ z przyległemi trzema klaszto-

rami Mnichów łacińskich, greckich i armeńskich, przymuszonych tu żyć razem, a kochających się pomiędzy sobą jak Esa i Jakób w łonie matki. Jest to budowla ufortyfikowana jak klasztor ś. Saby, zdolny oprzeć się natarczywości bisurmanów, której jednakże od czasu do czasu ulegać musi,—wówczas biada biednym mnichom. Około klasztoru domy i domki chrześcian, mieszkających w tem mieście, arabów łacińskich, greckich i armeńskich, którzy pomiędzy sobą żyją, Bogu dzięki, lepiej od mnichów, ciągle się w sposób gorszący swarzących.

Miałem do gwardyana ojców Franciszkanów list polecający, od ojca Soragna S. I. z Bejrut, i zostałem przyjętym jaknajgościnniej. Ojciec Salvador wysoki, ospowaty, lecz po pańsku wyglądający kapucyn, był hiszpanem i lubił mówić po hiszpańsku, przyjął mnie z otwartemi rękoma i raz na zawsze prosił, bym jego klasztor uważał za dom gościnny i zajezdny,—być bowiem łatwo może, że nieraz będę powoływany do Betlehemu jako lekarz.

Wpływ chrystianizmu daje się czuć w Betlehemie potężnie; wyobrażamy sobie popolicie, że chrystianizm wyrodził się i skarłowaciał na wschodzie, że się przekształcił i wykoślawił przez formalizm i przez przesady, i że nie jest o wiele lepszym od mahometanizmu. Nie tak źle z nim stoi jednakże: w ewangelii istnieje siła nieśmiertelna, światła i zdolna oprzeć się wpływowi ciemności. Tutaj ludzie nie patrzą nienawistnie, ani krzywo, na pielgrzymów, owszem, serdecznie ich witają; dzieci zamiast zlatywać do ciebie po bakszysz—po nagrodę, bawią się dalej i nie odbierają ci spokoju. Arab chrześciański jest bezwarunkowo pracowitszym, oświećszym, szczęśliwszym człowiekiem od muzułmańskiego, kobiety zaś są nieskończenie szczęśliwsze od tamtych, co pracować muszą jak niewolnice, a chodzą w łachmanach.

Arabka chrześciańska nie nosi krymki jak mahometañska, lecz czepiec wysoki, który pokrywa twarz krótkim kwefem, z po za którego błyszczą dzielnie oczy, nie malowane, lecz naturalnie już dość duże: nie wpajają sobie igłami obrazów słońca, gwiazd i całych konstelacyi w lica, lecz jednakże malują na nich kilka

punktów czarnych tu i owdzie: zupełnie nie mogą się wyrzec kokieterii, toby było nad kobiece siły. Wielka część tych kobiet znamionuje się typem istotnie pięknym, więcej żydowskim niż arabskim; kształt ich nosa charakterystyczny, przeciągły, rysy zaokrąglone, owal twarzy, świadczą o szlachetności tej rasy, pochodzącej najniezawodniej od dawnego, za czasów Chrystusa zamieszkałego tu plemienia.

Pierwotne nazwisko miasta, jest Béth-Lekem, co znaczy, miasto chleba, tak się nazywa teraz jeszcze i na to zasługuje. Liczba mieszkańców dochodzi do 5000, z których chrześcian 3000. Wielka ich część zatrudnia się wyrabianiem *świętości*, jak je tu nazywają, to jest, paciorków, krucyfiksów, całych ołtarzyków podróжных, świętych, aniołów, proroków, z najrozmaitszych materyałów, które się tu znajdują lub są sprowadzane. Ztąd pani Silberbaum ciągnie swoje towary, i zyskuje sownie, bo nawet podaje myśli do fabrykacyi nowych zupełnie świętości.

Kościół wystawiony przez św. Helenę, „Maryi Boga Rodzicy“, jest dość wielkim, obszernym, na dwóch szeregach grubych, okrągłych filarów oparty, dźwiga dach prosty stodołowy, nie ma dzwonnicy i nie odznacza się niczem, jak ciasną i niską furką, przez którą i większe dziecko musi się chyłkiem wkładać—innego wejścia do kościoła i do klasztoru nie ma tutaj,—dusza tych zakonników jest zawsze na ramieniu, a jeśli który z nich umrze na wodną puchlinę, lub też nagle utyje, co się mnichowi często przytrafia, to go nie wydotaniesz w całkowitości z klasztoru. Wewnątrz także nie jest szczególnie ozdobnym. Ołtarz wielki należy do łacienników, dwa poboczne do greków i ormian; w środku kościoła jakiś rodzaj kapliczki, przez którą się schodzi na 16 schodów do jaskini Urodzenia, to jest Sanctæ Nativitatis. Czy to jest autentycznie ta sama grotta, w którą, zdaje się, musiało się zstępować łatwo, tego nie wiem, to tylko powiedzieć mogę, że mnie święte dreszcze i jakieś dziwne uczucia rzewności ogarnęły, gdym wyczytał na kamiennej podłodze ten prosty napis:

*Hic de virgine Maria Jesus Christus natus est.*

Nie można tu wejść bez zgięcia głowy przed tajemnicami inkarnacyi, tego punktu centralnego, około którego krąży historia i przyszłość świata.

Całe wnętrze groty jest pokryte maskującemi jej skalistość tablicami, obrazami i drogiemi złotolitemi kurtynami, kilka się znajduje ołtarzy, lecz ani jedno malowidło, godne podziwienia; więcej złota i marmuru, niż gustu i sztuki, ani nawet kopii jakiejś pocziwej Madonny Rafaela, Ticyana lub Murilla.

Jest tu i ołtarz wystawiony Trzem Królom Monarchom, i w nim obraz przedstawiający tych dobrodziejów bardzo oryginalnie. Jeden z nich, król Nubii, jakiś młody, bardzo piękny, lecz zbyt lekko ubrany murzyn, ofiaruje własną swą bogatą koronę malutkiemu Jezusowi, który ją odpycha swą drobnutką ręką, z wyrazem twarzyczki tak smętnym i tak roztropnym, że w nim najępsza głowa wyczyta słowa: „moja korona nie jest z tego świata“.

Na licach dobrego murzyna takie się maluje głębokie, szczerze zmartwienie, widać, że go to odrzucenie jego daru szczerze boli. Ta postać jest nienagannie piękną pod wszystkiemi względami, pod względem muszkułarności ciała, kolorytu, wyrazu twarzy i stosowności postawy, zaś Azzimie tak wpadła w oczy, że ich od niej oderwać nie mogła.

— Czemuż się wpatrujesz w ten obraz? — spytała jej.

— Bo to mój brat starszy Artaxerxes, — to jego głowa przynajmniej, bo on przecież nigdy nie był tak mało ubrany, jakim jest wystawiony tutaj, — ah pfe!

— A z twarzy podobny do niego? — pytała dalej.

— Ależ powiadam, że to on, — to on, to nie może być nikt inny, jak on, takim był przynajmniej rok temu.

— A gdzie się podziewa twój brat teraz?

— Jest w tem wielkim mieście, w Rumi (w Rzymie), gdzie mieszka Szeik-ul-Rumi (papież rzymski).

— A cóż tam robi?

— Jest niewolnikiem Rizaat Paszy, Ambassadora porty ottomańskiej.

— Zapewnie — kishar-agą jego haremu?

— O nie! o nie! on nie jest tak jak mój biedny brat Gabril,—on nie jest....., odpowie rumieniąc się Azzima.

Już wiedziała jaka zachodzi różnica pomiędzy kogutem a kapłanem; dziwny wpływ przebudzenia się duszy!

Pytam się ojca Salvadora, czy ten obraz wykonany w Rzymie?

— Tak jest w istocie, posiadamy go dopiero od dwóch miesięcy; Carluccio—sławny Carluccio go malował umyślnie dla nas. Caramba! kosztuje nas dosyć! tysiąc durosów hiszpańskich, w najczystszej srebrze meksykańskim,— odpowie dobry ojciec Salvador, klnąc i giestykulując.

— Wart dwa razy więcej, pomiędzy braćmi, na moje najsiarczystsze słowo honoru Cię zaręczam, ojciec Salvador!

Teraz tłumaczę Azzimie, że to najniezawodniej jej brat służył malarzowi za model do obrazu.

— Tak być musi koniecznie, bo mój brat jest pięknym jak anioł, wszystkie kobiety i wszyscy malarze w niego się patrzą jak w tęczę, a nie jedna kadi-na chętnieby mu....

— Dosyć—dosyć Azzima.... pojmuję, pojmuję, nie pielęgnuj takich myśli w twej głowie, wyrzucaj je z niej drzwiami i oknami....

Zarumieniła się aż po uszy Azzima, — dobrze że się poznała na niedorzeczności i na niestosowności swych myśli—zwłaszcza w tem świętem miejscu; jestem pewnym, że się ich będzie wystrzegała na przyszłość.

Ojciec Salvador, tego wszystkiego świadek, rzekł z namaszczeniem :

— „Djabeł kusi każdą niewinność, i ją kusi także, lecz zjadł szatana, jeśli ją potrafi odwieść od drogi cnoty : portae inferi non praevalerunt — Caramba! to jest dobra istota!“

Jest tu i żłób kamienny, w którym leżało dzieciątko Jezus i laska podobna do pastorału, z którym uchodził św. Józef do Egiptu, i dalej grób św. Euzebusza z Palestyny, ojca Kościoła najuczciwszego po

Origenesie, tak gorliwego obrońcy Ariana, że sam uchodził za Arianina. Umarł tu 340 r.

Lecz zwrócił na się całą uwagę moją grób innego, daleko większego świętego. Jest to grób jednego z najdzielniejszych szermierzy pocziwych myśli, grób człowieka, który, przymiotami swojemu i swoim charakterem, zasłużył sobie na najgłębsze uszanowanie wszystkich chrześcian,—jest to grób św. Hieronima, błogosławionej pamięci.

W obec takiego grobu, w obec tej szczupłej wilgotnej jaskini, w której lat siedemnaście na tłumaczeniu biblii strawił, milkną wszelkie sekciarskie zawiści, wszelkie inne uczucia, prócz uczucia najgłębszego uwielbienia, które mi tu miło złożyć ozdobie katolickiego Kościoła, ozdobie całej ludzkości. Zrzekł się on wszystkiego, co przyciąga do świata, wielkiego urodzenia, majątku i lat osmdziesiąt życia swego od 340 do 420, w którym tu na tem miejscu umarł, poświęcił Bogu i prawdzie. Jako mąż surowych obyczajów, karmił lekkomyślność księży, a zwłaszcza mnichów rzymskich, którzy go srodze przesładowali potwarzają i nieraz zmusili do ucieczki. Dziecko czystej wiary, przywykł pościć, pracować i modlić się w miejscu, w którym Syn Boga chciał także być dzieckiem.

— Trzeba przyznać, że to był jeden z dobrych świętych!—rzeknę do ojca Salvadora, który doskonale wiedział kim i czem jestem.

— Oh bravo, bravissimo! jednym z *dobrych* świętych,—entiendo! distingo! rozumiem—pojmuję; — jednym z dobrych świętych—ha! ha! nie takim jak Loliola - Guzman - Ximenez i Arbuez! — distingo! muy bien! masz pan słuszność, — to nie był zły święty, — per Dios Santo y la Santissima Virgen! Więc Doktor przypuszcza, że mamy i dobrych świętych?

— Nie braknie ich, Bogu dzięki,— ot św. Augustyn, św. Bernard, św. Tomasz d'Aquino, św. Wincenty à Paulo, św. Jan Kanty, św. Jacek Odrowąż i jeszcze wielu innych uczonych, dobrych, miłych świętych, których dzieje, jeśli są z krytyką pisane, jaknajchętniej czytam. Zaś z niewiast świętych, kocham św. Teresę, Brygittę, Bronisławę, Kunegundę, Jadwigę,

a kocham się na zabój w poczciwej Katarzynie z Sien-ny, która Ojcu świętemu takie miłe prawdy pisała, jak np: „avete ridotto i dieu commandamenti ad uno solo: portate danari“.

— To i moja ulubiona święta, — zaręczał ojciec Salvador,—niełękala się prawdy i nie zasadzała świętości w zbytnej pokorze;—zbytnią pokora, to hipokryzja, nie mogę ścierpieć i mnicha zbyt pokornego, do tego stopnia człowiek sam się siebie wyrzec nie powinien, żeby się zniżał do psa, który tem więcej liże rękę, im go ta więcej bije. Nie! tego nie chcę. — Ale pozwól się pan spytać, Doktorze, — czy wierzysz pan w autentyczność naszej groty Narodzenia ?

— Odpowiem na to pytanie kategorycznie i szczerze: wierzę, lubo materyalnie nie jestem przekonanym o dobroci mej wiary; wierzę dla tego, że przy wstępie do tej groty takie mnie ogarnęło silne uczucie rzewnności, i taka mnie przejęła święta ograżka, żem się sam sobie dziwił, — i długo pozostawała dusza moja jakby w zachwycie;—wierzę, że tam się kiedyś coś wielkiego, coś świętego stać musiało, uwierzyłem i wiem, czuję, że na zawsze pozostanę wiernym uczuciu temu, że nie zapomnę nigdy tego świętego dreszczu, teraz mnie jeszcze przejmującego; — wprawdzie, wolałbym, żeby wejście do tej groty było wygodniejszym, bo jakże tu wprowadzić krowę i oslicę, i trzech Monarchów, po tych wązkich, spadzistych czternastu schodach?— to jest szereg cudów, rzecz komplikujących, ale jednak wierzę i wygadać sobie nie dam, że tu się urodziło dzieciątko Jezus, Syn Boga Wszechmocnego.

— To ja Pana zaraz uwolnię od kłopotu, — te schody, po których się schodzi do groty, istnieją dopiero od czasu sw. Heleny, to jest od postawienia kościoła na tem miejscu. Aby zniwelować miejsce, trzeba było wywyższyć je z tej strony na stóp prawie dwa naście, odpowiednio do reszty miejsca, wywyższonego przez samą naturę, twardą, do zniweczenia trudną opoką. Przedtem grota stała otworem i można było doń wejść wygodnie z krową, oslicą i z Monarchami, później, po niwelacyi, musiano dorobić schody, aby z góry weń wkroczyć. Wszystko to da się sprawdzić,



bez wielkiej trudności; w fundamentach bowiem, około schodów, w piwnicach i w miejscach, gdzie pozostawiono krypty na groby, znaleźć można głązy, któremi wywyższono terytoryum, na jakim kościół stoi. Mały czas, sprawdźmy to, a wyjdiesz pan ztąd bez żadnego ciężaru na głowie i bez wątpliwości w sercu.

Istotnie połowa kościoła stoi na wyraźnie tu i owdzie popękanej, cementem kamiennym spojonej opoce, druga zaś część, brukowana kwadratowemi kamieniami, da się odkryć, kamień po kamieniu, i tu można sprawdzić, że one leżą częścią na podmurowaniu, częścią na ziemi tego zbitej, lecz jednakże łatwej do wykopania.

— Teraz wierzę w to, o czem jestem przekonany, i przekonany jestem o tem, w co wierzę, mój wielebny, dobry ojcie Salvador i duszy mej doskonały przyjacielu, i to uczucie zupełnej wiary taką mnie przejmuje rozkoszą, że gotów jestem do wszelkiego poświęcenia, by Ci dać tego dowody.

— Przyjmuję to z wdzięcznością; więc daj mi Doktor piśmienną deklarację, że wierzysz w autentyczność miejsca urodzenia naszego Pana Jezusa Chrystusa.

— Z największą chęcią, — spiszę ją po łacinie.

— To nie wystarczy, spisz ją Doktor we wszystkich językach, które znasz dobrze i w takich nawet które znasz jakotako; ten dowód będzie dla nas wielkiej wartości dokumentem, pochodzi bowiem naprzód od różnowiercy, potem od Doktora Medycyny, który niełatwo w co wierzy, nareszcie od filozofa sceptyka, który wierząc swej filozofii, wątpi nieraz o swej własnej istności...

— Niechże i tak będzie, — lecz to praca nielada.

— Będziemy Ci ją słodzić najstarszym Betlehemem, jaki posiadamy, — trzydziestosiedmioletnim Betlehemem, mówię!

Wykonałem więc tę moją deklarację, jak mogłem najlepiej, we wszystkich znanych mi dość dobrze, lub tylko jakotako językach, podpisałem ją i wszyscy obecni musieli stwierdzić własnoręczność mego podpisu swemi podpisami. Nawet Azzima musiała podpisać,

co ją w wielką wbiło dumę. Tylko Koptowie, zawsze nieufni, tego zrobić niechcieli,—mniemali może, że tem podpisują cyrograf na własną duszę.

Przekonaliśmy się tymczasem w refektarzu, w którym się to wszystko działo, że wino betlehemskie ma prawo być uważanem za jedno z najszlachetniejszych win, zbliża ono się mocą i aromatem do wina „Lacrymae Christi“, otrzymywanego z winogron, rosnących na stopach Wezuwiusza, we wsi Ottaiano i w przyległym Bosco reale,—jest jeszcze nawet mocniejszym.

Kopci niechcieli ani jeść ani pić z nami, -- nie uważali, ani nas, ani tych pocziwych mnichów, za dość czystych chrześcian, dla tego, żeśmy nie byli chrzczeni nożykiem, zgiętym w półksiężyc, a zatem nie doskonale chrzczeni. Tak niewygodnych chrześcian nie spotkałem nigdy w życiu, chociaż przecie żyłem z kwakrami, z anabaptystami, z menonitami, z maronitami, z mormonami i z mukrami niemieckimi.

Pan de Mornay mizdrzył się jak mógł do pięknej, oryginalnej koptanki, lecz ona, nie wiedząc co znaczą te minki, te przebijające spojrzenia, te *posy* i *attitudy* francuza, spoglądała na niego jak na warjata, i spytała się mnie wręcz po arabsku, czy ten Mussu Frándzi nie jest przypadkiem psyllą, to jest pajacem ulicznym egipskim, czarującym węży i odgrywającym komedię w potrzebie.

— Tak jest w istocie, on jest psyllą, —nie ma co mówić,—darmo, — odpowiem pięknej koptance, jakżem jej bowiem mógł dać pojąć, że on to wszystko robi dla ściągnięcia na się jej uwagi i dla przypodobania się jej. Mówić z nią nie mógł ani słowa, bo, pomimo piętnastu miesięcy strawionych już na podróżach, nie nauczył się ani jednego słowa arabskiego, tureckiego lub przynajmniej jakiegokolwiek bądź obcego.

— Coś o mnie mówiła ta piękna koptanka, — co też mówiła, Doktorze? —zapyta de Mornay.

— Istotnie mówiła,—pytała się, czy jesteś szlachcicem wysokiego rodu,—odpowiem.

— A powiedział jej Doktor, że jestem synem hrabiego? i że mógłbym nosić tytuł Wikata (t. j. Wice-hrabi), gdyby mój brat, który ma suchoty już był

umarł,— co z resztą nastąpić musi wkrótce — hélas ! ależ to żaden z nas nie może uniknąć śmierci, po najdłuższym życiu jednakże.

— A jakże ? a jakże ? ciągle jej o tem mówięm, a nawet o tem, że twoja ś. p. matka była córką księcia.

— Ach dziękuję Doktorowi!—niedbam wprawdzie wiele o reputacyę arystokraty, lecz kiedy to jest prawda, to nie jest grzechem być wikątem.

— Owszem, owszem, jest wielką zasługą przed Bogiem być Wikątem, ale jeszcze większą być baranem, bo baranią skórą można się oblec, a baraniem mięsem nakarmić.

— Ah! nie pojmuję bardzo dobrze doniosłości tego konceptu!..

— Dam ci eksplikacyę inną razą, tymczasem, *continue à la charmer*,—to jej robi nieskończoną przyjemność.

I ciągnął dalej swą grę francuz — *il faisait même la roue jak paw'*, rozwijał wszystkie swoje kolory.

Oni powiedzieli, że Burboni nie mogą nic ani zapomnieć, ani się nauczyć,—lecz toż samo możnaby powiedzieć o wszystkich francuzach, bez ubliżenia bynajmniej prawdzie.

W Betlehem zrobiłem ważne odkrycie, znalazłem tam Niemca Ewangielika, który tu przyjechał z żoną przed kilku laty w celu nauczania Arabów, jak mają robić dobre wina z swych doskonałych winogron, z których dotychczas tylko kapucyni potrafili, w sekrecie sztukę swą utrzymując, robić ów nektar, jakim nas częstowali z prawdziwie wylaną hojnością. Był to Wirtenberczyk, który, dzięki rekomendacyi swej królowej, uzyskał tutaj silną protekcyę ze strony rossyjskiego konsula i mógł rozpocząć dzieło cywilizacyi, bednarząc, uprawiając kawał zakupionego gruntu i wyciskając tanio zakupowane winogrona, nie nogami jak się tu dzieje, lecz prasą dynamiczną. Żona jego szwabka z urodzenia, z temperamentu i piękności, pomagała mu jak tylko mogła najskrzętniej i wszystko szło im najlepiej, tak, że ci ludzie niezawodnie do majątku przyjdą, bo ich wina są dobrze płacone w Jerozolimie.

Nazywa się Krystyan Sauber, a imię to inazwisko wcale nie kłamia, bo jest i dobrym chrześcijaninem, i człowiekiem czystym i porządnym. Wina jego nie są stare, jednak są dobre, klarowne, dość mocne i smaczne, a mogą z czasem dostąpić wielkiej wartości.

Trzeba oddać sprawiedliwość panu Sauber; usiłowaniami swojemi, tak moralnemi i rzetelnemi, zdobył on sobie niezaprzeczone prawo do tytułu kulturtregiera, to jest światłonośca; wpływa on bardzo skutecznie na poprawę bytu, w tem lubem Betlehem, w którym radbym widzieć wszystkich szczęśliwemi, tak mi od razu do serca przypadło. Pan Sauber podjął także, jeżeli nie oficjalnie, to przynajmniej oficynie, pracę około oczyszczenia miasta z substancyj, podlegających zgniliznie: dotychczas tylko psy i szakale myślały o policyi miasta i wykonywali ją po swojemu, dość niestarannie.

Toż samo robią i dziś jeszcze psy w Jerozolimie, w Konstantynopolu i w innych miasta Turcyi, wyjąwszy Smyrny, Bejrutu i Jaffy. Tę samą pełnili misję te zasłużone kwadrupedy w Lizbonie, przed naszym wdaniem się w losy Portugalii za Don Pedra, cesarza Brazylji i jego wówczas małoletniej córki, królowej Donny Maryi da Gloria. Owe duże sępy Meksykańskie pełnią toż samo posłannictwo w Vera-Cruz, w terażniejszej Rp. Meksykańskiej.

Przybysz z dalekich stron, z brzegów jeziora Konstancyi organizuje tu rodzaj służby porządku, złożonej z indywiduów, do rasy bipedów beżpiórnych należących, i powołuje do współdziałania wszystkich swych nowych współobywateli. Nie bardzo jeszcze wspierają Pana Sauber ojcowie kapucyni, dla tego, że jest różnowercą, lecz ojciec Salvador, najświetlejszy z bractwa, gotów jest dla dobra wspólnego poświęcić przesady, zwłaszcza, że Monsignore Valerga, świetny i pod każdym względem zasłużony patriarcha Jerozolimski rzymsko-katolicki, przychyła się widocznie do sposobu widzenia i działania owego skromnego ogrodnika niemieckiego, któremu Betlehem już tyle zawdzięcza. Patriarcha rezyduje w Bedżalla, zaledwie półtory wiorsty od Betlehemu położonej.

Będziemy wkrótce mieli sposobność zapoznania się blisko z tym wysokim dygnitarzem Kościoła, reprezentującym tak okazale religię, archeologię, filologię, moralność, a nawet prawnictwo,—został bowiem mianowany proprio motu populi Kadim, to jest Sędzią polubownym, przez wszystkich tutejszych Arabów chrześcijańskich, mahometańskich i izraelickich.

Teraz, poznavszy Betlehem, który często odwiedzać będziemy, zwróćmy kroki nasze w tę stronę, dokąd nas przyciąga słowo Salomona.

## ROZDZIAŁ V.

### Ogrody i wodozbiory Salomona.

---

Chodźmy oglądać, blisko Betlehemu położone, znakomite do dziś dnia, pomniki jednego z najpotężniejszych monarchów świata, który pozostawił niezatarte ślady w historii narodów. Tak często podczas przygodowych podróży naszych po ziemi świętej będziemy mówili o Salomonie, że warto sobie kilku słowy przynajmniej odświeżyć w pamięci główne rysy historii tego monarchy i proroka. Żył lat tysiąc przed Chrystusem i był najmłodszym synem króla Dawida, i ostatniej jego małżonki Betsabei, intryganckiej i niewiernej żony Arjasza. Zniechęcały na starość Dawid, ten sam, który tu pokonał w młodości swej lwa, niedźwiedzia i Goliata olbrzyma, dał się nakłonić przez Betsabegę do złego czynu: — niepomyślnie na prawo starszych swych synów, zostawił najmłodszemu koronę. Salomon rozpoczął swe rządy sposobem wschodnim, — pozbawiając życia wszystkich, co mu niedogodnymi byli, zwłaszcza brata swego, prawego następcę tronu, Adoniasza, i kuzyna swojego bohatera Joaba, zdobywcę Jerozolimy i pogromcę Jozubejczyków. Ten ostatni zamordowanym został w przybytku Pańskim, — lecz trzeba przyznać, że i Joab nie zawsze był wolnym od zarzutów. Umiał Salomon posługiwać się Egypczykami w wojnach, które prowadził przeciw nieprzyjaciółom i uczynił swe wojsko nadzwyczaj groźnym, zwłaszcza przez pomnożenie jazdy, chociaż Mojżesz zakazał był żydom cho-

dowania koni, niewiadomo dla jakiej przyczyny. Resztę Kananejczyków, opierających się potężde żydów, pokonał i do uciążliwej ich przywiódł niewoli. Zdołał wynieść swą władzę, pomimo wielkich przeciwności, a pokonawszy nieprzyjaciół, wziął się niebawem do nauczania swych poddanych przemysłu i niesłychane zdobył bogactwa w handlu z Arabią i Persyą.

Widząc się bogatym i silnym, dążył do koncentracji politycznej i religijnej, do czego przyczyniło się wystawienie znanej nam świątyni w Jerozolimie, kilku pałaców królewskich, ogrodów, wozobiorów i zbyt ko-wnych świetności. Otoczył się licznym dworem, ha-remem, składającym się z kilkuset kobiet wszelkich narodowości. Zaczął uciskać swój lud podatkami, a żo- nom swym, pogankom, wystawić pozwolił ołtarze bo-żyszczom.

Pomimo tego wszystkiego, świetniał mądrością i ge- nialnością, podziwiany był przez najpotężniejszych obcych monarchów i często przez nich był odwiedzany. W chwi- lach wolnych od zatrudnień, oddawał się mądry Salo- mon rozmyślaniom religijnym, śpiewał nawet na nutę pobożną, śpiewał co mu przyszło pięknego na myśl i dzięki temu świętemu, niestety, przemijającemu uspo- sobieniu, odziedziczyliśmy jego „pieśni nad śpiewami“, jego „Kaznodzieję, Przypowieści, księgę Mądrości“ i kil- ka psalmów. W ostatnich latach panowania pokonał jeszcze bunt Jeroboama i kapłanów, których umiał odsunąć od znaczenia. Żył i panował długo ten mądry, w potrzebie i waleczny, zawsze genialny monarcha, lecz, zaraz po śmierci jego, państwo rozpadło się na dwie części i odtąd już ciągle chyliło się ku upadkowi.

Teraz wiemy tedy z pewnością, kim i czem był Salomon, o którym nam często przyjdzie mówić w cią- gu naszego pobytu na tej ziemi świętej.

Mówić zaś o nim zawsze będziemy z przyjaźnią, na którą z naszej strony nie zasłużył sobie Ludwik XIV, adorator starej, złośliwej apostatki, która najlepszych ludzi wyгнаła z Francji i ją na łup oddała Jezuitom.

\* \* \*

Schodzimy z Betlehem ze strony południowej: z tej bowiem to miłe miasto ukazuje się najkorzystniej, i uwieńcza wzgórze nadobnym dyademem białych murów bez dachu, nad któremi palmy, cyprysy, pistacye, akacye rozpościerają swe dobroczynne, pachnące gałęzie, szemrząc w powietrzu jakoś tak tajemniczo, jak gdyby jeden listek drugiemu miał Bóg wie co tajemniczego do opowiedzenia. Nad wszystkim góruje wysoki dach klasztoru Sw. Narodzenia, jako naturalny obrońca tak mnogich domów, domków i chat, pod któremi żyją dobrzy, pracowici, w Boga szczerze wierzący ludzie.

Zatętniały mi po raz pierwszy, od lat może trzydziestu, zapomniane słowa i nuty hymnu, który nieraz w kraju rodzinnym śpiewałam:

Ibi Jesus natus,  
Nobis Christus datus;  
Atque genti confidenti,  
Et in terra remanenti  
Salus æterna!

Teraz uznałem siłę uczucia, gdy je ożywia wieczna myśl Boska i pożegnałem Betlehem, *tem, czem* je powitałem—łzami.

Grunt żyzny Efraty nie wielką pokrywa przestrzeń, nie trwa długo jej uroczą roślinność, — i znów kamyki, kamienie, głazy, opoki zawalają drogi, drożyny, ścieżki, aż nareszcie wszystko ustaje i następuje puszcza, po której uwijają się duże, wcale nie zielone, lecz czarne jaszczury, z zadartemi w górę ogonami. Są to jaszczurki łuskowe (*lacerta imbricata*), najwięcej zbliżone do krokodyłów, czasami do czterestu cali długie.

Pod jedną z opok siedzi jakaś postać sniada, z rozcuchranemi, kędzierzawemi, niedługimi włosami, z twarzą prawie czarną, jak u naszej murzynki, ubrana w krótką brudno-czerwoną suknię, z gołemi pod siebie wciągniętymi nogami,—obok niej pęk rozmaitych



roślin i strzelba pistonowa, wcale dobra, w jej rękę obszarpana książka, na jej łonie wielki czarny kot, u jej zaś nóg mały pies tegoż koloru,— czarny kozioł nie daleko od niej pasie się skąpą trawą, a na opoche bardzo duży kruk, widocznie oswojony, bo czerwoną nosi kolo szyi wstążkę. Ta mulatka, czy murzynka, niewiem jak ją mianować mam, bo czarniejszą była od mulatki, a bledszą od murzynki, nie raczyła nawet zwrócić uwagi na nas, chociażśmy stanęli, wstrzymując cugle i zwracając ku niej oczy. Przybliżyliśmy się nareszcie więcej,—ale pies zaczyna szczekać, kot mruczyć, kruk kracze i dziób rozdziera, a kozioł zwraca się i nachyliwszy głowę z ogromnemi rogami, żółtokrwawym na nas spoziera ślipiem, i gotów lecieć obcesem ku nam, zwłaszcza ku pieszo idącym koptom, co nam ciągle towarzyszyli, bo im tak podróż taniej i wygodniej przychodziła.

-- Co to za kobieta?—spytałem przewodnika, owego belfera betlehemiste.

— A to przecież Nuna, nasza doktorka, -- odpowie natężając głos belfer.

Kobieta zagadkowa spojrzała najprzód na belfera, potem na mnie i schyliła przedemną głowę—zatrzymała źrenice na mnie, źrenice badawcze, świecące, pryskające, duże jak czarne wiśnie, a pływające w sporym, jak białko od jaja, oku.

-- Monsieur le Docteur,—mówi pan po francuzku? spytała mnie zupełnie poprawną francuzczyzną.

— Ależ tak—mais si! z kądeś się tu wzięła pani, czy panno doktoroko?

— Z Paryża, z kąd jestem rodem, panie Doktorze, odpowie ta osoba, zrywając się rzeźwo na swe sandałami obleczone nogi, nakrywając głowę ogromnym słomianym kapeluszem owej formy biblijnej, z dnem spiczastym, z zwieszonem rondem.

Była to osoba dość chuda, wysoka, nerwowej silnej budowy i wcale gracka w ułożeniu, a mogła mieć ze dwadzieścia sześć lat, z resztą nie brzydka, — owszem, musiała być raczej piękną, przynajmniej ładną, bo rysy ma regularne, lecz wyraz twarzy przykry,

kąty ust ściągnięte na dół i przyćmione ponure oczy, nadające jej wyraz cierpkości.

— Widzę, że się zatrudniasz, moja pani, czy pan-no, botanika, — sądząc z zebranych roślin i z książki botanicznej, którą czytasz. — To jest Tyssota zielnik lekarski, jak widzę.

— Tak jest w istocie, — mieszkam u aptekarza w Betlehemie, i czasem mu znoszę zioła z ogrodu Salomona lub nawet z puszczy, — jak się zdarzy; jak gdzie jakie ziele wyrosnie, lub jaki korzeń dojrzeje, on sam niema czasu wychodzić, a ja się lubię włóczyć po tym kraju, którego znam dobrze tajniki, więc je zbieram.

— I nie wystawiasz się przez to na niebezpieczeństwo moja pani czy panno?

— Jestem mężatką, może nawet i wdową — Bóg to wie. Nie! nie wystawiam się na niebezpieczeństwo, umiem się pilnować, z resztą ludzie mnie tu szanują wszyscy, bo mnie uważają za czarownicę. Niech i tak będzie, — dobrze mi z tem.

Tymczasem zebrała swoje zioła i koszyk pokryty wprzód kapeluszem, a napełniony owemi jaszczurkami czarnemi, podniosła strzelbę i zabierała się w pochód, silnie świsnąwszy, by zwołać swą czarną menażeryę.

— I coż pani robi z temi jaszczurkami?

— To samo co robił św. Jan na puszczy, — spożywamy je; nie samym tylko miodem i szarańczami żył Jan święty, byłby umarł z głodu, jadł także i jaszczurki; nie ma w tem nic złego, wszakże lekarze Montpelijscy przepisują do dziś dnia rosół z jaszczurek swym chorym, zwłaszcza suchotnikom.

— Wiem o tem, — doskonale wiem o tem, mięso jaszczurki ma zupełnie smak raka, który mniej jeszcze czystym jest od niej. A jakże Imość poluje na te jaszczurki?

— Tą strzelbą, nabijaną z tyłu śruciną sporego numeru, — inaczej się nie dadzą brać, tylko trzeba im prosto w łeb palnąć.

— Czy i św. Jan tak robił?

— To też to właśnie, że niewiem jak robił, by je zdobyć, — pewno ich nie strzelał — chyba z łuku strzelał.

— I zawsze Imość wychodzi w towarzystwie swej czarnej menażery?

— Zawsze, kiedy pogoda, kiedy zaś deszcz, to tylko z psem,—a w nocy z kotem, który i w ciemności widzi i służy mi za ostrowidza, kiedy poluję na borczuki, których mnóstwo w niektórych okolicach, gdzie owoców i zboża nie braknie. Życzę szczęśliwej podróży. — A propos—pan Doktor kiedy przyjmuje wizyty w swym szpitalu ?

— Zawsze, kiedy jestem w domu,—lecz co rano muszę być w domu, to moja powinność.

— Dobrze,—sługa uniżona.

Pobiegła naprzód z piętnaście kroków, szybko i wartko, krokiem paryżanek, posuwistym, elastycznym i zastanowiła się, wróciła i przybiegła do mnie tuż blisko, pytając cicho lecz wyraźnie :

— Czy pan wierzy w skuteczność rosołu jaszczurowego w suchotach ?

— Wierzę,—wiem że to pokarm subtelny, zawierający w sobie coś, co powinno pomagać w tym razie.

— To pan weź z sobą owe jaszczurki dla swojej służki,—owej murzynki.

— Zkądże wiesz, Nuno, że ona suchotnica, przecież nie kaszle i dobrze wygląda.

— Róża najpiękniej się rozwija, kiedy ją toczy owa malutka gąsiennica, zwana świderkiem.

— Zkądże wiesz ? z czego się dorozumiewasz ?

— Nie na darmo zowią mnie czarownicą... ja słyszę jak trawa rośnie,—weź pan,—będę mu dostarczać jaszczurek.

Oddała mi koszyk i pobiegła,—wkrótce zniknęła mi z oczu, a ja zostałem z jaszczurkami w ręku.

Coś w tej kobiecie niezwyklego,—zkąd ta bystrość spostrzeżenia ? to współczucie dla murzynki ? mulatki często się odznaczają miłością, czasem dobrocią serca, nigdy bystrością umysłu.

Lecz Azzima wszędzie zyskuje sobie współczucie, może dla tego ją kochają, że długo nie pozostanie na ziemi.... litość chwyta się nieraz najtwardszego serca i wzbudzona jest jakimś tajemniczym urokiem.

Jesteśmy niedaleko Betlehemu, a jednak przedstawia się oczom naszym widok tak różny,—tu około nas tylko skaliste, nagie, przykro lśniące się wzgórza. To żelazo, a nie ziemia. Jeszcze kroków kilkaset, a z po za szerokiego wąwozu wyziera na lewo jakiś wielki kamienny kopiec, jakiś ogromny stoczek ścięty, nachylony na prawą stronę, a tak stromy, że, bez pomocy wyciosanych w skale schodów, nie możnaby wejść na jego wierzchołek—i to nawet trudna przeprawa, kobiety nie mogłyby nigdy dokonać tego. Jest to Herodion, dziś tak nazwana góra Franków; utrzymują, że tu kilkunastu rycerzy francuzkich zdołało się utrzymać na fortecy, dawniej na jej szczycie istniejącej, trzydzieści lub nawet czterdzieści lat po zdobyciu Jerozolimy przez Saracenów. Ztąd już blisko do ogrodu Salomona. Istotnie po przebyciu spadzistego wąwozu, wijącego się pomiędzy dwoma górami, otwiera się nagle widnokrąg i spostrzegamy przed sobą dolinę długą, lecz dość wąską, w której pomiędzy drzewami i krzewami, mruczy strumień tak powabnie, jak gdyby to była okolica Ojcowska, a ten strumień Prawdnikiem.

To jest ów sławny *hortus conclusus Salomonis*, Uadi urtas Arabów, o którym autor kantyków wspomina tak poetycznie, mówiąc: „ogrodem zamknionym jesteś, oblubienico moja, źródło zawarte, zródło zapieczętowny. Szczepki twoje są sadem jabłek granatowych, cyprysu, szpikanardu, szafranu, kassyi, cynamonu, myrry, aloesu i muszkatelów“.

Tak w kantyku 18, w wierszu 12-ym i dalej, śpiewa Salomon o oblubienicy swojej, porównywając jej uroki z wszystkim, co rosło w jego ogrodzie.

Wiemy że to rosło dawniej w ogrodzie Salomonowym. Rośnie tam teraz jeszcze więcej, dzięki panu Melchior, ogrodnikowi pruskiemu, właścicielowi jego, a mianowicie, są tam kartofle, rzepy, kalafior, pomidory, groszek, a nawet i najprozaicniejsza w świecie kapausta żuławska.

Tego ogrodu uroków i owoców pilnują trzy prześliczne nimfy warzywne, wnuczki ogrodnika, dzieci zmarłej córki jego i nieboszczyka pana Fiddle, Angli-

ka; — najmłodsza ma lat piętnaście, najstarsza lat dziewiętnaście, a wszystkie ładne, szczególnie bardzo nadobne.

Do pana Melchior mieliśmy list polecający od biskupa anglikańskiego z Jerozolimy. Był on już uprzedzony, że przybędziemy na obiad, czekał na nas wraz z bardzo podeszłą swą żoną i wnuczkami, i przyjął nas najserdeczniej, z niezwykłą niemcom gościnnością. Lecz trzeba wiedzieć, że pan Melchior przebył lat kilkanaście życia swego w Polsce, którą bardzo polubił, i że drugie tyle przemieszkał w Anglii, gdzie się ożenił z zacnego rodu i dość majątną angiolką, — dość, że miał sposobność nauczenia się gościnności i tych zalet stałego charakteru, które łatwo nabywa człowiek dobrej woli, pomiędzy dobrze wychowanymi Polakami i Anglikami.

Te damy zajęły się zaraz nietylko naszą ex-księżną, lecz i murzynką, którą już były poznały w Jerozolimie, a którą polubiły z powodu jej rzewnej, poczciwej wiary w nowo poznaną i nowo uznaną religiję. A religijnymi były te damy, nieboszczyk pan Fiddle sprawował obowiązki kaznodziei koczującego a zarazem misjonarza, i to z wielką gorliwością i ze znakomitą korzyścią. Kilkunastu nawrócił arabów, a nawet ze trzech żydów, i sam własnoręcznie wręczył biblię królowi Dahomei, który go chciał za to ściać. Kilkoro z tych arabów i jeden z nawróconych żydów pracowali tu w ogrodzie i doskonale się sprawowali. Ale inni, także tu z początku po nawróceniu pracujący, nie dotrzymali placu, wrócili do szacherki. Miłość do pracy rolnej trudno wpoić w żyda, natura go ciągnie do szacherki, tak jak lisa do kurnika i kozła do kapusty.

Mister Stick mniej był sztywnym jak zwykle, jednak przyswoił sobie w moim, w ex-księżnej i Azzimy towarzystwie maniery, inne życie weń wstąpiło, sam to przyznał. Pilnował jednakże skwapliwie swych obowiązków i palnął nam dwa kazania, jedno krótkie przed obiadem, drugie tak długie po obiedzie, żeśmy prawie wszyscy zasnęli. Ale Azzima nie usnęła, dotrzymała biedaczka placu i potem dopiero po benedykcji

usnęła obok nóg pani Roux, śpiącej od dawna, a nawet chrapiącej wcale nie po książęcemu.

Na obiad zjedzono całego, pod gołem niebem upieczonego barana, cała bowiem kolonia pana Melchior brała udział w tej patryarchalnej uczcie, w ogóle dwadzieścia osób różnego stanu i wieku. A miała miejsce ta uczta pod gołem niebem, przy jednym stole. Nie bardzo to przypadają do smaku panu de Mornay który dbał niezmiernie o zachowanie swego decorum i na mieszczanina spoglądał, jako na niższe od siebie stworzenie, lecz „à la guerre il fallait faire comme à la guerre“ powiedział sobie samemu dość głośno, i za chwile zdjął pychę z serca. Tenci skwapliwiej zaczął się palić do młodych panien Fiddle, które mówiły cokolwiek po francuzku, tak jak prawie wszystkimi językami europejskimi, ojciec ich bowiem był jednym z inspektorów misionarskich Towarzystwa biblijnego i objeżdżał całą Europę i część Azji w tym celu, zawsze z całą swoją rodziną. Bawiła ta szarmanterya francuzka te mile istoty, obeznane z charakterystyką wszystkich narodów.

Po obiedzie obejrzelśmy cały zakład, od początku aż do końca.

Ogrodzonym był tak jak za czasów Salomona, nieprzebitym żywym plotem kaktusa kolącego, na którym myriady dojrzewały fig koleczastych. Strumień wody toczył się z gór, częścią kaskadami, częścią wolno bieżąc rozdawał się prawie w środku, obejmując wyssepkałkiem ze zwalisk dawnego zamku Salomonowego złożoną, a rosły na niej tysiączne krzewy i drzewa obok kaktusów i aloesów, tak ogarniających wszelką inną wegetację, że je trzeba było wytępić żelazem, ogniem i gorącą wodą, by zyskać miejsce na pożyteczniejsze rośliny. Na samym szczycie tych zwalisk stał obszerny szałas o dwóch niskich piętrach, gdzie spali robotnicy i goście, — samą rodzinę i dam, które zwiędzały zakład, umieszczono w murowanym dworze Melchiora, do którego jedne tylko obronne drzwi prowadziły; wszystkie nawet okna zasłonięte były okiennicami żelaznymi, tak, jak w fortecy. W tej bowiem części kraju, pomimo pozornej od dawna nie-

przerwanej spokojności, nie można było być dość ostrożnym. Hatti-humayum, którym sułtan nakazał poddanym swym łagodność względem chrześcian, oburzył beduinów, którzy od wieków tylu spoglądali na nich, jako na należące im się ofiary; a czemże Basza, żeby nawet był istotnie ludzkim i sprawiedliwym, mógł przeprowadzić w życie nowego prawa wykonanie?

Po dość uciążliwej podróży, musieliśmy korzystać z gościnności pana Melchiora i przepędzić tu noc, lecz jeden z nas trzech europejczyków czuwał kolejno, podczas półtrzeciej godziny i patrolował, z dwoma arabami chrzczone mi z zakładu, z jednym z trzech europejskich sług, i z psem, wolno, cicho, ostrożnie, krok po kroku po ogrodzie chodząc, zwłaszcza około domu, w którym spały owe damy, zachowujące także wewnątrz domu czujność jaknajstaranniejszą, nie śpiąc, lecz czuwając kolejno. Wszystkie trzy panny Fiddle umiały się obchodzić z bronią palną, i wcale nie robiły sobie wstydu z odwagi, ani także nie wpadały w jakieś niestosowne dla kobiety junactwo. Były odważne, bo takimi powinny być kobiety umiejące się szanować i chcące same pilnować swej cnoty, — to wszystko—all right. Nic ckliwszego od tych dam, u których dusza ciągle na ramieniu, a nic nieznośniejszego, od amazonek, mówiących ciągle o swej wielkiej odwadze. Takie raczej ośmielają mężczyzn, a mężczyzna ośmielony, jest już na pół zwycięzcą.

We Wrześniu nas tu trwa dziesięć godzin,—a zatem dłużej niż u nas.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Klimat-Ceres-Pomona-Fauna-Palestyny.

Palestyna, leżąc pomiędzy 31-ym a 33-ym stopniem szerokości geograficznej, cieszyć się powinna z klimatu ciepłego, umiarkowanego, i cieszy się też, a że leży nad morzem, i na wzgórzach, jednoczy więc w sobie ciepłik z świeżością powietrza, rozmaitość i dobroć płodów. Nie jest tu tak gorąco, żeby człowiek miernych sił miał mdleć przy pracy, a jest jednakże dość ciepło na dojrzewanie najpiękniejszych owoców ziemi, jak to już wiemy. Rolnictwo i pasterstwo, owe pierwotne, zawsze miłe zatrudnienia dobrych spokojnych ludzi, mogły tu zrobić z żydów ludzi prawdziwie szczęśliwych i dobrych, ale oni woleli szachrować, zaniedbali pracę i zmyła się ziemia z gór, pozostały skały, na których już nigdy nic nie urosnie.

Pory dnia w tych krajach mniej są zmienne od naszych. W dniu najdłuższym, słońce wstaje o godzinie 5-ej, a zachodzi o 7-ej, trwa zatem dzień najwięcej godzin 14, u nas zaś trwa przeszło 17. Dzień najkrótszy trwa tutaj od 7-ej do 5-ej, a zatem godzin 10, kiedy u nas trwa zaledwie godzin 7.

Pory roku są w tymże samym stosunku. W lecie dochodzą upały do uciążliwego stopnia, w zimie deszcz pada prawie ciągly. Śnieg pada w górach, lecz pozostaje tylko na całą zimę w Libanie, tu zaś w Palestynie zmywają go deszcze i stapiają słońca ciepłe



spojrzenia. W Październiku deszcze zaczynają już skrapiać wyschlą do wysokiego stopnia ziemię i przygotowują ją do siewu; ozimina wyrasta bujnie przez całą zimę, w Marcu deszcze późniejsze, połączone z grzmotem, przynoszą ziarno do wzrostu, a w końcu Kwietnia odbywają się żniwa, gdy żadne już niepadają deszcze.

W górach wyższych topnieją wówczas śniegi, a Jordan występuje z łoża i zalewa niziny. Potem nastają gorąca i trwają aż do Października; lecz rosy odświeżają ziemię, a winogrona i inne owoce dojrzewają we Wrześniu.

Źródła nie są liczne w tym kraju, były niegdyś liczniejsze, lecz wyschły w skutek przekleństwa, i jakiegos tajemnego i raptownego, a przewidzianego i przepowiedzianego przez Chrystusa kataklizmu. Dla tego też czczą tutaj i szanują źródła, otaczają je wszelkimi względami: może się też kiedy nauczą ci ludzie wiercić studnie artezyjskie, które sprowadzą bogactwo do krajów, w których hydraulika dobrze jest znana.

Wiatry tutejsze, pochodzą jedne z ładu, drugie z morza. Te ostatnie odświeżają i przynoszą deszcze. Pomiędzy wiatrami lądowymi odznacza się ów gorący, wschodni, wiejący z puszcy, zgubny dla ziemi i dla ludzi. Częstokroć przybiera siły uraganu, tumani morze, pogrąża okręta, a na lądzie łamie drzewa i przewraca domy.

Mało tu lasów, mniej jeszcze jak w Syryi i Anadolii. Ludzie wydrzewili te krainy, częścią by gruntu zyskać, częścią po prostu dla zniszczenia kraju, jak to czynili Saraceni, a nawet Rzymianie. Te drzewa, które istnieją, czarują wielkością i wieczną zielonością, drzewo ich jest dobre, jako materiał budulcowy; najwięcej dębów, tamaryndów, cedrów, cyprysów i akacyj. Sok tych drzew jest dziwnie aromatyczny, drzewa terpentynowe, (pistacia therebintina) wydają wielką siłą terpentyny, z drzewa zwanego Gilead pochodzi balsam, prawie tak dobry jak ów z Mekki; gummowe drzewa Tragantu wydają substancję gojącą piersiowe choroby. Z gummy Elemi sporządzają tu trunek, który, miernie

używany, odżywia siły. Opisując Betanię, wzmiankowaliśmy o wielu innych roślinach pożytecznych.

Łąki i pastwiska Palestyny były niegdyś tego kraju bogatym błogosławieństwem. Tam się pasły owe liczne stada bydła rogatego i nieprzeliczone stada owiec. Pomiedzy skałami, szukały pożywienia dzierzkonogie kozy. Osioł udaje się tu lepiej jak koń, który jednakże nie robi swemu arabskiemu pochodzeniu niesławy. Doliny Saronu nam już znane, pagórki Basanu, owe samotne, oddzielone od siebie pastwiska na wyższej Judei, są dziś jeszcze źródłami bogactwa.

Pomiedzy wielu użytecznymi zwierzętami, muszę wymienić jedwabniki i pszczoły. *Morus nigra*, albo i *rosea*, trzy rodzaje morwy, rosną tu dziko, lecz nikt z tego daru korzystać nie umie, bo stan spokojności niepewny: Bismark temu poradzi.

Pszczoły leśne wydają miód zbierany na myriadach myriadów roślin aromatycznych, w miejscach dla ludzi niedostępnych. Ula te pszczoły nie mają, składają miód w dziury drzew i szczeliny skał, zkąd dosłownie wypływa, aromatem swym napawając powietrze. Pojąłem św. Jana skromne śniadania.

Szkodliwe zwierzęta były tu jeszcze: polowali nań dzielnie historyczne osoby, jak Nemrod, wielki myśliwiec przed Bogiem, i król Dawid, kiedy jeszcze był pastuszkim, tu właśnie w tym kraju, w którym spisują te słowa na gruzach zamku Salomona. Był tu srogi lew i zdradliwa pantera, a wałęsa się jeszcze tu i owdzie obrzydliwa hyena, stadami zaś całe swoloczce szakalów, rodzaj lisa psiego, czy też psa lisiego, pożerającego i kury i winogrona z godnym lepszej sprawy apetytem. Mnie pożarły raz pół funta czekolady z pod poduszki, Anglikowi zaś dwa funty mortadelki,—lecz nas przynajmniej nie tknęły. Było to w Jericho.

Z zmij jeszcze się tu często napotykających, najszkodliwszą, prawie natychmiast śmiertelny wpływ wywierającą, jest *Vipera bicornuta*, barwy żółtawej, piaskowej z punkcikami czarnymi i dwoma różkami. Biblijnem jest stworzeniem. Mlecz w tej samej okolicy

bujnie rosnącej *Euphorbia urens* (Wilkomlecz) jest najlepszym antidotem w braku amoniaku kaustycznego.

Niedźwiadek Skorpion także bardzo szkodliwy, wskutek ukłucia tego gadu, umarło w moich oczach dwoje dzieci. Wielkie chmary much, szerszeni i komarów jadowych, także się tu zdarzają, a gdy przyleci szarańcza, wówczas Boże się zlituj nad ludźmi. Widziałem resztki dziecka pożartego przez szarańczę,—został tylko szkielet; widziałem i dobrze wypasłą szarańczę, każde indywiduum ważyło tyle, ile nowonarodzony wróbel.

Tutaj w ogrodzie Salomona, pan Melchior dowodzi urodzajami, że wszystko co dobre udaje się wybornie w Palestynie.

Pszenvca dostarcza mąki subtelnej i silnej, jęczmień tutejszy dobry, a perlowany, dodaje ryżowi smaku i mocy; można z niego piec chleb wyborny. Żyto i owies nie sieje się nigdy, bo grunta mogą wydać coś lepszego, lecz kukurydza i jagły wyborne tego roku wydały plony, kłos kukurydzy niejedem doszedł do 20 cali długości, a kłos jagły do siedmiu cali. Głóvka maku dochodzi do wielkości sporej pomarańczy, winogrona zaś zwyczajne kanaeńskie, ważą do 12 funtów, i są długie przeszło na pół łokcia, a gronko jest duże jak śliwka. Palma daktyłowa tutejsza, zadziwia wszystkich botaników wielkością i dobrocią owoców; liście jej dochodzą do ośmiu stóp długości, włókno jej służy na tanie kobierce, zasłony a nawet na tło do płaszczy, do kapeluszy, robią z niego trwałe sandały, kosztujące para dziesięć groszy polskich. Są tu drzewa figowe, wydające owoc trzy razy na rok, palmy gojawy, wydające owoc długi jak ogórek, podobny jemu co do kształtu, a smak mają jak smażony grzyb i żywią jak mięso. Prócz tego, granat, migdał, śliwka, pistacya, chleb świętojański. urozmaicają Pomonę tego cudnego ogrodu, oliwka zaś wielka, jak śliwka końska u nas, wydaje oliwę wysmienitą i uzdrawiającą rany, a tak sławną, że ją do Persyi i do Arabii wywożono i wywożą.

Od czasów Salomona, zamieniano owoce tego kraju, na złoto i najwykwintniejsze towary, sprowadzane

przez Fenicyan, z krańców ostatnich znanego świata. Tyr, lubo nie należał do żydów, był portem dla ich towarów, ztąd blizkie stosunki z tym placem handlowym, przez który wkroczyło razem z wykwintnością niesłychaną, największe zepsucie, mianowicie, kobieta różnych krajów, kształtów, usposobień i kolorów, kobieta z Hiszpanii, z Numidii, Sycylii, Toskanii, z Nubii, Etiopii, z Egiptu i zewsząd, gdzie była piękną, zdolną do ukształcenia, zalotną, temperamentową, ognistą. Wkroczył jad przez stosunki ze światem, tak wyraźnie zakazane przez Boga, wkroczył jad i stoczył Judeę. — Dla niej nie masz tu już owoców, chyba, że je kupi od Araba, lub teraz od Niemca, skrzętnego kulturtregera, który sobie wszędzie da radę, a wszędzie wprowadza światło, postęp i religię bez zabobonów i bez przesądów.... ale jednak egoista.

\* \* \*

Noc przechodzi — słońce wstaje na swym złoto-purpurowym rydwanie: budzi się i gaworzy rozliczne ptastwo, bulbul ma dzieci i już nie raczy śpiewać, tylko chrapie, lecz kosi, drozdy i ziemby gwizdzą, śpiewają i wykrzykują, a kukulka kuka, ciesząc się, że obce matki wychowują jej dzieci na samolubów bez serca i bez uczciwości. Brzydko być macochą dla swych własnych dzieci, lecz ona tego nie czuje i śmieje się z sentymentalistów do rozkuku szalonego. Dobrze przynajmniej, że oczyszcza drzewa z owału, i że zawsze jest przy apetycie: złe serce i dobry żołądek często w parze chodzą, ona tego dowodem i wielu ludzi także.

Zbudziły się nawet niewiasty, wymyły, wyczesały i wygadały do sytu. Ex-księżna nie potrzebuje się czesać, wiemy czemu, dla niej grzebień jest teraz rzeczą najniepotrzebniejszą. Jak ta nieszczęśliwa kobieta może żyć bez grzywki na czole, tego nie pojmuję. Biedaczka, wszystkichby zapomniała włosów, lecz rzesów u powiek zapomnieć nie może. Niezasłonięte rzesami oczy, często ją bołą, — musi nosić okulary czarne

bo ją razi każde światło, nie widzi nigdy nieba pogodnego, ani zieloności liścia, ani też barw świetnych, tak rozmaitego kwiecia. Ciężko pokutuje za lat sześć życia księżęcego. Wolałaby być znów tancerką i zachwycać w Neapolu lud rodzinnego miasta, siłą i gracyą nóg swoich kształtnych, pełnych a lekkich jak nogi pająka.

Tempi passati! teraz te nóżki dźwigają pulchne ciało przedwcześnie z nudów rozrosłe i ociążałe; szczęście jednak, że jeszcze młodość pozostała w sercu, w uczuciach szlachetnych odnawia się życie ciągle i zawsze, aż do najpóźniejszej starości,—a w religii, opartej na życiodawczem słowie, jest rękojmią wiecznego szczęścia.

Tej religii ona szuka, tę religię znajdzie, bo kto puka do Boga, temu będzie otworzono.

## ROZDZIAŁ VII.

### Wodozbiory.

---

Jesteśmy po kawie i jesteśmy na koniach. Dążymy do tych olbrzymich zbiorów wody, które dostarczają całej ludności Jerozolimy wody i ślą ten chłodzący, mrużący strumień, do ogrodu Salomona. Droga prowadzi w górę, nie stromą, lecz dość wysoką, kamienistą, rozległą,—niezupełnie огоłoconą z roślinności, mianowicie z wrzosów i z tej zbożowej rośliny, wydającej mannę, ziarnko daleko mniejsze od żyta, lecz tem kształtniej dojrzewające i nadzwyczaj lubianego przez kuropatwy; nie braknie tu tego, lecz są niezmiernie płocze, i pan de Mornay, także wielki strzelec przed Bogiem, nie mógł tego ubić więcej jak jedną,—prawda, że nie miał wyżła.

Wszyscy podróżni, żalą się tu, że im psy w ziemi świętej degenerują, że węż tracą i dostają z ławnością nosacizny, rumatyzmu, ogólnych konwulsyi i innych, i że się stają niezdolnymi do polowania, zwłaszcza, po tych nagich, gorących, ślizkich górach, których się żadna wegetacya nie czepi, a pomiędzy które jednakże, chroni się zwierzyna skrzydlata, jeszcze wcale liczna, bo się mnóstwo orłów, sępów, puchaczy i sów niemi żywi. Zkądżeby tu tych szkodliwych ptaków tyle było? Musi w tem być prawda, bo wszyscy na to narzekają. Sam tego sprawdzić nie mogłem, bo czasu i sposobności brakło mi na polowanie, i psa prócz kądla wartownika nigdy nie trzymałem.

Rzadko też spotykać się tu zdarza strzelca, żyjącego jedynie tylko z polowania; nigdy zaś Araba mahometanina, uważającego zająca i królika, których jednakże nie braknie, za kotów do zjedzenia niegodnych. W górach Galilei atoli spotykałem myśliwych, którzy i na gieny polują i niemało tej zwierzyny ubijają.

Na wysokim podnózu płaskawej góry, znajdujemy nareszcie najniższy zbiór wody, staw wyrabany niesłychaną pracą w opoce, głęboki, na stóp 55, na 605 długi, a szeroki, z jednej strony 225, z drugiej strony tylko na 165. Staw ten nie tylko był wyrabany lecz wymurowany w środku, aby w nim zawarte wody nie spłynęły przez szczeliny, znajdujące się w opoce. To podmurowanie tu i owdzie już niszczało i wiele wody przez to ginie. Wyższy staw komunikujący się z niższym, kanałami i śluzami jest mniejszym, — najwyższy jeszcze mniejszym. Do wszystkich ściekają wody rozlicznymi kanałami i kanalikami z okolicznych gór i z kilku źródeł jeszcze pozostałych; dawniej było ich więcej. Najobfitsze źródło jest pokryte z wielką starannością i zamknięte na ogromne zamki: Arabi zowią je Ain - Saleh, co znaczy źródło zamknięte, fons signatus.

Salomon gdy był starym, pisał w Ecclesiastyku Roz. II, w wierszu 4-ym: „Wielkiej sprawy dokonałem: pobudowałem sobie domy, nasadziłem sobie winnic. Naczyniłem sobie ogrodów i sadów, i naszczepiłem w nich drzew wszelkiego owocu. Pobudowałem sobie stawy, ku odwilżaniu przez nie lasu, w którym rośnie drzewo. Nabyłem sobie sług i dziwek, i miałem czeladź w domu moim. Zgromadziłem też sobie złoto i klejnoty od wszystkich królów i krain. Sporządziłem też sobie śpiewaków i śpiewaczki, i inne rozkosze synów ludzkich. A tak stałem się większym i mocniejszym od wszystkich: nadto mądrość moja zostawała przy mnie. A wszystkiego, czego oczy moje pożyły, nie zabraniałem im, anim odmawiał sercu memu żadnego wesela“. Tak przemawiał stary król o rozkoszach swoich, a na końcu, wymieniwszy je wszystkie, dodał: „Oto wszystko marność i utrapienie ducha, i nie masz nic pożytecznego pod słońcem“.

Ale zawsze dobrze, żeś kazał wyrąbać w tej opoce te trzy stawy, które panu Melchior dostarczają wody na pruskie kartofle i żuławskie kapusty, pracować dla kulturtregiera. Pozostał przynajmniej ślad wielkiej potęgi żydów, pod powierzchnią ziemi, — nie ma żadnego nad jej powierzchnią — wszystko znikło.

Scenerya jest tu dzisiaj niezwykle ożywiona: w karawanseraju arabskim, spoczywa cała gromada ludzi, koni i wielbłądów, idących do Hebron, do miasta Abrahama, Izaaka i Saary. Kilkadziesiąt europejskich podróżników przybyłych tu z Betlehemu, gdzie nocowali, harczą tu na koniach, inni, anglicy, opisujący się z siłą, strącają się z wysokich brzegów stawu w jej głębokie wody, strasząc chmury dzikich kaczek i innego ptastwa, tu się bawiących, pomiędzy temi jest nawet pelikan, którego potem ubił pan de Mornay... są tu nawet żurawie, czaple i owe błyszczące zielone ptaki, zwane marionami i rybitwami. Oddział kawalerji nieregularnej, ottomańskiej, hula owdzie na swych rączych koniach, kilkunastu pielgrzymów rosyjskich, postępuje naprzód po dwóch w szeregu, z wysokimi kijami w ręku, śpiewając nabożne hymny i dążąc do bliższego klasztoru św. Jerzego. Owdzie około ognisk, odpoczywają dzicy beduini z Kereku i z Moabitu, okolic położonych po za morzem Martwem; z zawzięcią patrzą na bogatych anglików i francuzów. Obliczają ile mogą mieć pieniędzy, zegarków i pięknej broni. „Szkoda, że tu tyle ludu, możnaby nabyć nie jedną dobrą rzecz tanim kosztem, — szepnie jeden do drugiego, ową rozwartą, wywróconą głę, z po za której błyszczą strasznie wielkie na zewnątrz wygięte zęby. „Cierpliwości! cierpliwości! — nie jeden z nich wpadnie nam jednak w ręce!“ — odpowiada drugi jeszcze straszniejszy, wywracając oczyma i wargami.

Jakiś inżynier niemiecki, mierzy tymczasem głębokość, długość, szerokość tych sadzawek; potem rachuje długo i sumiennie i decyduje, że wszystkie trzy stawy, gdy są pełne, zawierają w sobie 1,534,136,327 kwart berlińskich wody.

— To jest blaga! tego nikt wyrachować nie zdoła! — krzyknie nasz francuz.



— I mnie się tak zdaje,—oni tylko do pięciu miliardów liczyć mogą, wie o tem cała Francya.—byleby żądali więcej wykupnego od was, -- odpowiem z pewnością przyrodzoną mi, *et sine ira et studio*.

— Sapperlotte! bylibyśmy znaleźli dziewięć miliardów więcej! Vive la France aux larges mameilles!

— Nie krzycz,—ucho Bismarka wszystko usłyszcy, gotów przyjść po resztę.

— Qu'il y arrive! qu'il y vienne! znajdzie mnie na swej drodze—mnie! — krzyknie oburzony syn Galli chwytając za strzelbę.

— Jaka to szkoda dla Francyi, żeś jeszcze prawie był dziecieniem w 1870 roku.

— Nie wątpię o tem, że to nieszczęście,—widzisz jak zmiatam kuropatwy i pelikany! Biedna Francyo, płacz, że mnie tam nie było!

Dwa są wodociągi, prowadzące wodę z tych wodobiorów do Jerozolimy,—jeden odkryty przez Betlehem, drugi skryty szczelnie, wiodący ją siłą własnego ciśnienia, prosto przez Moriah do Hauremu, to jest do budynków meczetowych.

Rzymianie zdobywszy Judeę, nie chcieli pozostawić bez użytku tych wód, które wówczas służyły li tylko do utrzymania ogrodu zamkniętego, niepotrzebnego już w kraju bez monarchy i bez stolicy. Ponciusz Piłat postanowił sprowadzić te wody do Jerozolimy, gdzie ich brak było, lecz nie starczyło pieniędzy na wykonanie tego wielkiego dzieła. Nie namyślał się długo, zabrał na ten cel Corban, to jest skarb kościelny, uważany dotychczas za nietykalny, święty, i stanął wodociąg. Żydzi widzieli w tem świętokradztwo, i już szemrali cicho, i już grozili pięścią w kieszeni. Piłat, rodzaj Neapolitańczyka, strwożył się tem jednakże, i postanowił być ostrożniejszym z żydami.

Wkrótce potem, na nieszczęście, żydzi domagali się życia Messyasza i Piłat, nie chcąc po raz drugi drażnić fanatyzmu religijnego żydów, obmył ręce i skazał niewinnego na śmierć. Nie pochwalił tego nikczemnego czynu senat rzymski, Jezus bowiem urodził się w Betlehem, a to miasto już było zyskało przedtem

prawo obywatelstwa rzymskiego. Jezus Chrystus zatem jako *civis romanus*, nie powinien być karany, nawet gdyby był przestąpił prawo, śmiercią ohydną prostego żyda, lecz tylko ścięciem. Piłat tedy został odwołanym, za karę przesłanym na gubernatora do Wienna Allobrogum nad Rodan, blisko Lyonu, gdzie umarł i gdzie sobie przed śmiercią kazał postawić pomnik do dziś dnia istniejący.

Wszystkie te szczegóły zawdzięczamy Józefowi Flawiuszowi, historykowi, urodzonemu 37 lat po Chrystusie w Jerozolimie. Był on Faryzeuszem i dowódcą żydów podczas oblężenia Jerozolimy przez Wespaziana i Tytusa. Po poddaniu się miasta, wyjechał do Rzymu i tam napisał wiele dzieł, do dziś dnia interesujących, zwłaszcza historię wojny żydowskiej, starożytności żydowskie i autobiografię nader ciekawą. Nie wiele mówił o Chrystusie, lecz potępił Jego prześladowców, zwłaszcza Poncyusza Piłata.

Wzdłuż wodociągu, przez tego słabego, lecz nie głupiego wielkorządcę Judei wykonanego, wracaliśmy do Betlehem, patrząc na jego szybko-bieżące wody. I ty patrzałeś na te wody i ich szmer słyszałeś, a nie przeczuwałeś nieszczęsny, że na wieki wieków nazwisko twoje w sercach kochających Chrystusa pręgierzem tętnić będzie w słowach: „cierpiał pod Poncyuszem Piłatem“! U nas mówią o człowieku, który się wmięsza niepotrzebnie w sprawę obcą: „wlaź jak Piłat w Credo“. Ależ to zrządzenie Boskie tak chciało, żeby człowiek, wykonujący z słabości zbrodnię, był na wieki wieków potępionym, tak jak największy czynny złoczyńca. A wy, co się wyrzekacie Chrystusa, jeśli Go raz pokochaliście, lub co Go kochacie niezupełnie, jeśli poznaliście ile się dla nas poświęcał, jeśli Jego czcząc, stawiacie na równi z Nim jakąkolwiek bądź inną świętość, lub wierzycie, że Go zastąpić może inny, — wy jesteście także Piłatami mikroskopowemi, lecz również pogardy godnymi! wy bylibyście w stanie to samo popełnić, co popełnił Poncyusz, na was z nieufnością patrzeć powinien każdy, moc charakteru ceniący człowiek: to też wam nie ufają ani żona, ani dziecko, ani służa ani nawet pies domowy, — niedbale na was spogląda,

bliźni i mimochodem żyjecie, aż tam spełzniecie i kłapsydra o was powie kłamliwie, że „nieutulony żal“ towarzyszy wam do grobu,

Czynny zbrodniarz, jeszcze daleko wyżej stoi w oczach Boga, jak bezcharakterny pocziwina, wierząc mi, safanduly!

— Cóż to za ładna kapliczka, tak miło wpadająca w oko, stoi tam na prawo? — ot tam na wyniesieniu, około tego bielutkiego okrągłego pola? — spytam się naszego przewodnika, araba chrześcijańskiego.

— Ah—sposzrzęł ją Effendy? a więc zбочmy, bo warto miejsce poznać bliżej, — odpowie poważnie nasz Cyclerone.

Zbaczamy,— stajemy na polu wysłanym drobniemi, bardzo drobniemi kamykami, tak drobniemi, że największy nie jest większym od orzeszka laskowego. To coś szczególnego, a żadna trawka na nim nie rośnie, nic prócz okrągłych kamyków, chrześzczających pod kopytami naszych koni. W kapliczce mały ołtarz, a nad nim obraz Panny Maryi, karmiącej Dzieciątko Jezus, i jedzącej coś z prawej ręki, co podobne do grochu. W kapliczce stary kapucyn, który wstaje, wita nas i proszony, następującą opowiada historią po włosku, i dobrą włoszczyzną:

— „Wiecie państwo szanowni, że ubogą była Najświętsza Panna, bardzo ubogą. Często karmiła Chrystusa, nie miała nic innego do jedzenia jak groch, gotowany w wodzie, bez oliwy i soli nawet. Tu przychodziła nie raz siadać na tym kamieniu, co go widzą państwo teraz za ołtarz służący, i karmiła młodego Jezusa jedząc ów groch, a dziecko ssało i ssało i dossać się nie mogło siły. Raz tak, gdy jadła i karmiła tu siedząc, przyleciał gołąb biały, zadyszany i siadł na Jej kolanie, a patrzył się zębząc w Jej oczy, bo mu się jeść chciało. Ona zaś pasła go swym grochem, którego sama nie miała wiele. I napaszony gołąb, wbił się ku niebu po nad Jej głowę, i grom uderzył, wstrząsając całą ziemią, a grad upadł rześisty około Niej. Ale nie był to grad z lodu, tylko groch okrągły, ugotowany w aromatycznej oliwie Edenu i tak pachnący, że aż ślina tryskała. Najświętsza Panna

podniosła garsteczkę, przybliżyła do nosa, potem do ust i zjadła tego cokolwiek, a Dzieciątko aż zadrgało z rozkoszy—zdroje pokarmu płynęły z Jej piersi. Teraz uznała Marya Panna w gołębiu Ducha świętego, nieopuszczającego nigdy żadnej litościwej istoty, tak jak i was nieopuści nigdy, jeśli się pokażecie litościwemi<sup>4</sup>.

Ugiął się przed ołtarzem i przeżegnał stary kapucyn, którego pocziwa twarz wyrażała wiarę w cud na tem miejscu okazany, i my tu staliśmy minut kilka, pozostając pod urokiem tej tkliwej, prostej legendy. Nie szkodzą także legendy nikomu, a powołują do litości nad biedą ludzką; niechże więc sobie istnieją i niech je jeden drugiemu opowiada

Opowiedzieliśmy ją Azzimie. Ona się rozrzewniła, dała ubogiemu kilka monetek, a potem zapytała:

— A cóż Najświętsza Panna zrobiła ze złotem, które Jej przynieśli trzej królowie monarchowie?

Zagadnięty, nie wiedziałem co odpowiedzieć, lecz mnie pani Roux wyręczyła, mówiąc:

— Wszystko dała dla kościoła.

— Wszystko? Mogła zachować coś dla swego dziecka,— to nie grzech schować coś dla siebie, kiedy się umiera z głodu.

— Nie zrobię z niej katoliczki,— szepnie mi pani Roux.

— Ale ja z niej zrobię roztrofną chrześciankę,— odpowiem.

— Ah! come siete cattivo Dottore!

Wróciliśmy do Jerozolimy. W szpitalu nikt nie umarł,—nikomu nie gorzej, a przybyło dwóch nowych chorych na leprę. Niestety! na tych nic nie zarobię, kosztować będą wiele, nie wyleczą się zapewne i jeszcze mogą zarazić innych. Bogatych trędowatych wyleczyć można deklimatyzacją w dalekie strony, zmianą powietrza, pokarmu, sposobu życia,—wszystko to jest niemożliwe dla ubogich; zdarzyło mi się wprawdzie wyleczyć w Norwegii i w Szwajcaryi dwóch ubogich trędowatych wielkimi datkami jodyny, ale byli to ludzie z zupełnie dobrymi płucami, tu zaś i tego niema, w tych chorych.

Trąd jest chorobą prawie endemiczną, na wschodzie, mianowicie w Egipcie. Arabi mają Leproseryę, to jest szpital osobny dla trędowatych w Jerozolimie, ale żydzi nie mają go jeszcze. Wszystkich dołożę starań, by bogatych starozakonnych całego świata skłonić do założenia takiego zakładu. Bogatych Izraelitów jest teraz pięćset razy więcej, jak trędowatych żydów: powinni by zakupić gdzieś małą wyspę, w Archipelagu, lub w Sporadach i założyć tam Leproseryę przykłądną. Niech tylko każdy bogaty poświęci pięć groszy na dzień, a możnaby uchronić wielu chorych od śmierci, wielu zaś zdrowych od choroby.

A w dodatku, nazwiska ich zostaną drukowane w gazetach, w książkach i na tablicach posrebrzanych złożonemi literami zapisane, i bardzo wielkie ztąd wynikną zaszczyty dla ich familii, i kredyt się także powiększy.

Żeby im tylko ktoś z dostojnych mógł przemówić czule do serca: mój głos będzie głosem wołającego na puszczy. Ja nie znaczę wiele u żydów.

Szkoda że pani Roux nie jest już księżną i że się już nie nazywa de La Tour d'Auvergne... et du Mont de Marsagnac.

Jej głos, jeszcze przed dwoma tygodniami, byłby usłyszany. Ale co ona znaczy teraz? ona już nawet nie jest szlachcianką.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### Jericho.

Wiele jest miejsc bardzo ciekawych w Jeruzolimie, których pobożny pielgrzym katolicki dla tego nie odwiedza, że nie są katolickimi: zdaje mu się, żeby ubliżył swojemu wyznaniu, gdyby się choć na chwilkę zajął przedmiotami, nie pozostającemi z nim w bezpośredniej styczności. Chodzi tedy codzien po dwa i po trzy razy do kościoła św. Grobu, nie oglądając nic do brze, nie śledząc w niczem gruntu rzeczy, tylko zadowolony w odczytywaniu wargowych modlitw i w odśpiewywaniu bezmyślnem kantyczeków i odmawianiu litanii, których biedak nawet nie rozumie, bo one są odśpiewywane i recytowane po łacinie, ale nie raz jeden, tylko z pewnością ze sto razy, raz po raz, aż do zupełnego znękania. Zdaje im się, że tem poświęceniem się mechanizmowi bigoteryjnemu, tem wyrzeczeniem się wszelkiej ciekawości naukowej, zniewolą sobie Niebo i sprowadzą sobie w duszę, Bóg wie ile, Ducha Świętego. Nic smutniejszego, jak widok tych ludzi, mniemających, że tą degradacją intelligencji potrafią sobie zaskarbić łaskę Stworzyciela ich mózgu. To im ani razu na myśl nie przyjdzie, żeby wywyższenie, spotęgowanie myśli i uczucia własnego utworu modlitwą, mogły się przyłożyć do ich zbawienia.

Żebym też choć raz był spostrzegł w obliczu tych tuzinkowych pielgrzymów jakieś głębokie wzruszenie, jakieś natchnienie,—nigdy! twarze ich przybierają ja-

kiś wyraz udanej potulności i idjotyzmu płacznego i z taką się twarzą obnoszą po wszystkich kościołach i miejscach świętych.

Są pomiędzy niemi ludzie, którzy z pielgrzymowania zrobili sobie rzemiosło, pielgrzymują od lat 30 po wschodzie i zachodzie, od góry Sinai, do Compostellei— od Ostrobramskiej, do czarnej Egipskiej i od Skutari do Jerozolimy, wędrują lądem z karawanami i bez jednego grosza w kieszeni, spuszczać się na dobroczynność wszystkich narodów, nawet Beduinów, żyjących z łupu. I nie przepadają. Smutno mi powiedzieć, że pomiędzy niemi znajduje się kilku z naszych ziomeków, którzy wieczną pielgrzymką słodzą sobie gorzkie chwile pobytu na obczyźnie. Jeden z nich był nawet oficerem, mógłby coś napisać ze spostrzeżeń otrzymanych w podróżach, lecz prawie już zapomniał pisać, a nauczył się tylko spiewać kantyczki i odmawiać litanie. Nie pił jednakże to już za wiele i bardzo wiele na takiego bywalca, który od lat 40 nie często z tego samego pieca chleb jadł, nie pił i nie kłamał, tylko nakłaniał serdecznie do dbałości o duszę swoją, boć to nie fraszki być gotowanym, pieczonym i smażonym w piekle na wieki, lub też przynajmniej w czyścicu, przez lat jakie kilkadziesiąt tysięcy. Mówił to z dobrą wiarą człowieka, najzupełniej przekonanego o możliwości takich kar; nie trudno mu przychodziło nawet płakać nad tem rzewnymi łzami i zupełnie na zimno.

Kiedyś, ostatni raz w Krymskiej wojnie, był żołnierzem, czyli raczej oficerem w sławnej dywizji, która się formowała pod Warną i nigdy się sformować nie zdołała, tak, że na linii bojowej nigdy nie stanęła. Po zwinięciu legii jął się do pielgrzymowania, zwłaszcza po krajach, w których się cuda działy, po Francji najczęściej, gdzie straszono lud okropnemi, ogólnemi klęskami.

To też Francuzi byli przygotowani do tych kar, i kto wie, czy na ich poniesienie nie oczekiwali, czy pewnej klasie narodu, nie było przyjemne być świadkami ziszczenia tych przepowiedni. Nie trzeba diabła malować na ścianie, bo, dalibóg, przyjsć gotów, gdy go się zwabia.

\* \* \*

Jednym z miejsc godnych widzenia w Jerozolimie, jest niezawodnie kościół klasztor i ogród ormiański, znajdujący się po za doliną ormiańską i bramą Sionu. Trudno widzieć coś czystiej i ozdobniej utrzymanego, jak ten przybytek Boży i zakład cały.—jakże on mile odbija się od wszystkiego, co się w dzielnicy żydowskiej widzi, słyszy i wacha. W ogrodzie woń najpiękniejszych kwiatów, w klasztorze świeże powietrze, jakie powinno być w każdym klasztorze, a jakim nie jest w tych, w których się bezustannie gotują i jedzą cuchnące potrawy. U nas każdy klasztor pachniał zawsze bigosem, zrazami i kielbasą, to już sami przyznać musimy, chociaż mnicha tak serdecznie kochamy, że nam za nim tęskno....!

Kościół ormiański jest cackiem, jest ogromną szkatułeczką, błyszczącą od srebra złota, kamieni, perłowej macicy; kilkaset jaj strusich, najpiękniej malowanych, wisi tu na złotych drutach, do sufitu zawieszonych, obok kilkudziesięciu lamp z drogiego metalu, w których się ciągle palą najkosztowniejsze pachnące olejki. Stoi w kościele kamień bazaltowy, czerwony, na którym ścięto św. Jana Chrzciciela, — pokazują nawet skazę, którą zrobił miecz, czy też topór. Nie wierzę, żeby kat dobry, dbały o swój instrument chirurgiczny, a takiego musiał przecież mieć Herod, ścinał głowy na kamieniu, pień drzewa wystarczy na to, ale drzewo nie przetrwa ośmnaście wieków, a widać, że mądry kat chciał sprzedać pień Ormianom na relikwię.

Od tego kościoła tuż blisko do meczetu, w którym przechowuje się starannie i zazdrośnie grób Dawida. Tej relikwii Turek nie pokaże żydowi za żadne pieniądze, chrześcianinowi zaś tylko za firmanem i za bakszyszem wspaniałym. Lecz cóż się widzi? ogromną trumnę z marmurowych głazów, pokrytą jaknajdroższymi i najpiękniejszymi szalami tureckimi i perskimi. Żadnego napisu, żadnej innej pamiątki do ciekawości archeologa przemawiającej. Kto wie, czy tam istotnie leży Psalmista, który w młodości był tak



dzielnym, a w starości tak słabym? To mnie mało zajmować może, moja religia jest taką, jak św. Paweł chciał, żeby była chrześcijańska religia, wsparta całym na wiecznej duchowości, a nie na doczesnej, tak niepewnej, dotykalności.

Prawie w środku miasta, tuż blisko kościoła św. Grobu i zwalisk wielkiego szpitala św. Jana, kawalerów św. Jana Jerozolimskiego, Anglicy wzniesli przed jakie dwadzieścia laty prześliczny kościół gotycki, zastanawiający nie tyle rozmiarami, ile klasycyzmem kształtów. Trudno widzieć coś nadobniejszego, coś skrupulatniej gotyckiego w tych rozmiarach. Wnętrze tego, Boga chrześcian godnego, przybytku, jest naturalnie zupełnie nagie, żadnych obrazów, ołtarzy, złoceń, ani lamp ozdobnych— żadnych kadzideł. Organy tylko potężne, dobrze nastrojone, zawsze lekko chodzące pod pneumatyką, lecz okazałością nie lśniące. Rytuał anglikański jest jeszcze zbyt ceremonialny dla mnie, zbyt wiele muzyki, śpiewów, klękań, podnoszeń się, wstawiań; jakoś prościej, godniej, duchowiej w naszych domach modlitwy, gdzie wszystko odbywa się przez wzniesienie ducha po nad wszystkie sfery zmysłowości! Lecz czy się wzniosą dusze, do wzniesienia nieprzyzwyczajone, wyobraźnią serca? Profanum vulgus czy pojmie, że Duch Święty raczy zstąpić w mury, огоłocone z świecideł? Nie ganię żadnego pięknego środka, dążącego do osiągnięcia wielkiego, szlachetnego celu, — więc też nie potępiam innych chrześcijańskich świątyń, lecz ja się zadawałam tym ogromnym kościołem, w którym firmament jest kopułą, a gwiazdy wiecznymi niezaprzeczalnymi cudami.

Wielka mnie spotkała radość: przybył niespodzianie z Bejrutu na cały miesiąc mój dobry przyjaciel, ojciec Soragna S. J. Natychmiast po złożeniu hołdów Grobowi świętemu, odszukał mnie w moim szpitalu i przywitał tak serdecznie, jak brata, manu et osculo, przynosząc mi ukłony, a nawet małe upominki od moich przyjaciół w Bejrut, mianowicie od rodziny Domag... i od General. Konsula Francyi, pana de Lesseps, których odwiedził umyślnie w chwili odjazdu, pytając się, czy mi nic nie mają do przestania. Rozrzewniła mnie,

przyznam się bez ogródki, do łez taka prawdziwie serdeczna, zarazem *gentelmańska* grzeczność człowieka, z którym rozmawiałem najwięcej cztery czy pięć razy, lecz którego uczciwości natychmiast zaufałem, aż do gruntu serca mojego. Był to jednakże ksiądz, jezuita, włosz i arystokrata, to jest miał cztery własności, z których każda jest dostateczną do odepchnięcia serca mojego od posiadającego ją indywiduum, a przynajmniej do wzbudzenia najwyraźniejszej i najmniej zdolnej do ukrycia nieufności mojej.

Pomimo tego, polubiłem go i to natychmiast, — czemu? bom wiedział, że jedną miał zaletę, która prawie nigdy nie znanionuje ani księdza, ani jezuitę, ani arystokratę—to jest, że był *odważnym*, że pomimo delikatności postępowania swojego, nigdy nie stchórzył, że w żadnem położeniu, w żadnej chwili życia, *nie miał duszy na ramieniu*, że gdy trzeba było myśleć, mówić, działać, myślał, mówił i działał śmiało i pewno, że się nigdy nie zaczajał, nigdy nie maskował, że nigdy nie zmyślał, że raczej wolał odmówić odpowiedzi, niż dać odpowiedź niepewną, ogródkową, warunkową. Słowem: ecce homo! A dla czego tak się wyrobił na człowieka wcale nie świecącego, ani świetnego władzami umysłowemi, lecz dzielnego prawością i mocą charakteru? bo w swej młodości był żołnierzem, dobrym, czystym, powinność swoją sumiennie wypełniającym, słownym, długów nie zaciągającym, w karty nie grającym, kobiet nie bałamucącym, sługę swojego nie bijącym, na przód nie wrywającym się, lecz mężnym żołnierzem, słowem, że był dobrym żołnierzem,— voila tout! I z takiego materiału można było później zrobić wszystko co jest dobrem, użytecznem i wygodnem: wybornego nauczyciela, doskonałego księdza, spowiadającego wysmienie, każącego serdecznie i mszę odbywającego z całym przejęciem się słów, które wymawiał. Że się zdecydował wstąpić do braterstwa, od tylu czasów surowo osądzanego, tu i owdzie znieawidzonego, w niektórych miejscach przekłótego i prześladowanego? właśnie dla tego doń wstąpił, że trzeba było mieć odwagę by to uczynić. Ale że jezuita zaczynał działać,

częstokroć, jeśli nie zawsze, krzywą drogą chodzący, starali się o zyskanie tak otwartego, tak wyraźnego człowieka, któryby ich mógł skompromitować jakąś najmniejszą niedyskrecją? oto pytanie, na które jestem przygotowanym. I Jezuitom także o to idzie, aby tu i owdzie, w takich lub owakich czasach, mieli człowieka najzupełniej cnotliwego i najzupełniej wolnego od *talentow*, które tylko chytrym, podstępny, zaczajonym, intrygującym ludziom są dane. Oto odpowiedź, która spodziewam się, wszystkich zadowolni, nie robię sobie bowiem żadnej illuzji i nie śmiem tuszyc sobie, żeby moja książka podobać się mogła mężczyznom z rozumu, lub kobietom z prostoty, czyli raczej z zdrowych uczuć ogółocnym.

Z resztą, po skreśleniu biegiem charakterystyki tego rzadkiego pod wielu względami człowieka, niegdys kapitana kawaleryi, walczącego za istność narodu swojego, pozostawimy sobie wolność przedstawienia go tu i owdzie mówiącym i działającym, a to nam da przekonanie, że można być jezuitą, nawet kiedy się jest uczciwym, byleby się było nader wyjątkowym człowiekiem.

Nie przyszedł sam jeden ojciec Soragna, lecz z aniołem stróżem, już nie z ojcem Feneke, owym żółtoczarnym maltańczykiem, który mi chciał obcessowym sposobem zwichnąć z prostoty rozumowania moją murzynkę. ale z innym, także młodym, lecz łagodniej wyglądającym aniołem, ojcem Van der Bulben, belgijczykiem rumianym, blondynem, z dobrze opuchłym nosem, szaremi wielkimi oczyma i z uszami odstającymi, sporemi, barwy i zębatego zaokrąglenia, jak grzebienie dzielnego koguta. Tęgo jakoś przyroda nie przeznaczyła na jezuitę i niewiem do jakiej kategorii bractwa mam go policzyć, pewno, że nie do kategorii zdobywców serca niewieskiego; niema brzydoty, czarującej kobiety wykoślawionego smaku, lecz brzydotę gminną, nudy wzbudzającą nawet w dewotce, która pragnie grzeszyć, by się miała z czego spowiadać.

— Kochany kapitanie, i cóżes na miłość Boga zrobił z twoim żółto-czarnym archaniołem, ojcem Finnek, czy Pfenek, czy Pfujnek?

— Ależ wiesz przecież dobrze, że się nazywa Feneke: dostał rozkaz udania się do Hiszpanii.

— Biedna Hiszpanio! widowio mej najpiękniejszej młodości! Więc zapewne wasz wysoki tajny kachał zdecydował, żeby tam znowu wybuchła wojna domowa... żeby tam brat brata, syn ojca mordował, żeby tam z kilkanaście tysięcy młodych kobiet utraciło...

— Ależ na Boga, kochany Doktorze, powstrzymaj twej bujnej wyobraźni podejrzenia, twego języka galop... jakiesz ja przyznać mogę, że należę do towarzystwa, które knuje spiski przeciw pokojowi świata?....

— To prawda. Ty niewiesz, jakim służysz dobrodziejom, biedaku.—A ten tu nowy twój anioł, jakiż to rak,—lub jaka ryba?

Van der Bulben rozmawiał tymczasem z Alfredem Stick.

— Jaki rak, lub ryba? nie wiem jeszcze, zdaje mi się, że to raczej....

— Raczej niedźwiadek,—domyślał się, un signor Scorpione, w masce młodego niedźwiedzia, — nie znam jeszcze tej kategorii stworzenia...

— Ależ powiedz Doktorze, co robi Azzima, czy zawsze jeszcze kaszle?

— Lepiej się ma daleko. Bogu dzięki.— Jest tam w kuchni i gotuje sobie rosół z tuzina jaszczurek.

— Z jaszczurek? ona się karmi jaszczurkami? ona, ta dobra gołębica?

— *Contraria contrariis—*aqua contra ignem, ignis contra aquam, systemem aleopatycznym, Hippokratowskim, tak mnie sam nauczył w Kos, — wiesz o tem przecież, że mi się sam prezentował. Więc umyśliliście poznać bliżej Palestynę?

— Jest to moim życzeniem od lat sześciu; poraz pierwszy znajduję się w Jerozolimie, wiesz, że będąc tak blisko, lecz ciągle zatrudniony, nękany, nie mogłem wyrzec się za Syryę; teraz uzyskałem pozwolenie dogodzenia memu pragnieniu i przyjęcia małej kwoty, przesłanej mi na ten cel, przez mojego brata młodszego....

— Od najświetniejszego księcia, któremuś ustąpił majątek?

— Wiesz dla czego: umarła mi ta, którą kochałem, — a ta, która on kochał żyła, lecz za ubogiego pójść nie mogła. Więc dla dobra całej rodziny, trzeba się było poświęcić.

— Poczciwy kapitanie — żyjesz poświęceniami i wyrzeczeniami się. Jezus ci tego nie zapomni, chociażś Jezuita.

W tem weszła pani Roux do gabinetu konsultacyjnego, w którym się to wszystko odbywało.

— Kochana Pani, przedstawiam ci ex-księcia Soragnę, o którym ci często mówiłem. Kochany kapitanie, miałeś zaszczyt być przedstawionym księżnej de La Tour d'Auvergne. Przedstawiam Pani także ojca Van der Bulben...

— Tu nastąpiły zwykłe dygania, objawy radości i przyjemnej niespodzianki, zaręczania gotowości do wszystkich usług i t. d.

Zjawiła się też niebawem i Azzima, przejęta radością zobaczenia starego przyjaciela; a ta była niudana, gdyż Soragna umiał się wpisać w pamięć każdego dobrego serca i postępował z murzynką, jak ojciec z córką.

Korzystając z trwającej ciągle pogody, z obecności D-ra Meyer, który miał wyjechać zaraz po ślubie do Aleksandryi, a musiał przedłużyć swój pobyt w Jeruzolimie dla jakichś przypadkowości zaszytych na księżcu — miodowym i zastępującym mnie chętnie w szpitalu, bo istotnie był dobrym, usłużnym kolegą, — więc korzystając z tego wszystkiego i z obecności pana de Mornay, zawsze gotowego do obrony pielgrzymów, umyśliliśmy zrobić wycieczkę dalszą aż do Jericho, do Jordanu i do Morza Martwego, i to już po jutrze, naturalnie po opowiedzeniu się i po okupieniu się Beduinom, bez których pozwolenia taka wycieczka byłaby szaleństwem. Sam Basza Jeruzolimy nieśmiałyby puścić się w taką podróż, bez bardzo silnej eskorty, i jeszczeby może drżał, bo to jakiś Pasza dość młody, wychowany na dworach Europy, w karierze dyplomatycznej i ożeniony monogamicznie z jakąś europejką, która, dobrym obdarzona temperamentem, zastępowała mu teraz cały harem, wprzód liczny, a trzymała swego

Pana krótko za serce. To też zniewiesiał cokolwiek, i cały oddany życiu familijnemu, rzadko się ukazywał na mieście, a prawie nigdy nie śmiał wyjrzeć za miasto. Pani Baszowa grała dzielnie na fortepianie i śpiewała tak donośnie, że okna drżały w pałacu Piłata, w którym mieszkała. Pozostała chrześcianką i tajemnie czasem chodziła do kościoła anglikańskiego, lecz zawsze tak zakwefiona, że się dopatrzyć nie można było jej twarzy. Pani Roux, jej przyjaciółka, utrzymywała, że to dama wielkim obdarzona rozumem i doskonałym sercem zarazem, lecz pełna ognia i zazdrości. Drżał przed nią Basza i usługiwał jej, jak niewolnik. Dzieci nie mieli jeszcze z sobą, jeżeli tak potrwa, to się jednak wyzwoli z więzów mużulmanin, bo nie mieć dzieci, jest dla nich wielkim wstydem.

Pani Roux tak zasmakowała w ekskursjach, że znając już owe strony, chciała jednakże należeć do wycieczki: najęła sobie za służącą, ową Nunę mulatkę, doktorkę, czarowniczkę i myśliwkę, którą spotkałem na drodze od Betlehem do ogrodu Salomona, a z którą się zapoznałem dobrze od tego czasu. Co drugi dzień przybywała do mnie z kilkoma tuzinami jaszczurek, z paru kuropatwami i nawet nieraz z zającem lub królikiem, żadnego innego za to nie chcąc przyjąć wynagrodzenia, oprócz przepędzenia całego dnia zemną w szpitalu i egzaminowania mych chorych, usługiwania im w potrzebie jaknajstaranniej, zastępywania felczera, puszczania krwi i stawiania pijawek. Była ona doktorką z powołania, posiadała instynkt medyczny, ducha poświęcenia w wysokim stopniu. Pod innymi względami, była ta istota raczej mężczyźniakiem, niż kobietą, gotowym do najuciąźliwszej pracy, lecz i do boju i zaraz przy pierwszej wizycie w szpitalu, wybiła po twarzy i wytargała za brodę infirmjera żyda, stawiającego się jej niegrzecznie.

Teraz znam jej genealogię: matka jej była murzynką gwinejską, urodzoną w Gwadalupie, a służącą w Paryżu u Doktora Ricord, sławnego syfiloterapeutę i słynnego z tego, że lubił różnorodność i różnobarwność, na sposób króla Salomona... Tam się Nuna urodziła u niego w domu, do którego przychodził ukradkiem

jakiś wysoki, śniady skrzypek, cygan węgierski. Jej matka szalenie lubiła muzykę i kazała sobie przygrywać, on zaś lubił pieczeń, rosół, zwany le bouillon d'amour i dobre wino, tak jak każdy przyjaciel kucharek. Ztąd powstały pewne stosunki niezupełnie platoniczne i ztąd wynikła Nuna, której właściwie na imię było Napoleona; murzynom dają się zawsze niezwykłe nazwy, jej brat starszy, jasny mulat, mało do niej podobny, nosił nazwę Aristogabal, a nazywano go Stabal. Dr. Ricord był bardzo pobłażającym dla swych sług, zwłaszcza dla służebnic, które mu służyły do eksperymentów, kiedy jeszcze był młodym. Nuna mogła robić w jego domu, co tylko chciała; odznaczała się bystrością pojęcia i naturalnym pociąganiem do wszystkiego, co tchnęło nauką lekarską. Korzystał z tego i z jej usposobienia, chciwego wiedzy, jeden młody uczeń przyboczny profesora Ricord i wyłożył Nunie w jednej lekcji, od razu, wszystkie najważniejsze tajemnice fizjologii. — co spowodowało wydoskonalenia pragnącą mulatkę, do szukania go w szpitalu de la Maternité, gdzie też niebawem złożyła egzamen w formie jeszcze nie oficjalnie przyjętej przez uczennice medycyny, nawet w Zurichu, gdzie wcale nieźle objawiają się skłonności do podobnych. Owoc jednakże tego egzaminu był słaby, chorowity, trudny do wykarmienia, zmuszający młodą matkę do zasięgania częstej pomocy lekarskiej i do zakupywania lekarstw, co ją wtajemniczyło jeszcze więcej w naukę lekarską, praktycznym sposobem. Uczeń medycyny, pierwszy jej professor, nie opuszczał jej zupełnie; owszem, przyjętym zwyczajem w fakultacie lekarskim paryzkim, mieszkał z nią i razem gospodarowali jak mogli najlepiej, szcudłym funduszem, gdyż przyszły medyk nie był bogatym. Został nareszcie doktorem, osiadł w wielkiej wsi, niedaleko sporego miasta, i — ożenił się z córką bogatego chłopa, który był merem, chociaż zaledwie umiał czytać i wcale nic pisać. Wychowania wykwintnego także nie posiadała pani doktorowa i stała się wkrótce nudną, prozaiczną i nieprzyjemną. Umarł tymczasem owoc fizjologii i doktor wziął mulatkę do domu swego, niby to na kucharkę, lecz raczej na pomocnika

lekarskiego, gdyż miała istotnie do tego wszelkie zdolności. Wkrótce ona rządziła domem, a nie pani doktorowa, pilnująca więcej ogrodu, drobiu i pola, niż domu. Wielkie ztąd krzyki, chałasy, harmidry, gęgania, kwakania, burzenia i rwetesy, pomiędzy gawiedzią niewieścią przeciw czarnej djablicy, która tu spadła z pod ciemnej gwiazdy, na ten pocziwy, biały, chrześcijański horyzont,—lecz ta djabilca umiała się postawić na doskonałą stopę z Monsieur le Curé, z księdzem, nadzwyczaj dbałym o zewnętrzną przyzwoitość kościoła, a tę zachować umiała mulatka,—chodziła do kościoła, krzyżowała się, spowiadała, śpiewała kantyczki, oltarz stroiła, odmawiała litanie i do rożańcowego wpisała się bractwa, a że była wysoką, wysmukłą, okazałą, więc tyle zdobyła przewagi, świecąc zręcznie baką, że ją na chorążankę bractwa obrano.

Przyznać należy, że pomiędzy temi chłopami, małego oka, grubej pięści, otyłej nogi, płowego włosa, piegowatego lica, owa mulatka była jeszcze aniołem piękności, wygiętością kibici, tak czarującym że nawet wielebny pleban spojrzeć na nią nie mógł bez przyjemnego wzruszenia. Darńmo — nawet żona doktora musiała ugiąć grube i szorstkie, jak skóra rinocerosa kolana, przed tą piekielnicą tak gietką i wysmukłą i przyznać, że ona jest gracyą.

A potem, co dbał Doktor o te kwakania i gęgania gminnej czeredy? — był on w całym znaczeniu tego słowa, dobrym i zręcznym lekarzem, wykonywał tu z pomocą murzynki takie operacye, za stosunkowo małą cenę, jakie tylko dotychczas wykonywano w samym Paryżu; tłoczyły się do niego tłumy, on zaś nie brał na kiel, pomimo ciągle wzmagającej się praktyki, kochał koleżeńsko, po bratersku i z serca, tę młodą mulatkę, tak zdolną, że codzien robiła postępy i codzien zdawała się być więcej powabną, więcej nową, więcej młodą. Oh! czary niepojęte zdolności w tej usilności, która w kochającym sercu ciągle rośnie i wykwita, bez wysień, bezwiedzowo żywiona dniem i nocą chęcią podobania się kochanemu! Ona go kochała! kochała, chociaż się ożenił z inną, ona mu się poświęciła, dla niego służyć, dla niego cierpieć, dla niego znosić



trudy, było jej rozkoszą. Wszystko mu wybaczyła, chociaż ją kiedyś opuścił, ależ on był pierwszym, jedynym jej kochankiem; kochać ją musiał, bo skoro się znudził z bezduszną chłopką, powołał ją do siebie i całe jej oddał zaufanie. Była wesołą, czynną i postępową kobietą, zdolną nietylko pojąć, lecz wniesić wyższe ideje.

Opowiedziała mi to wszystko dziś, owa dzika Nuna, bo mnie się zwierzały i dziś jeszcze się zwierzają chętnie, wszystkie cierpiące istoty, które instynktownie wiedzą, że o moje serce nie odbijają się nigdy jako o głąz, cierpienia ludzi i narodów, na tak wielkie boleści skazanych.

Resztę historii Nuny opowiem później, może jak będziemy w Jerycho, którego mury zapadły się od dźwięku trąby archaniola, lub jak się znajdziemy na szczytach Nebo, z których patrzył wielki patryota Mojżesz na Palestynę, tak łakomo, chciwie i pałajaco, a obrachowawszy się z sumieniem, nie osadził się za godnego stapać po ziemi, którą Bóg powierzył przyszłości Izraela.

\* \* \*

Jesteśmy w drodze. Na mulicy pani Roux, Nuna zajęła miejsce Azzimy. Moja murzynka, do takich przepraw, jakie nas zapewne czekają, jeszcze niezdolna; poruczyłem ją pani biskupowej anglikańskiej, damie pobożnej, miłej i dobrej, pilnującej zacności swojego wyznania i całości owej czarnej neofytki, co prostotą serca, a bystrością rozumu, wszystkich zachwyca. Tam pozostanie Azzima dni kilka, pełniąc obowiązki służebnicy, lecz używając pomiędzy córkami biskupowej, tej zażyłości, jaką się u nas dozwala panom służącym i jaką, przechodząc odcieniami stopniowemi, wprowadza się uczciwe panny, w poczet pańienek respektowych. Z resztą, ściśnione powietrze dzielnicy żydowskiej, nie może służyć rozwijającej się murzynce, a pana Alfreda Stick, podniecającego się ciepłą strefą młodziana, ciągle towarzystwo, mogłoby

być może niekorzystnem dla rozwoju religijnego duszy Azzimy. „Djabel może skusić w jednej chwili,—djabel nigdy nie śpi, czuwa dniem i nocą, przecież pan to musisz wiedzieć.

Tak mi zaręczała pani biskupowa.

— Zaczynam o tem zapominać,— odrzeknę.

— Lecz innym, młodym, daje się to codziennie więcej we znaki,—zaręczała ta dama, która sama jeszcze była dość młodą.

Do naszego towarzystwa przybył niespodzianie, lecz niepożądanie, kapitan Robinson, mój dawny przyjaciel, któremu Miss O' Pistol odmówiła swej rączki, trzymając go prawie dwa lata pomiędzy rozpaczą i nadzieją, czasami zbyt niebezpiecznie blisko ostatniej.

— Nie spodziewałem się takiego zawodu ze strony panny O' Pistol, — rzecze z goryczą kapitan Robinson.

— Chciałeś być zbyt szczęśliwym,—ojca zgrywałeś, od córki zaś chciałeś wykpić rękę. Takie rzeczy nie idą w parze,—trzeba się zadowolnić jednym. Próbój szczęścia u panny O' Flinter, lub u panny O' Cannon, te są mniej zawodue.

— Dobrze mi radzisz Doktorze,—ale z panną O' Flinter będzie wkrótce O' Misery, a z panną O' Cannon będą wkrótce O' Cornery. Wolę zrobić jak mój ojciec i pozostać bezzennym.

— Nie wstydzisz się wyznać tego?

— A przecież mój ojciec był mormonem,—to religia, uznana przez prawa zjednoczonych Stanów Ameryki północnej,—nie ma w tem najmniejszego wstydu, ani dla matki, ani dla ojca.

— Więc tam wrócono do mahometanizmu pod tym względem? a świadczycie się ewangielia?

— Wierzymy w biblię, poprawioną w końcu stolecia czwartego, przez Mormona, arcy-gorliwego i arcy-walecznego chrześcianina,—ten zaś dozwolił wielożeństwa tym, którzy żony i dzieci utrzymywać zdołają w dobrym bycie. Pod wpływem tego prawa, wartość kobiety podniosła się i niemasz w ziemi Utah, w naszej lubej ojczyźnie, ani jednej, któraby się utrzymywała z frymarczenia własnymi, lub cudzemi wdziękami.

Czemu się rodzi więcej kobiet, niż mężczyzn? — czemu ginie więcej mężczyzn niż kobiet? — czemu Mormonizm podniósł wartość i zarazem godność kobiety? O zabójstwie, kradzieży, pijaństwie, karciarstwie, wszeteczeństwie ani słyhać, — nie masz wyznania lepszego religii chrześcijańskiej, jak mormońskie. Lecz sakramentu małżeństwa nie ma u nas.

— Sam jednakże, kapitanie, upijasz się kapitalnie, grasz w karty jak cygan na skrzypcach, całą noc; zdaje mi się, że i pod innym względem, nie jesteś wcale umiarkowanym.

— Tak, ale ja też wyrodek, wygnany z Utah za złe sprawowanie się i nie mogę wrócić do lubego mi ojczystego kąta, bez narażenia skóry mojej na nie miłe wrażenia; kary bowiem cielesnej, zwanej u nas ojcowskiem zapomnieniem, nie zniesiono, i sancta disciplina bierze się za pomocą wcale genialnej, ale mogę Doktorowi zaręczyc, dotkliwej maszyneryi, bom jej doświadczył dwa razy, przyznam się szczerze, mając lat 15 czy 16. Ta maszyna nazywa się kotką, dostać siedem pogłaskań kotki, to znaczy, dostać 49 najoblewanych batów, i takiej kotki ślady dźwigam na mym kapitańskim ciele. Niestety, to mnie nie poprawiło z nałogów.

Tak mi opowiadał szczerze kapitan Robinson dzieje lat swych młodzieńczych i powaby ich; tyle opowiedział, że możnaby z powtórzenia ich skreślić tomik.

\* \* \*

Wyszliśmy z miasta bramą św. Szczepana, i zaraz za most pozostawiając na lewo grób Maryi Panny, potem ogród Getsemané, gdzie się pocił krwią nasz Zbawiciel, przekraczamy wzdłuż dolinę Józefata. Pomiędzy grobami Józefata, Absalona i Zacharyasza, ogromnemi pomnikami, które wiek i najeźdźnicy uszanowali, czekała na nas eskorta beduinów, złożona z trzech dziko wyglądających barbarzyńców i ich Szeika, dość wykwintnie ubranego w czerwony kaftan, także krótkie spodnie, w buty wysokie i w burnus biały ze szlaczkiem

złotym na prawej rękawicy. Siedział na wybornym siwym koniu, u boku miał pałasz, za szerokim pasem pistolety, a w ręku dzierżył niezmiernie długą dzidę z bambusu, na której błyszczał jak dyament grot krótki lecz niezmiernie ostry, wślizgający się zdradliwie pomiędzy zębra, lub w żołądek, już z bardzo daleka, bo ta cienka bambusowa lanca, jest niewidzialną, ani z daleka, ani z bliska, tak ją trzyma arab umiejętnie w ręku, że przedstawia oku tylko koniec grotu, świecący jak dyamencik u pierścienia. Oblicze tego prawdziwie przyzwoitego Szeika, odpowiadało strojowi; na spokojnej, jasno bronzowej twarzy, rosła klasycznie określona, krótka czarna broda, w oczach więcej melancholii niż ponurości, w całym układzie szlachetność. Był to sam Averdiar-Bekir, potężny Szeik Engaddiny, na którego skinienie, powstałoby jak jeden człowiek, pięćset arabów Judei.

Ale że nas sam in propria persona raczy eskortować?... Bo znajduje się w naszej karawanie jakiś możny, bogaty pan, który siedzi zakapturowany na wygodnym siedzeniu, przymocowanym starannie między dwa garby wysokiego na siedem stóp Baktryana, a za tylnym garbem tego okrętu puszczy mieścił się służący tego tajemniczego pana, oczywiście nicejczyk, bo i po włosku i po francuzku mówił jak dwie krowy hiszpańskie. Widać, że ów pan musiał dać spory bakszysz Szeikowi, bo się ten głównie o niego starał. Lecz i mnie także uszanował Szeik głębokiem salem-elaj-kum, gdy mnie zoczył w mym stambulskim burnusie, z gwiazdą na tarbuszu, a że mówił po turecku, więc mi miło było rozmawiać z nim czasem.

Zabrało się też z nami kilkunastu arabów konno i pieszo, a nawet kilka arabek na mułach i koniach, pomiędzy niemi, także starannie zakwiefona arabka, tak zazdrośnie pokryta, że nic z niej spostrzedz nie zdołałem. Młode, towarzyszące jej, arabki, włościanki z Betanii, były dość ładne i jakoś świątecznie ubrane, w suknie obszyte różnobarwnymi wstążkami. Potem się dowiedziałem, że Betnianka zakwiefona była nową i trzecią z żyjących jeszcze żon naszego Szeika; trzy inne już mu umarły: wypotrzebuje ten Arab wiele ko-

biet, bo jeszcze dość młody, nie może mieć więcej jak 30 lat. Ale są mężczyźni w tych krajach, których żony nie długo żyją, chociaż im niczego nie braknie; pokazuje się, że je zazdrość zabija; im więcej kochają męża, tem są zazdrośniejsze, tem się więcej swarzą pomiędzy sobą, a nerwowym, żółciowym kobietom szkodzi gniew niezmiernie; lymfatykom gniew raczej pomaga do apetytu, lecz takich tu nie wiele pomiędzy arabkami, pomiędzy tureczkami zaś bardzo wiele.

Za Betanią zaczynają się owe drogi, które opisaliśmy, podróżując z Ramleh do Jerozolimy: strome, spadziste, ślizkie, wązkie, po nagich skałach wlekące się drożyny,—z jednej strony, tuż blisko, niezgłębiona przepaść, z drugiej stroma skała, na której nic się utrzymać nie zdoła, nawet zdziebelko trawy, nawet i skałotrzask (saxifraga).

Góry te, są jedne wyższe, drugie niższe, lecz zawsze zaokrąglone garbato jak wielbłądy, a nagie, lśniące, gołe i brzydkie. O nich też mówi Dawid w psalmie CXIV, wierszu 6: „Co wam było o góry! żeście skakały jak barany? co wam było pagórki, żeście hasały jak jagnięta?“

Tutaj w Judei można pojąć sens tej śmiałej przenośni. Ani śladu mieszkań, tu i owdzie, jednakże jakaś szmatka zasianego pola, coś zielonego, co pokrzepia znużone szarą jednostajnością oko. Ze szczytu jakiegoś wyższego wzgórze widok, ale na co? na inne nagie wzgórze.

Wkrótce, wszelkie ślady roślinności ustają, jesteśmy w puszczy, nie w piaszczystej saharskiej, lecz w miątko kamienistej: pomiędzy jednym a drugim kamieniem, rośnie nieco trawki, kamyki są okrągłe, spłaszczone jak nasze kopiejkowe bułeczki, prawie wszystkie jednej formy i wielkości.

Nieopodal, jest i góra strasznie stroma, rzadko kiedy zwiedzana, nieskonczenie rzadziej od góry Mont Blanc, półtrzecia razy wyższej. Ze szczytu tej góry, na którą i ja nawet dostać się nigdy nie mogłem, widok ma być do nieopisania rozległy: widzisz morze Śródziemne i Martwe, widzisz jezioro Genezareth, całą długą wstęgę Jordanu, widzisz Samaryę, Galileę, ska-

listą Arabię, kraj Ammonitów, Idumeę, Filistynę a nawet Fenicyę! Tu szatan wyniósł Jezusa i powiedział: „pokłoń się mnie, a wszystko co okiem obejmujesz, do Ciebie należeć będzie“.

— „Appage satanas“ — odrzekł mu Chrystus, rozwarły się skały i pochłoneły wielkiego szatana. Ale małe djabły pozostały w ciałach ludzkich, i w nich pokutują ciągle, zwłaszcza w kobietach, zatrudnić się nie umiejących, zabaw chciwych. Marya Magdalena, miała takich siedem, nim ich Jezus z niej wyrzucił: *ejecit ex ea septem diabolos!*

Po trzechgodziennej nudnej podróży, przebywamy nareszcie kraj, w którym się paszą na wyższych wzgórzach czarne kozy, na niższych białe owce. Koza wzej zaś może i charakteru jest włóczęgowatego. Kozły zaś są kapryśne; kozami się nie zadawalają, nieraz wkraczają pomiędzy owce i niedorzeczności dopuszczają się niesłychanych. To też wówczas pasterze idą obcesem na kozłów i wyrzucają ich z pośrodku owiec, które, głupiutkie, łagodne, wcale się nie bronią.

Takimi były kozły już za czasów Chrystusa, i takie stada musiał widzieć przed sobą, gdy do swych uczniów przemawiał o sędzie ostatecznym na górze Oliwnej: „Przyjdzie Syn człowieczy w chwale swojej, i wszyscy święci Aniołowie z Nim i usiedzie na stolicy chwały swojej. I będą zgromadzone przezeń wszystkie narody, i odłączy je jedne od drugich, jako pasterz odłącza owce od kozłów. A postawi zaistę owce po prawicy swojej, a kozły po lewicy“.

Jeszcze z pół godziny takiej podróży, — zwracamy na prawo, oto budowla, raczej szałas; nie, to tylko dach stojący na palach, tu i owdzie jeszcze ślad byłych tu tarcie. Ależ tu przynajmniej źródło, w którym, Bogu dzięki, nie braknie tym razem wody, — wody czystej, wody zimnej. Kto nie podróżował w tych krajach, ten nie wie jaki to drogi specyał woda, — ten miły żywiol, bez którego nic nie smakuje, nawet najlepsze wino.

Dla dostojnego, tajemniczego podróżnego, arabi i nizard rozpięli na prędcie jakiś namiocik: Damy i kobiety schroniły się do szałasu, zwanego tu nie wiem

jakim sposobem, karawanserajem, —my szukaliśmy chłodu w cieniu naszych osłów, koni i wielbłądów.

Za czasów Chrystusa, musiało tu być lepiej, w tem bowiem miejscu stała gospoda, o której On mówił, jak podaje św. Łukasz X—11: „Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalemu do Jericha i wpadł między zbójcy, którzy złupiwszy go i raniwszy, odeszli, zostawiwszy go pół umarłego. I przydało się, że kapłan niektóry szedł tą drogą, a ujrawszy go, pominął. Także i Lewita dostawszy się na ono miejsce, ujrawszy go, pominął. Ale samarytan niektóry, jadąc przyjechał doń, a ujrawszy, uzalił się jego. Zawiązał tedy rany jego, a nalawszy wina i oliwy, i włożywszy go na bydle swoje, wiódł go do blizkiej gospody, i miał staranie o nim. A nazajutrz odjeżdżając, wyjął dwa pieniądze i dał gospodarzowi mówiąc mu: Miej o nim staranie, a cokolwiek nad to wyłożysz, jagdy wrócę, oddam“.

Niema tu nikogo, nawet pomiędzy najteńszymi arabkami, żeby tych miejsc nie znał znaczenia, żeby się nie gorszył postępowaniem kapłana i lewity. Wiemy, że żydzi uważali Samarytanów za nieczystych, z czego wzrosła zacięta nienawiść pomiędzy dwoma plemionami. Jednakże mówi Jezus: „Samarytan ulitował się nad żydem, nad którym ani kapłan, ani lewita, ulitować się niechciał“.

Takie sobie robiłem najzupełniej tajemne rozważania nad tem, com widział i słyszał tu, w miejscowości tyle ważnej dla historii świata, i dla historii pojęć religijnych,—lecz zwyczajem zgubnym, zebrany w ciągłym pożyciu z ludźmi rozsądnymi i uczciwymi, robiłem sobie te tajemne uwagi *clara et distincta voce*, w języku francuzkim i to w przytomności dwóch jezuitów, jednego francuza ultramontańskiego od Papieża samego, i dwóch kobiet, jednej z urodzenia włoszki, a drugiej choć mulatki, ale paryżanki.

Obie kobiety parsknęły od razu, jak dwie lufy dubeltówki, najprostszym śmiechem, od którego odgłosu zarżały wszystkie nasze konie, rozajały się osły i rozkwiliły wielbłądy. Soragna uśmiechał się tylko, a Bulben rozjędyczył się w taki sposób, że mu nos na-

tychmiast urosł i zsiniał. Pan de Mornay zaś zerwał się jak cała Francya, na równe nogi, i sięgnął prawą ręką do lewego boku, u którego na moje szczęście, nie było wówczas ani szabli, ani różna.

Jednocześnie ktoś wychylił głowę z po za namiotu, wystawionego dla owej dostojnej i tajemnej osoby.

— Wszelki dobry duch Pana Boga chwali!— krzyknąłem wówczas, nie po francuzku, lecz moim rodzowitym, od kolebki nauczonem mi językiem, językiem wysanym z mlekiem mamki, która była dobrą chłopką z Zawodzia pod Kaliszem.

Po moim wykrzykniku, głowa natychmiast się schowała, utonęła pod namiotem, a ja pozostałem jak spiorunowany, i jeszcze raz słabszym głosem rzekłem: „wszelki dobry duch Pana Boga chwali!“

A ta głowa powinna była odpowiedzieć: „I ja Go chwale“, lecz nie odpowiedziała, tylko utonęła w namiocie i milczała. *Powinna była odpowiedzieć*, bo rozumiała mój język, i przemawiała nim tak dobrze jak ja, *nim została odstrzeloną od kadłuba*, tak jest panowie i panie, *nim została odstrzeloną od kadłuba*, nie myślę się wcale, to jest głowa należąca do nieboszczyka, który już dawno nie żyje i niema prawa do istnienia przynajmniej politycznego, bo kadłub już dawno pochowany z wszelką papą, należną bogatemu magnatowi, hrabi, wielkowszóstwowemu kawalerowi orderu Orła czerwonego i innych.

Ależ... to nie moja tajemnica:— ten pan nikomu nic złego nie wyrządził, chce uchodzić za umarłego, musi mieć do tego ważne powody;— zdradzać tajemnice swych bliźnich, nawet dla zabawy, jest zawsze nieprzyzwoitym postępkim, będę milczyć, nie nie powiem, słowo honoru sobie na to daję—basta.

— Ah ça Docteur!—powie francuz—paneś srodze, a nawet niegrzecznie ubliżył kapłaństwu mojego wyznania swojemi uwagi, wyrzeczonemi, tu wobec wszystkich i zmuszasz mnie do uniżonej proźby, o udzielenie mi honorowej satysfakcyi, ja bowiem w charakterze kawalera Grobu świętego, którego tu mam nieskończony zaszczyt nosić znamiona, powinienem być obrońcą wszystkich, dla celu pobożnego podróżujących pielgrzymów.



— Ja pana uwalniam od tego obowiązku, wiem, że Doktor ma zwyczaj mówienia co myśli, a myśli są wolne,—rzecze ojciec Soragna.

— I ja także podzielałam zdanie mojego wielbego preopinanta—rzecze zdławionym głosem Bulben.

— A ja podzielałam zdanie Doktora,—powie pani Roux, niezwykle uroczyście głosem.

— Ja go pocałuję w nogi za to, co powiedział,—rzecze Nuna, padając mi do nóg.

— A ja *very much pleased*, bardzo jestem zadowolony z tego, co powiedział Doktor i uważam pana de Mornay, za bardzo osobliwego półgłówka (*very remarkable blockhead*),—powie Alfred Stick, głosem suchym i pozytywnym, — a potem widząc, że wszyscy milczą i że francuz zaczyna się trząść ze złości, dodał :

— Jeśli jednakże dla załagodzenia sprawy i dla wzbudzenia w głowie pańskiej rozumniejszych myśli, mogę panu służyć kilkoma dobrymi boxami, które się nauczyłem aplikować w uniwersytecie oxfordzkim, to jestem na pańskie rozkazy stante pede.

Wzniósł się na nogi, odgiął mankiety, przywdział rękawiczki i stanął w pozycyi.

Znów kobiety parsknęły śmiechem, wtórowali im obaj jezuita, konie, osły, wielbłądy, nawet psy wyć zaczęły,—ale głowa nieboszczyka nie wychyliła się tym razem z po za namiotu.

— Widzisz panie de Mornay, na cóż ci przyjdzie wrywać się jak Filip z Konopi i wychodzić na tem, jak Zabłocki na mydle?—rzekłem do francuza—nie żyjemy tu już jak nasi przodkowie w czasach krucyat. Najlepiej będzie dać każdemu myśleć co chce i mówić co myśli,—powie sentymentalnie pani Roux i podała panu de Mornay rękę, którą on pocałował, lubo już nie należała do księżny.

Szeik Abediar-Bekir, zwabiony naszym głośnym śmiechem, przyszedł z powagą i spytał mnie, z czego tak jesteśmy rozochoconi.

— Piliśmy pewne wino nerwowe, nazwane szampanem, i to wino sprawiło tak rozweselający wpływ,—odpowiem, — jakże bowiem w tym razie opowiedzieć prawdę?

— Jakto mądrze zrobił nasz Prorok, że nam zakazał wina,—za nic w świecie nie chciałbym być tak wesołym, jak wy tu jesteście, o lekkiego serca giaury! odpowie arab z nieporównaną szlachetnością i powagą, spojrział w niebo, skrzyżował ręce na piersiach, skłonił się przed Prorokiem w niebie i wrócił do swej kobiety tłómaczyć jej, czemu Giaury tak rozochoczone i tak się śmieją, jak cztery dziewczki.

Ojciec Soragna rzekł:

— Świętą ma racyę ten bisurmanin tym razem, starajmy się nie wpadać więcej w taką pustą radość.

— Zaprawdę, ma racyę, chociaż nie wie o co idzie,—rzekła ze skrucą pani Roux.

Byliśmy wszyscy rozstrojeni i niezadowoleni z siebie,—Francuz zaś poznał, że zrobił swą diatrybą bardzo złą sławę szampanowi.

— Dobrze, że tu niema Azzimy, —powie Alfred Stick z namaszczeniem.

— Ah vanitas vanitatum! ah profanatio! zbezcześciliśmy to święte miejsce, — bądźmy smutnymi jak skąpiane kury! — rzecze van der Bulben.

I wszyscy schyliliśmy głowę i byliśmy smutnymi.

Wkrótce też puściliśmy się w dalszą podróż: — ztąd do Jericho jeszcze tak daleko, jak z Jerozolimy dotąd. Co krok prawie, spotykamy tu coś, co nam w żywych obrazach przedstawia biblijną przeszłość.

Podróż w tym kraju, jest wiecznym komentarzem biblii: tu spotykasz pasterzy uzbrojonych aż do zębów i gotowych bronić swe trzody aż do upadłego, przeciwi zbrojcy i wilkom. „Jam jest dobry pasterz, który duszę swoją kładzie za swoje owce. Zły pasterz widząc wilka przechodzącego, opuszcza owce i ucieka, a wilk porywa i rozprasza owce“. (Ś. Jan X,—12).

Widziałem kiedyś, w r. 1849, pasterza uciekającego od swych owiec w towarzystwie hrabiny Spohr, i owce zostały poszarpane i rozproszone przez wilka Oudinot.

Dzięki wynalazkowi mnicha niemieckiego, liczb a wilków umniejszyła się znacznie w Ziemi świętej, lec z zbrojców i złodziei jest zawsze bardzo wiele. Spotka- liśmy oddział Baszibuzuków, prowadzących trzech zna-

nych zbójców do Jerozolimy. Nasz Szeik fraternizował się z oficerem tego wojska, jak gdyby sam nie był po za prawem, pobierając okup za opiekowanie się podróżnemi w kraju, oficjalnie rządonym przez sultana, tworząc tym samym statum in statu. Lecz ta nielegalność, ani na myśl nie przyszła oficerowi, który z resztą zaręczał, że już jutro ci trzej rabusie powieszeni zostaną na Haceldama na tem samem miejscu, na którym się powiesił Judasz Iskariot, zdradziwszy Jezusa.

— Nie łatwo będzie powiesić owego małego, krępego, — mówi wskazując na jednego z rabusiów, — bo kark ma jak buhaj.

— Znam tego łotra od dawna, mordował na własną rękę, nie okupując mi się. Widzisz samolubie, teraz musisz ginąć i nikt cię załować nie będzie, — rzecze Szeik do delikwenta.

On zaś odrzekł nieporuszony :

— „Allah et ekerim bybul!“ Allah tak napisał w księdze! Poddał się zupełnie losowi, — zniesie swe męczarnie z niezachwianym stoicyzmem.

Dalej znów spotykamy całą gromadę pielgrzymów arabów, mahometanów, powracającą aż z poza morza Martwego, gdzie zwiedzili grób Mojżesza, na górze Nebo, pod Bedegor, którego wierzchołek już tu widzimy, po za morzem już prawie blizkiem, tak tu jasność powietrza przybliży oddalenie. Jest z kilkanaście kobiet pomiędzy niemi, — śniade i chude, lecz wcale nie brzydkie z kształtu i z ruchów. Ani też brudno ubrane, — owszem, spódnice mają wyszyte pasami kolorowemi, stopniowanemi od pasa aż do stóp, jak tęcze, na ramiona spływają rękawki wylotowe, rozcięte, — kaftaniki noszą luźne, ale wysoko spięte, pod któremi ruszają się dość niespore piersi, na głowie zaś noszą zawoje, których dwa końce spadają także na policzki i mogą być pod brodę splecione, by im wiatr zawoju nie porwał. Panny noszą włosy, lecz krótko ucięte, — meżatki włosów nie noszą, tak jak żydówki prawowierne. Śpiewają coś raczej wesołego, niby ha-leluja, zdaje się, że widok grobu Wielkiego prawodawcy, którego i my czcimy, podniósł ich ducha. Nuna uraczyła je bochenkiem chleba, chętnie to przyjęły, —

widać bardzo zgłodzone. Każda z nich dała Nunie po parę fig, lub pomarańczę, które nosiły na głowie, w gracko splecionych koszyczkach, kształtu prawie he-truskiego, podpierając je jedną lub drugą ręką; na ramionach miały lśniące bransolety z perłowej macicy, przerabiane srebrem, w uszach zaś ogromne dość ciężkie obrączki, także ze srebra, wyciągające im niewdzięcznie płatek. Sandały z włókna palmy oblekały ich nogi chude, lecz zręczne; z ikier bardzo — mało tego, ale mocno chodzą na tych jelenich nogach.

Duże miały, strasznie duże nieruchome oczy, lecz zapadłe w jamach, kości policzkowe wystające. Przez dobry byt te kobiety stałyby się pięknymi, graczkami, wesołemi i żyłyby długo na pociechę świata i swych dzieci: ale mało pod tym ojczymim rządem kobieta korzystać może z swej pracy: kto z rabunku żyć nie może, ten musi głód znosić. Żal mi szczerze tych ludzi, bodajby im słońce lepszych czasów zabłysło jaknajprędzej! Pod krótkotrwałym egipskim rządem, od 1832—40 r. było tam lepiej, źle zrobiły państwa, które się za Turków ujęły, ale wówczas Anglia była przeciwko Egipcjowi i całą Europę, nawet Rosyję za sobą pociągnęła. Dziś inaczej pojmują politykę.

Stajemy na grzbiecie ostatniej góry, oddzielającej nas od płaszczyzny, — teraz obszerny widok rozpostarty przed nami. Zachodni widnokrąg, góra Mohabitów staje w całej swej błyszczącej świetności, lśni się morze Martwe jak azurowe, metaliczne, ogromne zwierciadło, — na lewo puszcza św. Jana, przed nią pas długi, stumaniony Jordanu, zawarty pomiędzy dwoma brzegami zielonej, od skał i piasków, cudnie odbijającej zieloności. Jericho także tuż przed nami, — owe Jericho, co jest tylko gniazdem, a kiedyś było tak silną i obronną fortecą, że trzeba było i cudu i zdrady kobiecej, by ją zdobyć. Ah czemuż sam cud nie wystarczył? Zdradzie Izrael zawdzięcza zdobycie Kanaanu, nie będzie miał wiecznie z niego pociechy! Maleparta do czarta!

Schodzimy, schodzimy po długiej, strasznie przykrej drodze, dla podróżnego i dla konia, lepiej tu pod górę jak z góry.

Jericho, klucz Kanaanu, leżał w pośrodku palm i sykomorów, to jest wielkich bżów, — z których ani tu jeden pień nie pozostał. Lecz to miasto było skazanem na zupełne zniszczenie; Jozue wyrzekł: „Przeklęty mąż przed Panem, któryby powstał a odbudował to miasto Jericho: na pierworodnym swoim założy je, a na najmłodszym postawi bramy jego“. Lecz tego zakazu nie usłuchał Hiel z Betelu, z miejsca, gdzie cielca złotego wzniesli, tylko uważając, że w tem miejscu forteca jest koniecznie potrzebną dla obrony kraju, wznosił ją. Lecz sprawdziła się wyrocznia: syn Hieła pierworodny, umarł nagle przy położeniu fundamentów, syn zaś ostatni umarł przy wzniesieniu bramy. I tu się forteca z woli Boga rozpadła w drobne kamienie; Bóg nie chciał, żeby Izrael posiadał inny klucz do kraju swojego, jak Jego własne słowo. Izrael Bogu nigdy nie zaufał w zupełności, tak jak i dzisiaj żyd nie zufa nikomu w zupełności i dla tego niema przyjaciół, choćby najlepsze dawał obiady pochlebcom. Ci chętnie zjedzą i wypiją u żyda, nawet gdy są hrabia-mi i książętami, lecz potem pomiędzy sobą urągają się nielitościwie z fundującego mehesa.

Zamruczał strumyczek, — woda w nim płynie, woda żywa, choża, przezroczysta, w której pluskają malutkie kiełbiki, tak wesoło i szczęśliwie, jak u nas. Zarżały nasze konie z wesołości, osły telegrafują uszami, a wielbłądy choć tak poważne i uroczyste, wargi swe rozłupane wyciągają ku żywiołowi życiodawczemu. Pojmy je, by zyskały siły i nas jeszcze przed zachodem słońca do Jericho zanosły.

Otóż jesteśmy w dolinie Jordanu. Tu już jakiś ślad roślinności, ale nic coby podobnem było do owej mistycznej róży Jerychońskiej, o której tyle mówią cudownego, i która w wodzie rozkwita jeszcze w kilkaset lat po zerwaniu.

Poweźmiemy o tej róży później jaśniejsze wyobrażenie. Jest tu wprawdzie jedna solanea, której kwiat bardzo podobny do kwiatu znanego kartofla, lecz jest to krzew, a korzenie ma podłużne, gorzkie i do jedzenia nie zdatne. Nie braknie tu cierni, na których dojrzewają tarnki, tak cierpkie, że usta ści-

skają, nawet najogromniejsze, w sposób kapciucha pęcherzowego.

Na miejscu dawnego okazałego miasta, stoi teraz ze dwadzieścia najlichszych chatek, których obszarpani mieszkańcy zbiegają się do nas szperając, coby można świsnąć. Szeik nas prosi, abyśmy ich nie przyciągali ani darem, ani gościem, ani nawet spojrzeniem, bo to ludzie wszelkiej oświaty pozbawieni i do wszystkiego złego gotowi. Grozi im dzida, odgania ich i bureczy. W stronie południowej, na lewo od drogi wiodącej ku Jordanowi, stoi na pół strącona wieża czworograniasta, wzniesiona tu za krucyat. Ze trzydziestu żołnierzy ottomańskich stoi w niej garnizonem. Wszedłem natychmiast z oficerem ich w styczność i ukazałem zyskany od Baszy firman. Dał mi trzech żołnierzy, by mi byli pomocnemi do rozpięcia namiotu. Kazałem mu napisać swe nazwisko na firmanie, wzdragał się naprzód, lecz musiał podpisać, Tak mi radzono.

Rozpięto namiot dla naszych kobiet,—my pod gołem niebem przenocować musimy, czuwając jeden po drugim. Mieliliśmy z sobą sienniki, nie łatwo tu było o słomę. Posililiśmy się lada czem, figami, chlebem, winem i kawą czarną. Pierwsza warta na mnie wypadła.

Słońce zachodzi za górami Ammonu i Moabu, szybko i bez okazałości, bo najmniejszej na niebie nie ma chmurki, o cóż więc mają się odbijać jego promienie? o czysty eter?

Muezzin zajęczał na dachu poblizkiego nędznego meczetu, minaretu nie było w Jericho.

— „Idźcie się modlić hultaje! — fuknął Szeik na tę gawiedź, która siedząc około nas, nie traciła z uwagi naszych poruszeń. Odlecieli jak chmara kruków. Teraz nasi księża wzięli się do odmawiania modlitw, a młody misionarz angielski raczył mi palnąć kazanie w tekst św. Łukasza XIX—10: „Syn człowieczy przyszedł, aby szukał i rachował, co było zgubionem“.

Obiecał mi dowieść, 1-o, że Syn człowieczy jest Synem Boga, 2-o, że On umyślnie przysłanym został od Boga, 3-o, że On szukał starannie, nie lękając się, ani niebezpieczeństw, ani niewygód, 4-o, że wielu było

zgubionych ludzi, 5-o, że i on sam jest zgubiony, bo czasami powątpiewa, a czasami zapomina o swej duszy, bawiąc się próżnemi rozmowami, 6-o, że i ja jestem zgubionym, bo zbyt wiele ufam mojemu rozumowi, który aczkolwiek spory, nie wystarcza na moje zbawienie bez łaski Boga i bez pomocy Chrystusa. 7-o, że można sobie zniewolić Ducha Świętego, by nas nieodstępował w żadnej chwili, 8-o, że podniesieniem ducha pojąć możemy to, co ludziom w poziomości ducha pozostającym, niewyraźne; 9-o, że mnie Syn człowieczy już znalazł, 10-o, że ja jeszcze nie wiem, że mnie znalazł, 11-o, że się opieram usiłowaniom Jego, 12-o, że należy wychodzić po gentelmańsku z synem człowieczym, z synem Boga, i dziękować mu już teraz za nieotrzymaną jeszcze, lecz tak gwałtownie potrzebną łaskę Jego“.

— Na miłość Boga ukrzyżowanego, przyjacielu Stick, czy to jedna noc wystarczy na dowiedzenie tytu rzeczy, tak ważnych i pięknych? — krzyknę struchlały tą manną boską teologii, która na mnie nieboraka spaść miała.

— Może nie wystarczy jedna, ale mniejsza o to, never mind! nie wystarczy jedna, to wystarczą następne, wiem, że moja cierpliwość wystarczy.

W tem odezwały się dwugłośne śmiechy rozpukowe, z pod namiotu naszych kobiet i głos się odezwał:

— Tant pis pour Vous, cher Docteur, — tym ci gorzej dla Ciebie, kochany Doktorze!

Był to głos pani Roux, która się rozfiglowała od czasu, jak przestała być księżną.

Nie dał się zbić z pantałyku kochany pan Stick, i natychmiast wezwawszy Ducha Świętego, zaczął mi prawić swe dwunastosąźniste kazanie, pod którego zbawiennym wpływem — usnąłem snem sprawiedliwych.

## ROZDZIAŁ IX.

### J o r d a n .

---

Jordan! uroczego brzmienia słowo, przenoszące na swych przezroczystych, niebieskich skrzydłach do duszy mojej tak miłe, w dzieciństwie już pojęte wrażenia i myśli. Jordan! nad twemi brzegami długo cierpiał i myślał, poprzedziciel Najwyższego Jestestestwa, jakie stąpało po naszej biednej ziemi: tu się gotował do spełnienia swej świętej misyi, uwieńczonej przedwczesną śmiercią! On wiedział, że światu, w którym żył potrzeba odnowy, on sam malutki, widział Jezusa jeszcze malutkiego i w nim, niemogąc prawie jeszcze nic mówić, odgadł—Odkupiciela świata. Był Jego powinowatym, Jego bratem prawie, wzrastał z Nim w pierwszych latach dzieciństwa, potem opodał od Niego długo, nawet zawsze; lecz w jego, w Jana pocziwego duszy, pozostał obraz tego dziecięcia, głębokiego, roztropnego, przewidującego wzroku, które przyszłość swą przewidziało, które siebie widziało drgającym w okropnej agonii na krzyżu! I wiernie w swem tak czułem jak walecznem sercu, przechował obraz Tego Dziecięcia, i opodał od Niego postanowił sobie, życie swoje ofiarując Bogu i ludzkości, ułatwić krewnemu swojemu spełnienie tego wielkiego posłannictwa! Nie z książek czerpał, ani też w obcowaniu z ludźmi, żywioty, do tak trudnego zadania potrzebne, szukał ich w samotności, w uosobnieniu, w głodzie, to jest w stanie, w którym dusza, jeśli istnieje, jeśli jest, wy-



rywa się lotna, czysta, święta z po za atmosfery ziemi po nad eter w sfery bliższe Boga! Byłeś w nich Janie! byłeś w nich i pojąłeś, że strugą wód, ciągle wartko bieżących, odmyć należy całą przeszłość, tak okropnie skalaną przez Twych bliźnich, by byli godni pojąć słowa Tego, który wyrzekł: „tylko Bogu chwala, a braterstwo wszystkim ludziom“!

Niestety! poznał się na twych działaniach Herod, ów godny przedstawiciel piekielnej potęgi, zesłanej na to, by hamować rozwój zdrowego ludzkiego usiłowania, poznał wpływ przez Ciebie wywierany na ludzkosć, szczęścia szukającą w odnowie ducha, i zwał Cię, łatwowierny, do zamku swojego, by Ci śmierć zadać. Kobieta władzy chciwa, a jej nie godna, ściać Cię kazała. A któraż kobieta władzy chciwsza, jeśli nie ta, co podarłszy wszelki wstyd niewieści, świadoma swej hańby, swej niegodności, wynieść się pragnie po nad sumienia ludzkie, jakimkolwiek bądź sposobem, by mogła się urągać z ludzi, na których pogardę zasłużyła?

Tu stojemy na tej płaszczyźnie, tej równinie, tej dolinie Jordanu i dumamy. Żadna figlarna myśl nie przychodzi nam, Bogu dzięki, do głowy, w obec tej doliny tak historycznej, na której przeszło milion ludzi, zginęło niepotrzebnie, mierzwiąc swem ciałem grunt, który dziś nic nie wydaje. Sic fata voluerunt! U nas przynajmniej pobożowiska, niestety aż zbyt często i gęsto po kraju rozsiane, wykwitają z ziemi bujną roślinnością!....

Ależ tu w dolinie niegdys żyznej Jordanu, w całej tej długiej na dwa stopnie geograficzne, a szerokiej na pół stopnia dolinie, tak mało roślinności, że wyżywić nie zdoła dziesięciu tysięcy ludzi swojemi plonami.

Przedtem była ogrodem skrapianym wodami, wpadającymi od wschodu i zachodu mnogiemi strumieniami do Jordanu. Wyschły źródła tych strumieni, skały tych gór postrącały się w dolinę i pokryły ją opoką, glazem, kamieniem, kamykiem i grubym zwirem, nie przepuszczającym trawy. Wprawdzie, Jordan tu i owdzie, gdzie nie ma koryta ścieśnionego skałą, wy-

stępuje po deszczach i stopnięciu śniegów z łoża, i oblewa część doliny,—tam jeszcze coś urosnie jako tako, na piaszczystym gruncie — a zieloność trwa najpóźniej do Maja, potem zaś znika na sześć miesięcy przy najmniej.

W półtorej godziny przybywamy na brzegi Jordanu, którego bliskość już nam zwiastował miły szmer i mruk wody, przewalającej się po kamieniach i toczącej je ze sobą. Widziemy go, rosną nad jego brzegami trzciny szalenie wysokie, na trzydzieści stóp przy najmniej. To jest *Arundo Christi*, trzcina, na której podawano Mu ocet, kiedy prosił o wodę, trzcina, na której był grot, który Mu przebił piersi, trzcina, którą Go bito, którą Mu dano w rękę jako berło, Obok niej rosną wierzby płaczące, których gałązki nurzają się w wodzie, i wszelka wegetacya przybiera tu kształt ponury, wszystko chce się nurzać w wodzie, w której był chrzczoney Chrystus. Tu zejść nie można do Jordanu, bo jest zbyt wartkim, wązkim, na jakie osmdziesiąt stóp tylko i toczy duże głazy. Postępujemy naprzód ku północy. Tu brzegi się schyliły,— tu się roztoczyły na piasek, tu by się można kąpać wygodnie, ale się tu pluska chmara koptów różnego wieku, rodzaju, płci, stanu, a wszyscy ci koptowie, chodzą tak, jak Szach perski,— bez koszul i w stanie są zaludnić nas egipskimi barankami;—a takich wrażeń wynieść nie chcę z wód Jordanu, i nie chcę też opisywać nigdy wspomnień z podobnych wrażeń, chociaż by to interesowało jaknajwięcej entymologów.

— Wyżej musi się znajdować jeszcze lepsze miejsce do kąpania, wyż osadki Gígal, jeśli mnie karta geograficzna nie zawodzi, — rzecze kapitan Robinson, który się był zgubił w Betanii i teraz dopiero złączył z korpusem.

Istotnie znaleźliśmy piękne miejsce, gdzie Jordan tworzy okrągły roztok po piasku, bielutkim i twardym, i gdzie łatwo nam było wbić kije, na rozpięcie namiotu, do którego się nasza pleć piękna schroniła, podczas naszej nabożnej kąpieli.

Z resztą, to miejsce nacechowane było głazem olbrzymim, na którym, jak tu mówią, już za czasów

krucyat sam król Godfryd kazał wyryc olbrzymiemi literami następujące słowa:

*„Locus, ubi baptisatus fuit Christus ab Joanne“.*

Mogę zaręczyć śmiało, że mnie żadna kąpiel tak nie rozrzewniła, jak owa w Jordanie, a brałem przecież kąpiele rozmaitej temperatury i w różnorodnych wodach i w różnych częściach ziemi. Każdy mi też chętnie uwierzy, że tak było, bo właściwie tylko w Jordanie można brać kąpiel rozrzewniającą: żadnego innego miejsca woda nie może wyrzec tego wpływu, nawet gdyby była przesiąknięta cebulą, czosnkiem, chrzaniem, musztardą i innymi substancjami, któremi sobie żydzi twardego oka pomagają by sztucznie łyzy ronić.

Tu się kąpał Jezus Chrystus i kąpiąc się, zmył z ludzkości wielu tysięcy lat błędy, okrucieństwa i niecnosci. Tu świat rozpoczął nowe życie, tu zdobył nowe siły i tu zajaśniała nowa, wieczna prawda ogólnego braterstwa; tu utonęła wszelka wyższość i wszelka niższość, nie cnót i przymiotów, lecz błahych, na żadnej wartości duszy nie opartych różnic. Nie mówimy tedy o duchowej wyższości lub niższości, — te nie znikną nigdy, lecz tylko Bóg je ocenić zdoła, i ten, co ją posiada, zniesie dla Niego upokorzenie, wzgardę i cierpienie, pomny, że za to będzie wynagrodzonym sowicie.

Christus et Johannes — chrzczony i chrzciciel! Syn Boga przyjmuje tu z ręki prostego pasterza pierwszy sakrament, dając tem przykład pokory całemu światu, a na ten widok roztworzyło się Niebo, zstąpiła z niego gołębica biała i dał się słyszeć głos potężny, mówiący: „To jest Syn mój, którego sobie upodobałem“! A głos był tak potężnym, że od jego odgłosu podskoczyły góry i zatumanily się oceany i cała ziemia za-tętniała pulsem wieczności.

Plakałem z rozczulenia, łyzy moje były tak rześiste, że od nich wezbrały wody Jordanu, — tak mi się zdawało, bo mi od razu fale poszły nad głowę i kto wie, coby się zemną było stało, gdybym był nie umiał pływać.

Pysznie wyglądał w Jordanie ojciec Soragna, ze swą długą, gęstą, złotą, brodą, z którą może żadna

broda na świecie mierzyć się nie mogłaby, lecz nie łatwo mu z nią było pływać, bo mu się w niej zaplątały ręce i nogi, i byłby utonął, gdybysmy go nie byli uratowali, ja i Alfred Stick, dwaj różnowiercy. Nigdy zapewne niewydarzyło się Jezuitcie być ocalonym przez wyznawców ewangelii, przez tych, przeciwko którym Loyola uzbroił silną armię zaciętych wrogów; ale czyż w wodach Jordanu, może trwać nienawiść? Wszystko co jest brzydkiem, tu się obmywa z ciała i z duszy. Bylibysmy oddali chętnie życie nasze, dla ocalenia życia najnędnieszemu człowiekowi. Są chwile, w których człowiek wyrzeczeniem staje się równym Bogu, który się wyrzekł dla nas życia i dla nas umarł tak bolesną śmiercią.

De Mornay, Robinson i Bulben, doskonali pływacze, przepłynęli tymczasem cały Jordan i tam z drugiej strony, z strzelbami na ramieniu, lecz w najzupełniejszych naturalibus, czuwali nad naszym bezpieczeństwem, by się nie zbliżył jaki beduin i nie poczęstował nas pigułką ołowianą, jak się to często wydarza pielgrzymom.

Wykapawszy się, prosiliśmy tych panów, żeby tam pozostali i czuwali nad życiem naszych kobiet, które pragną także użyć tej życiodawczej kąpieli, ale żeby byli łaskawi ubrać się tymczasem chociaż w liście figowe, których tam nie brakło, a były niektóre rozmiarów olbrzymich, tak, że za pomocą ich i długich gałązek wierzby płaczącej, można się było odziać tanim kosztem wcale przyzwoicie. Zaraz się też wzięli do tej dość oryginalnej toalety, a my wróciliśmy na brzeg, obsuszili i ubrali w oka mgnieniu.

— Kochana Pani Roux! Nuno! teraz na was kolej, idźcie się kąpać, my tymczasem znikniemy w krzakach i nie będziemy widzieć, — rzeknę do kobiet, siedzących pod namiotem.

— A ci panowie nadzy, goli, bosci mają tam pozostać na drugiej stronie i widzieć nas kąpiących się? odpowie pani Roux.

— A zkadże pani wie, że są nadzy, goli, bosci, przecież panie zasłonięte namiotem, więc nic nie widzą.

— Ah Doktorze, chcesz mnie zawstydzić? — oto wiatr odsłonił kurtynkę od namiotu — i widzieliśmy wcale niechcący...

— Dobrze — dobrze, nie było najmniejszego wiatru, ale mniejsza o to: ci panowie będą ubrani od stóp do głów w liście, i nie będą patrzyli na wodę, tylko na góry, z kąd grozi niebezpieczeństwo.

— Ah Doktorze, stchórzyłam, — już po raz drugi przybywam do Jordanu, w celu kąpania się i po drugim raz tchórzę, gdy obok niego jestem. Woda tak głęboka, musi być zimną...

— Zimną nie jest, owszem, prawie zbyt ciepłą, — co zaś do głębokości... nie potrzebuje pani wchodzić daleko, tylko sięś na piasku i zanurzyć się pod wodę.

— Boję się — boję Doktorze kochany!...

— Pfe, moja pani, któż to się boi kąpać w Jordanie? jeszcze w nim żaden dobry chrześcjanin nie utonął. A potem — ręczę za to, że po jednej kąpieli odrosną pani włosy, wpływ jordańskich wód jest cudowny na wzrost włosów...

— Istotnie?

— Tak stoi napisane we wszystkich terapiach... włosy rosną cudownie.

— Oh! jeśli tak, to ja nie chcę się kąpać, — odzwie się Nuna, — ja mam już zbyt wiele włosów i łamię najmocniejsze bawole grzebienie — kiedy się czeszę.

— Kiedy się czeszesz? Nuna, nie bądź głupią: Wody Jordanu są tak cudowne, że łysym pomagają na rośnięcie włosów, kosmatym zaś na wypadnięcie. Wiesz przecie co jest hydroterapię i co jest termoterapię, woda pomaga na najsprzecznějšíe choroby, — dalej do wody! nie dajcież czekać tym panom za Jordanem.

— Dały się nareszcie nakłonić i, zawinięte w prześcieradła, wstąpiły do wody, — potem w miarę jak się zanurzały, odsłaniały prześcieradła, — nakoniec zdarły je zupełnie z siebie i rzuciły je na brzeg: wkrótce tak sobie swobodnie baraszkowały w wodzie, jak dwie kaczki, jedna czarna kosmata, druga biała łyska, zanurzały się pod wodę, wychylały głowę po nad wodę,

nawet, rozochociwszy się, wyskakiwały w powietrze jak karpie, — dobrze, że tego nie widział ani jezuita, ani missjonarz, który korzystając z okoliczności, prawił kazanie o wpływie dobroczynnym chrztu samowiednego.

Dopiero po kwadransie wróciły kobiety pod namiot, zachwycone tą religijną i terapeutyczną, miłą kąpielą, a pani Roux nie mogła mi się podziękować, zem ją prawie zmusił do kąpania się.

— Teraz się czuję mężniejszą istotą, — i to panu zawdzięczam, Doktorze, — zaręcza mi pani Roux, ubierając się pod namiotem.

— A mnie włosy tak zmiękły — ręczę, że mi już nie będą łamać grzebieni, — rzecze Nuna cokolwiek nieostrożna w wysłowieniach.

Nasza gwardya bezpieczeństwa przybyła także z po za Jordanu. Wyglądali ci panowie jak owi olbrzymi, podpierający tarczę herbową Cesarstwa Niemieckiego, lecz wkrótce wszystko było ubranem.

— Teraz, moja pani, należy nam się przyobiecane małe śniadanie, — jesteśmy przecież naczczo, po dobrej konnej przejażdżce i po kąpeli. Nie przepelniamy sobie jednakże żołądka, bo za kilka godzin czeka nas jeszcze inna kąpiel, — w morzu Martwem, kąpiel w solance, od której sztywnieją skóra i wstawy.

— Oh! ja się chcę kąpać w morzu Martwem! — krzyknie pani Roux.

— Do tego nie nakłaniam pani, gdyż może być niekorzystnem, niedogodnem wpływ tak mocnej solanki na skórę tak delikatną i białą, jaką pani ma szczyt posiadać.

— Ah Doktorze, zkaźde wiesz, że ja mam skórę delikatną i białą, — przecież byłeś za krzakami, — protestuje włoszka.

— Ale wiatr zawiął i nagiął krzaki... tak jak to zrobił z kurtynką namiotu.

— Zitto! zitto! diabolico Dottore! mi riconono battuta, vinta e conquistata — se volete, — rzecze dobra pani Roux, najmilsza z kobiet, od czasu jak przestała być księżną.

Zapalono tymczasem ogień i przygotowano śniadanie: kawa, herbata, kilkanaście jaj, salaminy, mortadella, szynka, chleb, wino czerwone i szampańskie, — oto wszystko, ale wszystko wyborne, bo po dość długim poście. Wino się wypilo łączo i te same butelki napełniono wodą z Jordanu, zakorkowano je umyślnie na to przywiezionemi korkami, obwinięto korki pęcherzem, ściśniono go około szyjki dobrym szpagatem, na który ojciec Soragna raczył przyłożyć dobrym lakiem swą pieczęć. Veuve Clicot, Mma Bousy, książe Montebello, baronowa d'Iquem, zawierały teraz prawdziwą wodę Jordanu najlepszego gatunku i zdobyły wartość niesłychaną w oczach dobrych chrześcian. „Każda z butelek będzie warta przeszło 100 franków dla mych przyjaciół we Francyi, — tam się ludzie tak kochają w relikwiach, jak w żadnym innym kraju, chyba tylko w Tyrolu i w Krakowie...

— A we Włoszech moja pani? — spytam się.

— Ah nie mów mi o Włoszech Doktorze! — tam już nikt w nic nie wierzy, chyba w to, czego tam niema, — w pieniądze. Ale mam do pana prozbę — widzę, że koń pana bardzo łagodny i lekko niesie, — chciałabym się na nim przejechać, już mnie znudził ten jednostajny stęp mojej mulicy, którą z resztą bardzo poważam. Pan tymczasem zajmie miejsce koło Nuny, — która lubi rozmawiać z panem.

— Najchętniej, — lecz jakże zrobimy? nie mamy siodła damskiego.

— Zrobię tak, jak mężatki węgierskie z najlepszego rodu, jak robią w niektórych okolicach pyrenejskich wszystkie kobiety — będę jeździć jak mężczyzna.

— Pani! na miłość Boga, — co powiedzą muzułmanie, widząc kobietę siedzącą na koniu jak mężczyzna? to razi ich przesady, gotowi pani zrobić jaką niegrzeczność — nie trudno o to z temi gburami.

— I to już przewidziane, — mam z sobą szerokie czerwone spodnie tureckiego kroju i buty wysokie, — mam także burnus, którego kapturem okryję sobie głowę, a zamiast nosić moje sztuczne brwi na miejscu właściwym, okleję je sobie na wargi, w miejsce wąsów. Nikt wemnie nie odgadnie kobiety. Lubię maskarady,

do których nawykłam w swem dramatycznym zawodzie. Ileż to razy nie przedstawiałam paziów, mężkich duchów, zniewieściałych margrabiów francuzkich, samego Woltera, gdy był jeszcze młodym i nazywał się po prostu Arrouet. Więc przystajesz na to? zaraz nastąpi pod namiotem metamorfoza.

Trzeba było zezwolić na tę maskaradę; w dieście minut potem, ex-księżna okazała się jako bardzo ładny młodzieniec i wsiadła tak lekko, jak żokej, na mojego konia.

Idziemy w pochód połączyć się z resztą naszej karawany i postępujemy wzdłuż Jordanu, prawem jego brzegiem, aż do jego ujścia, do morza Martwego. Nie wiele robi zagieć ta piękna rzeka, owszem, dziwnie prosto bieży od północy na południe, spiesząc się niewiem wcale po co, do tego morza Martwego, w którym zatracą całą swą nadobność, swój smak i swoje urocze nazwisko, miłe dla ucha naszego, swojskich przypominające nam ludzi, znanych w historii kraju, dobrych, poświęcających się. Tu jeszcze po nad rzeką krążą rybitwy, jaskółki, wróble, kaczkki i ów dziwny, zielony ptak Marcinek rybołówca, biegnący strzałowym lotem tuż pod powierzchnią wody i żywiący się małutkami rybkami, które w lot łapie, zanurzając swą sliżką szmaragdową główkę. Tam dalej, na morzu Czarnem, wszelkie ustaje życie.

— Nuna,—teraz mi opowiesz resztę twego awanturniczego życia. Więc zostałam horążanką Najświętszej Panny Maryi i zaprzyjaźniłam się znakomicie z księdzem plebanem, zapewne chodziłaś do plebanii na spowiedź, a przynajmniej do zakrystyi — tam się udzielają takie dobre rozgrzeszenia....

— Nic z tego,—nic z tego, panie Doktorze,—kochałam mojego pierwszego profesora z całym wylaniem, tylko jego kochałam i tylko jego kochać będę,—nie jestem kobietą zupełnie pospolitą pod tym względem. Tak jest, zaprzyjaźniłam się znakomicie z plebanem, dobrym, starym człowiekiem, ale tylko dla tego, że mi miło było kształcić się, dzięki jego rozumnym rozmowom i dzięki jego książkom. Z resztą nie wpałam wcale w zbyteczną bigoteryę, jeździłam konno



na spacer a nawet na polowanie w góry, przepelnione zwierzyną i często brałam z sobą pana Daudier, sprawującego obowiązki lektora u pani hrabiny de Laval, bogatej, bezdzietnej i bardzo pobożnej wdowy, do której należały najpiękniejsze posiadłości naszego miasteczka. Strzelałam kuropatwy, bekasy, kuliki, przepiórki, kwiczoły, wydry i susły, dość częste w górach alpejskich naszego pięknego Delfinatu, graniczącego tu z Sabaudją. Doktor bowiem, wiedząc, że można mi zawierzyć we wszystkim, wyrobił mi pozwolenie noszenia broni palnej i polowania. Nie mało też jego stół na tem korzystał, a lubił zwierzynę i jego żona także. Ja biłam, ona gotowała, a wszyscyśmy jedli.

— Więc pani była kucharką, a kucharka panią: dzielne mi gospodarstwo.

— Tak było w istocie i wszystko szło dobrze, aż pani w pogoju umarła, a w pięć dni potem jej dziecko, tak, że cały spory majątek spadł na doktora, który w kilka miesięcy potem, jako nieutulony wdowiec, ożenił się z bogatą, piękną, dobrze wychowaną panną, z blizkiego miasta departamentowego, Grenoble, dokąd się przeprowadził, podziękowawszy mi za przyjaźń i dawszy mi dziesięć tysięcy franków odczepnego.

Z rozpaczy poszłam za pana Daudier, wygodnego małżonka i wstąpiłam w służbę do pani hrabiny. We Francji nastąpiła wówczas moda pielgrzymowania. Pani hrabina, zwiedziwszy wszystkie miejsca święte kraju swojego, wybrała się z nami do Jerozolimy, gdzieśmy przybyli przed rokiem. Mielśmy tu pozostać przez cały rok, lecz w krótkce po naszym przyjeździe, podczas niezwykle gorącego lata, wybuchła tu cholera. Pani hrabina przeprowadziła się z nami do Betlehemu, słynącego z dobrego klimatu i z czystości powietrza. Mieszkaliliśmy w nowozbudowanym domu aptekarza. Lecz i tu dosięgła nas cholera, w jednym dniu umarła hrabina, aptekarka i jej jedyne dziecko, dziewięć lat mająca najmilsza w świecie dziewczynka, którą pokochałam jak własne dziecko. Hrabina nic nam nie raczyła zapisać, nie zrobiła nawet testamentu i wszystko odziedziczył jej bratanek. Nie koniec na tem: mój mąż w podróży pieszej z Betlehemu do Jerozolimy, znikł

jak kamfora, śladu po sobie nie zostawiwszy: nie wiadomo, czy go zabito, lub czy został pojmanym przez beduinów, a może też i drapnął, gdyż moje listy zastawne znikły razem z nim. Całego majątku zostało mi ze cztery tysiące franków. Pozostałam w domu aptekarza, bo mnie o to prosił, i wiedłam życie pół dzikiej, pół szalonej kobiety, czekając ciągle męża, nie mogę się bowiem pogodzić z myślą, żeby on mógł zaginać, lub mnie, którą tyle zdawał się kochać, opuścić. Lecz beduini wypierają się, a do banku paryzkiego nikt się nie zgłosił po wymianę pieniędzy, tam zastawionych. Ogłoszono w pismach publicznych rzecz całą, litery i numera listów: dopiero mogę w trzy lata dopełniając mnóstwo formalności, przyjść do moich osmiu tysięcy franków. Tymczasem żyję u aptekarza, nudzić się zaczynam jednostajnością takiej bezcelowej egzystencji, i nie wiem co zrobię, waham się ciągle, lubo tak wyglądam zdecydowaną i na wszystko gotową. Robi mi to jakaś dziką przyjemność, uchodzić za czarownicę, lecz nią nie jestem w niczem: aptekarz mnie także nudzi, jest to włoch nieposiadający nic, prócz dobrej chęci zrobienia majątku, żadnej innej namiętności, rzemiosło swe aptekarskie zna przez rutynę. On to, dla swojego własnego interesu, widząc mnie raczej z figlarności, jak z czego innego Sybillę udającą, rozgłosił że jestem czarownicą, nakłonił mnie, bym ją udawała ciągle; jemu z tem dobrze, ja bowiem zapisuję, on robi i sprzedaje lekarstwo, a często mi się wcale dobrze udaje. Niech mi pan Doktor raczy wybaczyć, że to mu zaręczam, ale tak jest w istocie, bom od małego dziecka zawsze miała do czynienia z lekarzami. Pomimo tego wszystkiego, jestem dla siebie samej zagadką — spostrzegam, że jakaś dziwaczna natura w mej duszy pokutuje.

— Ja ci powiem z czego to pochodzi, Napoleono, ale się nie gniewaj, — to pochodzi z twej cygańskiej krwi, która zawsze prędzej czy później, częściej lub rzadziej, w ciele dzieci cygańskich zapokutuje.

— I ja także na tę myśl wpadałam: cygan jest tak różna od wszystkich innych istotą.

— Przypominasz go sobie czasem, Nuno?

— Doskonale go sobie przypominam, chociaż go nie widziałam często, w życiu najwięcej z dziesięć razy. Był to człowiek wysoki, pięknych rysów, dziko melancholicznego, zemną zawsze łagodnego spojrzenia, chodził oryginalnie w białych obcisłych spodniach, w chodakach, w płaszczyku brunatnym, ale czysto ubrany i tak grał pięknie, raz tęskno i smutnie, raz porywająco, dziko na skrzypcach, żeśmy się odsłuchać tego nie mogli, ani ja, ani matka; obieśmy płakały i wyły z rozczulenia, jak po prostu nerwowe psy, a on grał dalej i dalej i im więcej wyłyśmy, tem więcej on wpadał w jakiś zapał, aż nas nareszcie zmusił do całowania go w nogi, żeby zaprzestał, bo już nam nie starczyło nerwów do wytrzymania. Dałabym teraz dwieście, dałabym trzysta piastrow, żeby mogła tę muzykę usłyszeć, tak, dałabym nawet pięćset, tęsknie za tą muzyką jak kania za deszczem, lub gazella za śniegiem Libanu.

— Jedź raz do Węgier, a często usłyszysz tę muzykę, znam ją także i lubię ją straszliwie. Nuna, ja cię zawiozę do ojczyzny twego ojca, widzę, że doń tęsknisz, nieznając jej, a żal mi ciebie, ty nie musisz być tak złośliwą, jak wyglądasz.

— Ani tak brzydką jak wyglądam,— bassomalekedet—bassomadudy! tak wykrzykiwał mój ojciec, jak był w dobrym humorze,—i o nim nie wiem, czy umarł, czy jeszcze żyje,— dodała Nuna, lzy ucierając.

— A dobrze pił?

— Ça depend — za kołnierza nie miał zwyczaju wylewać, nie! to się na nim nie pokazało, ale spić się jak nasi żołnierze, tego nigdy nie zrobił—nie!

— A podarował ci czasem coś?

— Mnóstwo mam drobiazgów od niego, łańcuszków, krzyżyków, medalików—nawet ze srebra i z koralów, jego własnej roboty, — te bransoletki, kolczyki, to od niego, a matce, która jest bardzo bogobojną, podarował tyle relikwii, paciorków i różańców, ile się tylko zmieścić może w szufladzie.

— No,—bądź dobrej myśli, Nuno, nie szalej, nie bałamuć się, zrobimy jakoś, żebyś mogła wybrnąć z tego położenia, cokolwiek nieregularnego, aleć przecież

Bogu dzięki, widzę, żeś ani głupia, ani też wadliwa, znajdziesz się więc lekarstwo dla ciebie.

Po całogodziennym wolnym pochodzie po piaskach gorących, nawet nogom cierpliwych wielbłądów dokucających, wstępujemy w oazę, zwaną Engadiną, do ojczyzny naszego godnego Szeika Averdiar-Bekir, gdzie go już na granicy państwa oczekiwali poddani i poddanki, konno i pieszo, witający go Allahami—Hurrekahami—i wystrzałami. Było to zbiegowisko nie lada, tu dopiero poznałem, co są owe wykrzykiwania radości wschodnie, o których tyle razy wzmiankuje pismo święte, że pochodzą z otchłani niezgruntowanych płuc wydętych, jak miechy, sporządzone ze skóry osła dzikięgo. Czemże się tak radowali? oto tem, że im Szeik przywiózł nową żonę z Betanii, w której się płodzą i rodzą córki rajy mahometanickiego, godne rozweselać duszę i serce pana do hojności, a łagodzące srogą sprawiedliwość jego niepojętymi roskoszami.

Cieszą się z tego, że im przybędzie pracy i znoju dla utrzymania nowej oblubienicy! cieszą się, jak żydzi parchem! wszędzie lud ten sam:—cieszy się nową niedolą, bo do dawnej już przywykł, już mu spowszechniała.

Tu, w tej oazie Engadinu, chociaż jest szczupłą, widać jakiś dobry byt, jakąś piękną, starannie uprawioną roślinność. Znowu tu spotykamy kwiaty, owce, ptaki i motyle—owe ogromne, ze skrzydłami azurowemi, kaktusy w kwieciu i w owocach, a pomiędzy niemi, połyskują kamaleony barwami tęczowemi. Tu czarno-brunatne namioty—owdzie szałasze, chatki a nawet i dom: to rezydencya najświetniejszego Emira Averdiar-Bekira, przyozdobiona w krzewy, kwiaty i płachty różnobarwne. Czekają u drzwi na spotkanie trzeciej żony, dwie starsze i ich dzieci, i dzieci tych, co już umarły. Cieszą się z nowej rywalki, macochy, kapryśnice i tyranki!!

Cieszyć się muszą z tego, że im będzie gorzej, ale przynajmniej w tym dniu dostaną baraniny i ryżu tyle, ile się tylko w ich bezdenne żołądki zmieści, i nasłuchają się do syta bębenków, szałamai, piszczałek i wystrzałów. Wszystko tchnie niewolnictwem i głupotą!

Engaddi leży blisko puszczy tegoż nazwiska, a w tej puszczy jaskinia, w której Dawid mógł być zabić srogiego prześladowcę swego, króla Saula, ale tego nie zrobił, bo ten prześladowca był namaszczonym i rzekł Dawid do mężów swoich, ośmielającychgo do krwawego czynu: „uchowaj mię od tego Boże, żebym to uczynić miał Panu memu, pomazańcowi pańskiemu“. I nie dopuścił im powstać przeciwko Saulowi, a urznął tylko po cichu kraj płaszczu Saulowego. Saul zatem, wstawszy z jaskini, poszedł w drogę. Potem też Dawid wyszedł z tej samej jaskini, w której był zaczajonym i zawołał za Saulem: „królu—panie mój!“ Tedy się obejrzał Saul, a Dawid pokłonił się nisko i rzekł: „Czemuż słuchasz ludzi mówiących, że Dawid szuka Twego złęgo. Oto oglądaj kraj płaszczu twego w ręku moim, odcięty tym nożem, którym Cię mogłem przebić. A ty godzisz przeciw duszy mojej, abys mi ją odjął? Niech rozsądzi Pan pomiędzy mną a tobą, i niech się zemści na mnie, lecz ręka moja nie będzie na tobie“. Gdy przestał Dawid mówić, rzekł Saul: „a twójże to głos, synu mój Dawidzie?“ i płakał, i rzekł dalej: „Sprawiedliwszyś ty, niżli ja. A teraz przewiduję, że ty musisz panować, boś sprawiedliwszy, a ostoi się w ręce twojej królestwo Izraelskie“. Wszystko to czerpiemy z rozdziału XXIV, księgi Samuelowej pierwszej, i wszystko to stało się tutaj, gdzie jesteśmy.

A jesteśmy na brzegach morza Martwego, przekonywa nas o tem mocny zapach asfaltu, a żeśmy zasłonięci cieniem drzew, nic jeszcze z brzegów jego nie widzimy.

---

## ROZDZIAŁ X.

### Morze Martwe.

---

Ów ogromny zbiór wody słonej, saletrowanej, pachnącej jak smoła, jest tak niewłaściwie zwany morzem, jak morze Kaspijskie: Grecy i Rzymianie nazwali je po prostu, jeziorem asfaltowem,—*lacus asphaltides*, Arabi zaś zowią je Bahr-Luth, morze Lota (ojca dwóch rozpustnych córek), biblia zaś nazywa morzem słonem, morzem arabskiem, morzem wschodniem. Mało było ono znanem światu w czasach nowszych. Panowie Costigan et Molineux okrążyli je z niesłychanym znojem w r. 1835 i 1844 i padli ofiarą swej naukowej ciekawości; załapali jakąś febrę przestępną i umarli, pierwszy w Jerozolimie, drugi w Bejrut, zaraz po dokonaniu tej uciążliwej, kosztownej i niebezpiecznej wycieczki, w której z resztą nic nowego nie odkryli. Panowie Moor, Beek, Symonds, anglicy, mianowicie Lynch amerykański, byli szczęśliwsi. Jednakże panu Schubert należy się zasługa odkrycia, że powierzchnia jeziora asfaltowego jest o 1160 stóp berlińskich niższą od powierzchni Morza Śródziemnego. Długość jeziora dochodzi do długości stopnia geograficznego, a szerokość tylko do piątej jego części. Ciężkość gatunkowa jego wody, jest o czwartą część wyższa od wody dystylowanej, i tyle w sobie zawiera soli, że jej więcej rozpuścić nie może. Sprawdziliśmy, że kielbiki wód Jordanu usypiają w tej wodzie w minutę i sekund kilkanaście. Jezioro jest podzielone na dwie części: na północną i na południową,

przez półwysep wkraczający ze strony wschodniej i rozdawający się. Południowa część, jest daleko płytszą od północnej, nie przechodzi stóp szesnastu, północna zaś część, dochodzi do tysiąca dwóch set pięćdziesięciu stóp. Początek południowej części, jest nowszym od północnej, i to też utrzymuje Genesis Mojżesza w rozdziale XIX, bo na tem miejscu stała Sodomą wszetecznej pamięci, z której Bóg wywiódł tylko czterech ludzi sprawiedliwych: Lotha, jego żonę i jego dwie córki. Lecz niewiasty niedługo pozostały sprawiedliwymi: żona zgrzeszyła ciekawością jeszcze w ucieczce i została przemienioną w statwę solną, córki zaś jeszcze gorzej sobie postępowały, spajały własnego ojca, wiemy dla czego. A działy się takie zdrożności w tej samej grocie Macpela, gdzie poczciwy, przewielebny Ahraham był pochowanym! i nad którego grobem wznosi się teraz meczet, do którego nawet następcy tronu Anglii wstęp zabroniony.

Woda jeziora martwego jest tak czystą i przezroczystą, że nasze konie i osły natychmiast w niej zanurzały wargi, ale je też wycofały natychmiast i parsknęły w niebogłosy; w życiu moim nie widziałem nigdy tak zadziwionych, tak stroskanych koni i osłów, żał mi ich było serdecznie. Wielbłądy były mędrsze, już o cztery kroki od wody stanęły i wykrzywiały fagle, i tak dość brzydkie z powodu ogromnej zajęczej górnej wargi. Nuna, czarna córka Ewy, jeszcze ciekawsza od niej, chciała skosztować tej wody, lecz jej ani kropelki przełknąć nie mogła, w ustach zaś pozostał jej smak, który napróżno stępić usiłowała pomarańczami i najkwaśniejszymi granatami. Pani Roux umaczała w niej rękę i jeszcze w godzinę potem żałowała tego, obmyć jej nie mogła całą faszeczką kolońskiej wody. Kazała rozpiąć swój namiot i weszła do niego z Nuną. Arabi, którzy niewiedzieli, że ona jest kobietą, zaczęli wrzeszczeć: hikła! hikła! to znaczy pfe! pfe! Otóż co zyskała swem przebraniem się — nie mogła pozostać razem ze swą służącą, a Nuna musiała wyjść z namiotu i spocząć w cieniu mulicy, na ten upał, o którym trudno zrobić sobie wyobrażenie.

Arabi są zazdrośni jak stare psy, które, czego same nie mogą, innym nie dadzą.

— Przebierz się gdzieś za mężczyzną, a pozwól ci Arabi wejść do namiotu, — radzę Nunie— i tak musiała zrobić, pan Stick pożyczył jej parę nankinowych okoliczności, ja dałem jej stary czarny frak, a kapitan furażerkę wojskową. Dopiero w tem stroju, w którym wyglądała niekoniecznie ładnie, mogła się dokraść do swej pani. Nikt w niej nie poznał Nuny. Przybyło do karawany dwóch mężczyzn, ubył z niej dwie kobiety.

Wszyscy odstąpili od chęci kąpania się w Martwym morzu, prócz mnie, kapitana Robinson i pana Stick. Ja powinienem się kąpać jako lekarz i sprawdzić wpływ takiej dziwnej wody na organizm ludzki,— fiat experimentum in anima propria.

— A ja się muszę kąpać, bom Anglik, -- rzecze sucho pan Stick.

— A ja się muszę kąpać, bo mi to przypomni moje rodzinne jezioro Salt-Lake, tak słone, że najtłustszy kanonik katedralny staje się w nim wielkim holderskim śledziem za pół godziny, — zaręczał kapitan Robinson, który się nieraz mijał z prawdą, a zapewnie i tem razem przesolił zupę.

I poszliśmy się kąpać, zostawiając naczynia z wodą słodką i gąbki na brzegu!

Kąpałem się w Agni, w sławnym szlamie i w Szlangenbad, kąpałem się raz w Styczniu w morzu Śródziemnym, kąpałem się nawet w śniegu na Wezuwiuszu, prawie zawsze w zimie nim pokrytym, lecz tak nieprzyjemnej kąpieli, jak w tej słonej wodzie, nigdy nie użyłem. Subtelny nitr, saletra, zakrada się we wszystkie pory, we wszystkie zgięcia skóry, ściąga ją tak, że ci w niej ciasno, jak warszawiance w bucikach, w sukniach, w rękawiczkach. Wszystkie ruchy są utrudnione, hamowane w zgięciach, boli cię skóra, jeśli sobie umoczysz twarz, to już ani ust, ani nawet powiek otworzyć nie możesz bez wielkiego wysilenia. A jednakże łatwo tu pływać, bo woda silnie unosi, trudnoby było utonąć, bo człowiek nawet chudy, a zatem gatun-



kowo cięższy od tłustego, utrzymuje się leżąc jak deska na powierzchni wody. Polowaliśmy na kawały asfaltu, pływające na morzu i zebraliśmy tego ze czterdzieści funtów. Jest on bardzo czarnym i błyszczącym, a pachnie tak dobrze, że go Egipcianie używali do balsamowania zwłok. Wyrabia się z niego czarny barwnik malarski, olejek asfaltowy, massa do kitu i mnóstwo innych użytecznych rzeczy, a nawet można nim pokrywać dachy i brukować ulice, skoro go się połączy odpowiednią częścią z wapnem i z piaskiem.

Asfalt na dnie i sól w wodzie zawarta, byłyby prawdziwemi kopalniami złota w rękach innego rządu jak turecki; ale w jego rękach, złoto, krew i znój ludzki toną w błocie bezdennej, gnuśnej i grubej zmysowości. Nie byłoby tak trudnem zadaniem wywiercić drogę podskalną pomiędzy doliną Jordanu a płaszczyną Saronu, połączyć ją z wszystkiemi żyznemi okolicami Judei i ożywić ten kraj na nowo; temi wierceniami możnaby odkryć nie jedno z zatraconych kaktizmami źródeł, a Bóg błogosławiłby takiemu przedsięwzięciu, nie gniewałby się na tych, coby się usilną pocziwą pracą, starali uchylić ziemię tę z pod klątwy, rzuconej niegdyś przez Niego z powodu przewrotności ludzi, nań zamieszkałych. Ale na dokonanie tak olbrzymiej pracy, trzebaby chrześcian, zwłaszcza chrześcian, Boga tylko, Boga Absolutnego, Boga Jedyne ubóstwiających. Przedewszystkiem, potrzebaby postanowić takie prawo, jakie istnieje w drugim artykule konstytucyi Norwęgskiej (vid. Wspomnienia z pod. D-ra T. T.... Wydanie Poznańskie Walentego Stefańskiego, w r. 1844).

Pozostaliśmy przeszło pół godziny w wodzie, aż do zeszywnięcia: istotnie pan Stick zeszywniał jak *stick*, jak kij, a my, jak pan Stick, obmywszy się, oskrobawszy z soli, pozostaliśmy jeszcze *półstickami* przez godzin kilka, aż do nastąpienia potów, które wyplukały z nas do kilku uncyj saletry.

Teraz dopiero siedliśmy do barana, którego nam tymczasem pieką Beduini swoim sposobem, na różnie,— był zaprawiany czosnkiem, macierzanką, rozmarynem, pieprzem, bobkowemi liśćmi i solą. Zjedliśmy w ośmiu

więcej jak połowę tego łagodnego, smacznego zwierzęcia. Resztę nie pozostawiliśmy na jutro, lecz rozdaliśmy pomiędzy tych, co byli zgłodniałemi. *Pereant qui crastina curant!*

Jezus zakazał św. Piotrowi myśleć o jutrze i rozkazał mu odnieść nadmiar żywności, które zniósł uczniom. „Zkądżeś to wziął?“ zapytał Piotra. „Znalazłem“— odpowie Piotr. „Więc wracaj na wieś, krzycz, pytaj się, kto to zgubił,— i oddaj. Zaprawdę, powiadam ci Piotrze, syn człowieczy ma prawo żyć z dnia na dzień, lecz nie z dnia na dwa dni. — O Petrus! Petrus! tu non es petra super qualem aedificabo ecclesiam meam!!!

Więc: *pereant qui crastina curant!* niech przepadnie, kto o jutrze myśli. Baranów żywych znajdziemy jeszcze podostatkiem w Judei.

## ROZDZIAŁ XI.

### Klasztor Bazyljanów Świętego Saby.

---

— Panowie i Panie, proszę o głos, — rzekłem w chwili, gdy wstawać chciano od obiadu. Dano mi głos.

— Panowie i Panie! nim w dalszą udamy się podróż, która trwać ma trzy dni, jeszcze musimy *in gremio* uradzić i postanowić, czy nasze niewiasty mają pozostać w stroju męzkim i narażać się nowej eskorcie, która ich jeszcze nie zna, lub też czy mają na nowo przybrać strój kobiecy i pozostawać w nim do końca podróży?

— Mnie bardzo wygodnie w moim ubraniu i wolę w nim pozostać,—rzecze pani Roux.

— Ale mnie bardzo niewygodnie w tych opiętych i wpijających się okolicznościach, w tym śmiesznym fraku z dwoma ogonami i w tym kaszkieciku, pod który wszystkie moje włosy pomieścić się nie mogą,—powracam do mojej płci, wolę być kobietą.... rzecze Nuna.

— Dobrze—więc Nuna będzie sama spała w namiocie, a pani Roux musi zdjąć kobiecą pychę z serca i zadawalniać się łożem obok nas, naprzykład obok ojca Soragna, albo obok mnie,—myśmy najstarsi z towarzystwa, a zatem najmniej niebezpieczni.

— Protesto Signore! ja bym miała spać obok mężczyzny, choćby nawet był najstarszym? Nie,—na to nie zezwolę,—wolę spać pod namiotem,—rzecze pani Roux.

— Na to nie zezwolą zazdrośni, o decorum dbali Arabi i znów będą krzyczeć hikła! hikła! — przedstawiam tej damie.

— Czy to żaden z panów niema wygodniejszych okoliczności?

— My kapłani nie nosimy żadnych, — rzecze ojciec Van der Bulben, — zrobiliśmy votum paupertatis et castitatis.

— Piękne mi castitatis chodzić bez spodni! — krzyknie z gniewem ex-księżna.

— Ja mam tylko jedną parę skórzanych i krótkich, w których mam zaszczyt tkwić obecnie w własnej osobie, — deklaruje kapitan Robinson.

— I ja też na nieszczęście tkwię w jedynych, które z sobą wziąłem, — zaręczam ja sam.

— Oh! ja mam cały tuzin okoliczności, ale wszystkie są nankinowe i zrobione na ten sam model, — mogę pożyczyć Napoleonie jedenaście par, ale wszystkie będą ścisakały i piły w tenże sam niemiłosierny sposób, — zaręcza pan Stick.

— Wszystkie moje okoliczności są jeszcze węższe od owych pana Stick, — powie francuz.

— Niestety! nie ma rady, — więc muszę się degradować na kobietę. — Jak mi miło być mężczyzną! — rzekła pani Roux i zbliżyła chustkę do oczu.

— Mam zaszczyt oświadczyć pani Roux, w imieniu całego rodzaju męskiego ludzi, zwierząt, owadów i roślin, że podzielamy Jej zmartwienie lubo tegoż nie pojmujemy powodów, bo i rodzaj żeński ma swoje przyjemności, postannictwa i przywileje; — lecz zarazem prosimy, by panie przystąpiły natychmiast do zmiany płci, gdyż niebawem wyruszamy w drogę, — rzekłem wstając od stołu, który był okiennicą, opartą na czterech głazach.

— A ja proszę pannę czy panią Napoleonę, by w dowód szczególnego szacunku mojego, raczyła przyjąć odemnie parę okoliczności, które uszczęśliwiła swym pobylem w nich, — rzecze rumieniąc się pan Stick.

— Przyjmuję, przyjmuję dla dwudziestu czterech przyczyn, — rzecze śmiejąc się, Nuna.

— A ja ci prezent robię z fraka,—rzeknę.

— Nie przyjmuję, po co mam dźwigać z sobą te dwa ogony?

— A mój kaszkiet może wam służyć na coś? — spyta kapitan.

— Będę w nim przechowywała róże jerychońskie i jabłka sodomskie, jeśli je znajdę,—odrzekła Nuna.

Poszło nas trzech w deputacyi do Szeika, żeby mu podziękować za dotychczasową opiekę, i w upominku złożyliśmy mu mój owinięty w fular nowy, stary frak. M. de Mornay zaręczał, że w nim chodził sam Sultán Kebir III. Tę relikwię uczcił Szeik przyciśnięciem do serca. Zarazem prosiliśmy go, aby nam raczył napisać na moim firmanie paszowskim, nazwiska jego zastępcy i beduinów, którzy nas będą eskortować. Z razu się wahał, naglony napisał je, jak mógł najniewyraźniej,—lecz i pieczętkę swoją musiał przyłożyć i starałem się, by to było wykonaniem sumiennie. Tak musiał zrobić. Strzeżonego Bóg strzeże.

W namiocie Szeika, znaleźliśmy, czytającego *polską* książkę, owego dostojnego pana. To on — to nieboszczyk — nie ma żadnej wątpliwości. To on — co sobie ustrzelił armatą głowę, lat temu trzydzieści. To hrabia E. R.—albo przynajmniej ktoś, co mu ukradł głowę, jedno z dwojga. Zoczywszy mnie, zbladł i zasłonił się kapturem—podróżuje bowiem w stroju kapucyńskim, ale lekkim z merynosu, — i z jego kapturkiem igrają zefiry i fawony, według słów ś. p. biskupa I. Krasickiego.

Teraz nastąpiły salemaliki, życzenia szczęścia i powodzenia, zapewnienie wiecznej przyjaźni.

— Ah! już siedzimy na koniu, już Ałłę zawewaliśmy o pomoc, — dalej do satrego Hebron. Razem z nami do trzydziestu pielgrzymów chrześcian, mahometanów i żydów, lecz pomiędzy nimi niema *nieboszczyka*.

Czy sam z dobrej woli zaniechał dalszej podróży, lub czy ja go odstraszyłem—oto kwestya. Musi wiedzieć, kto ja jestem, nigdy bowiem w życiu nie miałem potrzeby tajenia się z moim nazwiskiem, które z resztą od bardzo wielu lat trochę głośne. Widywałem

go dość często, lecz rozmawiałem z nim tylko raz jeden—dawno temu, w Kurniku, w pałacu ś. p. hrabi Tytusa Dzia.... Widział mnie chodzącego kamelie, wówczas jeszcze rzadkie kwiaty u nas, i z ich powodu wesłiliśmy w rozmowę, w której nieboszczyk rozwinął wielką znajomość hortykultury, a nawet całej botaniki. Światłym był bardzo pod wszystkimi względami, zwłaszcza pod względem *heraldyki*, lecz próżnym, samochwalcą i zarozumiałym! Panie Boże odpuść mu jego grzechy! pokutuje za nie, sam się skazał na śmierć, ale zmartwychwstał—*resurrexit sicut dixit*—często bowiem lubił powtarzać słowa Horacego: „*non omnis moriar, multaue pars mei vitabit Libitinam, usque ego porsteru scandem laude recens*“.

Tak jest, często te prześliczne słowa nieporównanego poety powtarzał, i teraz widzę że je do siebie stosował. Oh *suprema vanitas morituri!*!

Kierujemy się na wschód południowy—tu jeszcze droga szeroka, tu jeszcze niepotrzebujemy jechać gęsiego, tu jeszcze zbliżyć się możemy do przyjaciół i rozmawiac z nimi. A tak się przecież dobrze dobraliśmy i nastroiliśmy ku wspólnej wygodzie, że żyjemy teraz z sobą w najlepszej harmonii. Kapitan amerykański przyrzekł, że nas nie będzie odstępować dla lada nowożytej Magdaleny Betanianskiej, a pan de Mornay zaniechał swych rodomontad francuzkich: uznał nareszcie, że się nie ulękniemy tak łatwo, ani francuza, ani araba, ani nawet prusaka. Prusak był dla niego zarazem *assafetydą* i *strychniną*—tak go nienawidził, że nawet starego pana Melhior ogrodnika salomońskiego, znieść nie mógł, lubo ten był raczej *wasser-polakiem* i cokolwiek *anglikiem*, zupełnie *kosmopolitycznym filantropem*, *nienawidzącym wojnę, broń, mundur, nawet bębny i lederwerki* i litował się szczerze nad temi, na tak kwaśne jabłka zbitemi francuzami, którzy jeszcze za to zwycięzcom tak drogo zapłacić musieli, że byłoby się dostało każdemu bijącemu po 4573 fr. i 25 cen. gdyby się nie było dało księciu B. dziesięciu milionów, a hrabi M. pół pięta, a wielu innym także znaczne summy. Dość, że każdemu innemu prostemu prusako-

wi dostało się tylko po 85 fr. i 15 cent., a doboszowi mniej jeszcze, bo bił tylko skórę umarłą.

Teraz wszyscyśmy w zgodzie, wszyscy dobrej myśli i będziemy mieli o czem rozmawiać przez całe życie o tem, co tu widzieliśmy, widzimy i jeszcze zobaczymy.

Minęły uprawne pola, mijają błonia nieuprawne, wchodzimy w wrzosa, w ciernia, w osty, — w puszcze — w skały. Już teraz znów gęsiego. Nie prędko z nich wyjdziemy. Na upały nie żalemy się więcej, żadna tu na to nie pomoże skarga — trzeba je znosić, bośmy je prze-widzieli. Najgorzej z wymijaniami po tych ciasnych, skalistych ścieżkach, a często po obu stronach tych ścieżek przepaści na stóp kilkaset, bul! bezdenne przepaście... Z resztą nie trzeba tak głębokich przepaści na zgruchotanie sobie i koniowi wszystkich, nawet najdrobniejszych kosci na miazgę. Dwadzieścia stóp głębokości wystarczy na to — bo się pada na takie ostre, spiczaste skały, że się na miazgę musi zdruzgotać ciało i wszystkie kości.

Niedogodność w wymijaniu dochodzi tu do najwyższego, najrozpaczliwszego stopnia niebezpieczeństwa, — a mnóstwo tedy wlecze się ludu w stronę, z której my przybywamy, powracają pielgrzymi, powracają także wojskowi, których widzieliśmy ciągnących ku Hebronowi, gdyśmy byli u stawów Salomona. Wczoraj mieli starcie z buntowniczym Emirem Maretu, w którym wielu zginęło ludzi z obu stron, lecz więcej ze strony buntowników. Pieszono teraz wracają, czołgając ranne członki i czypiając się brutalsko naszych koni, osłów, wielbłądów, skoro je mijają. Więźniów także prowadzą na pół skrępowanych, zaledwie ruszać się mogących a przytwierdzonych sznurem jeden do drugiego. Są to ludzie zgoryczeni, którzy przewidują, że ich śmierć nie minie i którzy radziby wyrządzić każdemu bliźniemu tyle złego, ileby tylko mogli, nim zardgają sami na szubienicy. Jeden z tych barbarzyńców, niesie na karku w worku cały korzec czegoś dużego okrągłego. Czy to główki kapusty? Panie Boże wszechmocny! to nie główki, to coś skrwawionego — ah przebóg! to są głowy świętych bisurmanów. „Nie daj się dotknąć Nuno tym workiem! ach próżna rada,

dotknął się barbarzyniec umyślnie, by jej powalać sukną krwią okropnie cuchnącą. Zgroza!

Temi głowami trzeba obdzielić każde miasteczko, każdą wieś, każdy folwark, — niech służą na postrach. To też w powietrzu widzisz kruki ciągnące za węchem: wiedzą to kruki, że się napaszą oczyma tych głów, nie minie ich ten festyn, nie minie ta uczta. Nic nie ma okropniejszego jak nazajutrz po bitwie z bisurmanami, same mordowanie jest okrutnem. Beduini wiedzą, że głowy ich braci, ich krewnych, może nawet ich dzieci mogą się znajdować tam w worku: widać to po nich, że tak myślą, bo potruchleli, drżą z gniewu, — lecz nie śmiają się pytać — lepsza jeszcze smutna niepełność od bolesnej rzeczywistości.

Przecież przeszli, przeszli nareszcie wszyscy, lecz wrazenie po sobie pozostawili długie, dotkliwe, strasznie źle pachnące.

— Pani Roux, kochana pani Roux — odrobinę kordialiku!

Podają jej na trzcinnie Chrystusa plecioneczkę zawierającą kordialik mojego wynalazku: z Waleriany, z Weroniki i z Archanieliki i tak okropnie tegiego rumu Jamaiki.

Przyjmuje pani Roux i bul-bul-bul; przyjmuje i Nuna i bul-bul-bul-bul-bul. Oh! ta ma dobry spust.

Wypiły — wypily, nie nie zostawily! Szczęście że tego kordialiku mam jeszcze ze dwa litry w jukach, które, pewny na nogach, zawsze trzeźwy, poważny wielbłąd dźwiga.

Teraz skały zaczynają przybierać jakąś zupełnie inną postać: wprzód były okrągławe, okrągłe, barankowe, jak je nazywa biblia, — teraz stają się strome, zębate, spiczaste, iglaste, że tak powiem krywoniowe, jak niektóre z tych Pieniów Tatrzańskich. Są i takie skały, które u podstawy daleko węższe jak u szczytu, zupełnie takie, jak owa maczuga Herkulesa pod Pieskową skałą. Ale takie sterczą już na szczytach gór owego Hauranu, jak tu nazywa Arab owe pasmo.

Któryż mi tu geolog wytłumaczy przyczynę geologiczną tego systemu formacji? Przecież w tem jest system, bo na raz się tu kończy inny a zaczyna inny.



Chciałbym wiedzieć przyczynę tej krystalizacji tak odmiennej: to pewna, że jest wulkaniczny, sussultoryjny, wyskakujący, wypchany po nad ziemią jakimś kaprysem ogniosztucznym, w wnętrzu ziemi ograniczonym na miejscowość wiadomą. Są to mądre słowa, ale żadna w tem dostateczna eksplikacja.

Mnóstwo, bardzo wielkie mnóstwo jaskiń, w tych dziwacznie wylamanych skałach, — wnijsia do nich znajdują się czasem na niedościgłej wysokości: jedne wykonała sama natura, drugie uzupełniła ręka ludzka, są takie, jak owa Ojcowska skała, która pomieścić zdoła kilka tysięcy ludzi: w naszych się krył Władysław Łokietek z swemi przyjaciółmi, w tamtych się krył Dawid, także nie olbrzym co do wzrostu, przed ogromnym Saulem, który go koniecznie chciał zabić jak psa, — tak mówi biblia. Jaskinie te, są zaprawdę jednym z rysów charakterystycznych geografii tego kraju, i zarazem jego dziejów. Bardzo wiele rzeczy różnorodnych odbywało się w tych jaskiniach: Abrahama, Isaaka, Sarę tam chowają, Saulowi obcinają poję, panny Loth tam poją ojca, a królów Jeruzolimy, aż pięciu od razu chroni się po przegranej pod Gabaon do jaskini przy Maceda i tam przywaleni kamieniami giną z głodu. Zdaje się, sądząc z księgi Sędziów, że żydzi zawsze byli próżniakami i że woleli żyć w jaskiniach jak zwierzęta, aniżeli stawiać sobie domy. Byli prawdziwemi Troglodytami, zawsze mieli duszę na ramieniu i kryli się w jaskiniach skrytych, znanych tylko w rodzinie, szczególnie podczas tyranii Madianitów, tu się uciekali i chronili.

Daleko później inne znowu powody skłaniały żydów do szukania przytułku w tych norach. Pod panowaniem Armonitów i Herodów, nory te znowu się zaludniły Izraelitami, którzy tu schronić się usiłowali przed przekleństwem cywilizacji demoralizującej Palestynę. Pliniusz utrzymuje, że tu w tych górach, przez nas zwiedzanych, schroniło się parę tysięcy pustelników Esseńczyków, którzy naśladowując Nazarejczyków ściśle przestrzegali czystości w pokarmach, w napojach, w życiu familijnym, żywili się wyłącznie pokarmami roślinnymi, wyrzekali się wina, a nawet oliwy, ale za to

używali kąpieli jak najczęściej. Wpadli nareszcie w niedorzeczny mistycyzm i nie mogąc więcej żyć z ludźmi, którzy krakali z wronami, przyszli tu chmarami kończyć życie w jaskiniach.

Po nich, w pierwszych wiekach chrystyanizmu, oddziedziczyli ich siedziby i ich kości. pustelnicy chrześcijańscy: zdaje się, że ich liczba dochodziła do 11,000. Był to cały naród Cenobitów, zawieszonych jak cienie pomiędzy niebem a ziemią, bez prawa i towarzystwa, bez żadnego innego króla jak Bóg: sola Majestas, sola Potestas! Lecz był to naród, który żadnego nie pozostawił śladu w dziejach, i który żadnych nie miał świadków życia, prócz owych azurowych gołębi, których głos tak łagodny i żalący się, co się do dziś dnia gnieźdzą w szczelinach tych skał niedostępnych, żywiąc się Bóg wie czem, bo tu na kilka mil w około nic się nie rodzi.

W końcu piątego stulecia. św. Saba zebrał resztki tych pustelników do klasztoru, który wystawił w tych skałach; celami były owe wyrąbane w skale otwory. Święty Jan z Damaszku uświetnił go swemi cnotami i pismami. Istnieje on po dziś dzień, jako jedyny pomnik pierwotnych czasów chrześcijańskich. Kilkakrotnie, a nawet jeszcze za naszych czasów, srogi Bisurman wtargnął w te święte miejsca i w niesłychanych torturach zgładzał wszystkich pustelników, pastwiąc się nielitościwie nawet na umarłych.

Tutaj musimy szukać przytułku na noc: nasze konie, wielbłądy, muły i osły nie chcą już isć dając; stanęły pod klasztorem i kładą się na skale, gdy je chcesz popychać ostrogą: przywykły do znajdywania tu przytułku i dziś, widzę to z ich upartych fizjonomii, chcą przeprzeć swoje zdanie, coute que coute. Z resztą i Niebo wdało się w sprawę tego poczciwego bydła, i stanęło na ich stronie. Ściągnęły się raptem, jakby od jednego razu, chmury na niebie, jedne ze strony Martwego, drugie ze strony Środkowego morza, z dwóch stron naprzeciwległych, chmury, grube, czarne, jak by piekielne, wściekle zastępy, przez czas niejaki, mierzyły się zazdrosnemi, zaiskrzonemi oczyma. Nie często miałem sposobność być świadkiem takiej

elektrycznej potrzeby czubienia się; potem ruszyły ku sobie jednocześnie od wschodu i zachodu, jak dwa straszne olbrzymie tryki i spotkały się nad naszymi głowami, właśnie, nad owemi maczugami Herkulesa i krywaniami wyzierającemi nad powierzchnię ziemi, starły się i natychmiast zajaśniały na firmamencie zgęszczonym, stumanionym, czarne trzy czy nawet cztery gzygzaki, padając gromem niesłychanego grzmotu, od którego odgłosu zdrząły nie tylko skały i opoki zachwiane w swych podstawach, lecz nasze stoiczne tak poważne wielbłądy. Spadają na nas krople wody jak sliwki z roztrzęsionego drzewa,—chroni się każdy gdzie może, lecz gdzie się ma chronić, kiedy tu jedna furtka do klasztoru niska i ciasna, ale z żelaza bitego zawarta i nie otworzy się na nasze prośby, bośmy nie przewidując spotkać nas mogącej katastrofy, nie wzięli z sobą od Patriarchy Greckiego żadnego polecającego listu. Z resztą żaden z nas nie jest wyznania mniej więcej greckiego i niema prawa do gościnności tych zakonników rytu najsurowszego; a kobiety, wykluczone są z tego przytułku pokoju i przyzwoitości, w którym kobieta, żeby nawet była pięcioletniem dziewczęciem, jest uważaną jako *turbator pacis, periculosissima archa corruptionis et contaminata*.

Jednak owi dobrzy zakonnicy mają jakieś względy z nami i spuszczaają ku nam z wysokiego okienka, po nad drzwiami nader wysoko umieszczonego, jakiś koszyczek na sznurku: ale koszyk próżny, nie ma w nim nic prócz powietrza atmosferycznego. Zdobywam się na koncept, kładę w ten koszyk mój w blaszanym pokrowcu zawarty firman i mój paszport z Warszawy. Wzleciał w górę koszyk, a może już w minutę potem, otwierają się rygle i zamki niskiej potężnej żelaznej i drzwi same uchylone. Ukazuje się jakiś zgięty lecz potężny, brodaty zakonnik, w sukni ciemno-niebieskiej, w kaftanie czarnym, w czarnym, niskim, okrągłym kapeluszu bez ronda na głowie, z której spadają na barki gęste, długie, jasne włosy.

— A któryż to z was ów tam z Warszawy? — spyta zakonnik moją własną mową, ale z chłopską.

— A hajwo Dobrodzieju! — odezwę się w mojej także z mazurska.

— A te inne? — spyta.

— To są anglicy, amerykańanie, francuzi, włosi, holendrzy..... zaskoczył nas deszcz niespodziewanie.

— To pućta do budy, — ale te niewiasty? jedna biołna, druga czorna....

— Obie francuzki, pomimo tego — co się z niemi nieboraczkami stanie? wiem, że reguła niepozwała wam przyjmować do budy.

— Będzie na to rada, — umieściwa je po za murem klasztoru, w onej tam wieży, która broni wstępu. Niech tu przyjdą tymczasem do przedsionka.

Ten zakonnik właściwie jest Czechem, dostał się młodo do Warszawy między Bazylianów, przebywszy kilka małych matermorfoz, jest teraz zakonnikiem św. Saby, bardzo dobrym, użytecznym człowiekiem, bo zna przez piąte przez dziesiąte, kilka a może nawet kilkanaście języków i służy klasztorowi za tłumacza. Zjawili się też i inni zakonnicy grecy, mówiący dobrze po włosku; wszystkich fizjonomie wyrażały duchowość i dobroć, a sam ksiądz przeor z białą brodą, przywitał braterskim uściskiem ojca Soragnę i przyjął nas jak najserdeczniej, z powagą patryarchalną.

Biedne kobiety zamknięto do turmy zapewniając je, że tam znajdują wszystko, a wszystko co im potrzeba będzie i że po sznurze mogą sobie wciągnąć, co tylko chcą z juk i ze sprzętów. „Ale sznur nie gruby, nie wciągnąłby nim człowieka“ powie zakonnik, niewiem czy żartując czy na prawdę, ale tym poczciwym, prostym ludziom, zawsze się zdaje, że kobieta o niczem nie myśli tylko o psotach: to już od dawna zapomnieli, że i oni są synami kobiety.

Nie długo huczała burza, zachwiała jednakże dwa czy trzy razy, serdecznie wszystkimi postawami tego labiryntowego, częścią z kamieni, częścią z cegły i żelaza wystawionego budynku, przedzielonego przepaściami połączonymi mostem zwodzonym, na różne w każdej części obronne fortece.

Trudno dać wyobrażenie o tej potarganej heteroklicznej całości. Tu się wprowadzają schodami w skałe

wyciosanemi, na trzecie piętro, a wstępujesz w mały, cudownemi krzewami i kwiatami świetniejący ogródek: każdy kwiatek ma łzę w oku, — płakał biedaczek, ale już burza przeszła, zubożniały szalone, rozdasane elektryczności, jak je tam nazwano żywiczne i szklanne, dodajne i ujemne, a ja je nazwę kłótniwe i bijące, bo jedna hałas, druga zaś tłucze. Już się też rozweselają kwiatki; ręczę, że za chwilę śmiać się będą na nowo.

„Przyleciały i gołąbki. Żaden nie zginął w burzy, bo wszystkie wesołe, a gdy zginie choć tylko jeden, to wszystkie smutne“, rzecze brat Prokop, bo tak mu imie. Dalibóg, te gołąbki są szmaragdowo-azurowe, każdy z nich podobny do szyi pawiej, a dziób ma czerwony, każdy z dwóch kawałków koralu zrobiony, i nóżki także koralowe, oczy zaś szczególne, perłowe, wszystkiemi migającymi błyszczące barwami. Siadają zakonnikom na ramionach, tak jak duchy święte, jedne piszczą tęskno, drugie już turkoczą i kłaniają się samiczkom: nic ich z miłości wyleczyć nie może, chyba śmierć sama.... Ale gdzie giną? jak umierają? nikt ich tu nie widział umarłych. Mnichy woleliby urzecz sami z głodu, jak je zabijać lub pożerać, — tu im na myśl nie przyjdzie jeść jakiegokolwiek mięso.

Z okna owej tam przyległej wieży, wyzierają nasze kobiety i wabią do siebie te gołąbki; jedna, zapewne Nuna, gwizdże milutko, druga woła dyziu-dyziudyziu. Usłuchały gołąbki, zrywają się wszystkie razem, tak jak jeden duch święty i biegną ku kobietom.

Tu znów schodzisz, ale schodzisz głęboko, zdaje się wewnątrz ziemi, i długą ciemną galeryą nurtujesz skałę: odmykają się drzwi, światło zachodzącego na Mohabitach słońca uderza cię swym ognistym ogromem. Tym razem, widzę złoty rydwan Teba w całym swym nieporównanym majestacie; kula ognista, jak kopuła wielka, nurza się w horyzoncie górnym, a miliardy rozsyła ostrych promieni, żegnając się z ziemią. Gorzej purpurą półowa hemisfery nieba, gorzej purpurą drżącą, welnowatą, gazową, przemieniającą się ciągle, to w karmazyn, to w szkarłat, to w aurorę, to znów

w karmazyn, w amarant, następnie w złoto, i znów w purpurę; zdaje się, że już wszystko niknie, bo już wszystko zbladło, nie! jeszcze się zapala cały firmament, jeszcze gorzej, jeszcze się przewalają gnuśnie ogromne kłęby obłoków, coraz to nowe przybierają barwy aurory. I już znikł glob świecący, punkt centralny świata, lecz pospieszają za nim prędko, szybko, lotne górne obłoczki, by się jeszcze splawić w znikających, złoconych promieniach wiecznego ciepła, wiecznego życia!!

Poszliśmy do kościoła podziękować Bogu za to, że nam dał oczy, mianowicie za to, że je dał także duszy naszej, że ją zrobił czułą na przyjęcie tak wielkiego piękna, jakim nas obdarza hojną ręką, jakim nas pociesza za ciężar życia, ciągle się starzejącego.... Aż je tam raz znajdziemy, gdzie je wiecznie przed oczami mieć będziemy, gdzie utonie wieczność w chwili, a chwila w wiecznościach.

Bóg Ojciec i Bóg Syn i Duch Święty na Niebie! Wystawia ich tu obraz ołtarzowy surowych z oczyma, w których się maluje mądrość, dobroć, sprawiedliwość, ale surowość przede wszystkim: — wiele, może zbyt wiele tego. Kilku innych świętych, także z niełagodnemi oczyma.

— A żadnych świętych żeńskich—ojeze Prokopie? spytam.

— Nie! nie! żadnych tu świętych w spódnicach niema w naszym klasztorze, kochaneczku panie, nie dla tego, żebyśmy nieuznawali świętości niewieściej, broń Boże! owszem, oddajemy i im pokłony w duchu, skoro są uznane przez nasz kościół, — ale widzi Pan kochaneczku, że te świętości—w szatach kobiecych mogłyby —mogłyby—jak są piękne i młode, mogłyby nasuwać owym młodszym braciom pojęcia, przynajmniej myśli odciągające człowieka od surowości naszego posłannictwa. Resztę pojmujesz kochaneczku panie.

— Mądrej głowie dość na słowie—*distinguo genus et cogito* — owszem, bardzo dobrze pojmuję i pochwalam—*pas de déesses!*...

Kościół ten jest pięknym, istne złocone cacko. W dziedzińcu kościelnym grób św. Saby, tak zasłużo-

nego świętego, że warto znać jego życia koleje. Urodził się w roku 839 w Kapedocyi, przyjął regułę św. Bazylego mając zaledwie lat 18 i natychmiast udał się na pustynią palestyńską. Patriarcha Jerozolimski Salustiusz, wysławił go na księdza i uczynił przełożonym wszystkich pustelników Palestyny. Zyskawszy wielki rozgłos przez swą wiarę, pobożność, uczciwość i roztropność, posyłanym był przez patriarchów do traktowania z samem Cesarzem Anastazjuszem, w czasie sporów monofizyków, a rzuciwszy na nich klątwę mniejszą i większą, dolną i górną, umarł mając lat 94.

Mnie więcej zajął dawny wyrąbany w kamieniu kościół monasterski. Jest to wielka jaskinia architektonicznie wycięta, pracą metodyczną, cierpliwą i sumienną. Za kratami leżą napiętrzone jedne na drugich czaszki zakonników zabitych tu w rozmaitych czasach, nawet niestety, dość nieodległych, przez tych srogich Ismaïła synów, za któremi dzisiaj ujmują się i chrześcijańskie narody. Jest tego przeszło 400. Dla frenologa, etnologa i dla *dentysty*, czaszki te mają pewną a nawet wcale wielką wartość: miejsca dla bardzo wiele mózgu niema w tych czaszkach; formacja jam ocznych i kości policzkowych, nosa i szczęki wykazuje że nie wszyscy zakonnicy należeli do rasy kaukazkiej, lecz zdrowe zęby dowodzą, że dyeta roślinna, więcej służy zębom niż zwierzęca. Wiele w tych szczękach zębów, któreby jeszcze mogły służyć naszym elegantkom, tak dbałym o zęby i tak gadatliwym, jak je mają piękne, czy to naturalne, czy to sztuczne. Są i takie, które mówiąc, kokietują językiem — a te właśnie lubią mówić po angielsku i tupać językiem po zębach szepleniąc.

— Ponieważ tak interesuje Pana kochaneczkiego, *sem wszystko* co ma związek z medycyną, więc pokażę *sem Paneczku*, co mamy bardzo ciekawego w ogrodzie tam wysoko po nad tą trzecią wieżą.

Poprowadził nas tam nasz poczciwy cicerone, któremu gadatliwość przybywała w miarę, jak zemną coraz bliżej się zaprzyjaźniał. Nie masz może węzła, któryby łączył ściślej ludzi pomiędzy sobą jak—sławiańskość! wbrew różnicy kraju, narzecza, a nawet i religii, dobre

serce sławiańskie zadręga zawsze radością, gdy usłyszy choć jedno słowo, co mu przypomni kolebkowych pieśni miłe odgłosy. Oh! jakże, raz złączeni tem świętem uczuciem powinowactwa tak serdecznego, moglibyśmy być szczęśliwemi, gdyby tętno serca było głośniejszem od tętna bębna.

Prowadzi nas tam ojciec Prokop na wieżę, na której sztuką Palmyry istotnie stanął ogródek, a w tym ogródku, sterczy wysoka, wysmukła, chwiejąca się w powiewie wiatru, lecz zawsze od lat kilkuset trwała szczęśliwa palma daktylowa, rodzaju żeńskiego; wiemy bowiem, że palmy nie są dwóplciowe istoty, jak nasze emancypantki, lecz jednopłciowe jak Bóg przykazał.

— Patrz kochaneczku Panie mój,—już dojrzewają owoce wiszące pod koroną tych długich, silnych liści, jak olbrzymie winogrona ogrodu salomońskiego, — rzecze z zapalem ojciec Prokop.

— Oh widzę—widzę; widzę i podziwiam, nie piękniejszego, już się złocą i rumienia i przechodzą w tę barwę złocistego brązu, w którym są wyborne, słodkie, aromatyczne, posilne jak ekstrakt mięsa.

— A wie kochaneczku panie, że to  *cudowne*  drzewo, bo jego owoc nie ma pestki — cały z mięsa pożywnego, — ot proszę sprawdzić i kosztować. — Zerzniętym zerwał grono i dał nam skosztować po kilkoro tych długich jak palec owoców.

— Pierwszy raz w życiu widzę daktyla bez pestek, — ależ to jeszcze nie cud, są i śliwki, nawet czerśnie bez pestek, to zależy od nawozu, od starań, — drzewo uszlachetnia się staraniem, tak jak wszystkie płody ziemi, nawet i kobieta.

— Ależ pod innym jeszcze względem to drzewo jest cudownem, — jego owoce dają kobietom dzieci.... Tak panie kochaneczku, to jest znanem od wieki wieków i niemało to nam czyni dochodu, --- zaręcza ojciec Prokop.

— I dużo tego sprzedajecie w tym kraju? — zapytam.

--- Ah! którażto matka życzy sobie mieć dzieci w tym kraju? co tu robić z dziećmi? wychować je dla



armii ottomańskiej? lub też na służebnice haremu? Najwięcej zarabiamy na francuzkach...

— A czyż to francuzki nie mogą zająć w ciężę bez daktylów i spondeów?

— Ale łatwiej jeszcze z ich pomocą. — Francuzi widzi pan, już cokolwiek z pola zeszli, — już tak nie mogą jakby sobie życzyli;—czy to że się zestarzeli, czy to, że się sponiterowali przed czasem, ale to wiem, że francuzki strasznie łakome na nasze daktyle, które im potrzebne do rozmnażania rasy.

Pomimo chęci śmiechu, która mnie dławiała, przetłumaczyłem tę rozmowę prowadzoną w języku czesko-polsko-sławiańskim, wszystkim obecnym na język francuzki i to jaknajsumienniej. Wszyscy, nawet ojciec Soragna, parsknęli jaknajpustszym śmiechem, jaki się tylko mógł rozledz w tych świętych podwojach od piętnastu wieków, nasz francuz tylko nie śmiał się, owszem zbladł jak gipsówka, potem zczzerwieniał jak stambułka i wykrzyknął:

— Jakto? moja żona będzie potrzebowała waszych daktylów, żeby mogła wydać na świat młodego kawalera de Mornay? wołę ściąć to drzewo— wołę by zginęła Francya! Być odrodzonym przez daktyle żydowskiego kraju? Nie! raczej zetnę to drzewo!

I znów ściągnął prawicę ku lewicy, lecz tam nie znalazł niezwyciężonego pałasza, bo pozostał na dole razem z manierką, z bagażem, furazem i z komisbrod.

Uspokoiłszy francuza wmawiając w niego, że on sam jeden, pomimo swej laskonożyzny byłby w stanie cały nowy departament francuzów spłodzić. Dał tedy pokój palmie, która niewinnym sposobem do tego gniewu neptuńskiego dała powód.

— Ależ jakże się ta biedna, samotnie tu stojąca żeńska palma zapładnia—mój ojcze Prokopie?—nie widzę tu żadnej męskiej palmy... spytam poczciwego Bazyliana.

— Otóż rok rocznie, jak nasza kochana palma kwitnie, przychodzi tu z Betlehemu jeden bardzo świętobliwy kapucyn, ojciec Gaudenty... Przychodzi on z pękiem kwiatów palmy męskiej Filis Phoenix Mas, której tam mają kilka sztuk, i przyprusza jej pył na

kwiaty naszej *Filix Phoenix foemina*, i — *pulvis caro facta est et habitat in illa* — jest zapłodzoną.

— Ah — teraz pojmuję — pojmuję, dziwię się żem nie odgadł od razu tę tajemnicę botaniczną.

Zaproszono nas na wieczerzę do refektarza. Mięsa nam naturalnie nie dano, tu o żadnym mięsie, czarnym czy białem, gorącym lub zimnem, surowym czy gotowanym, nikt nie myśli, — lecz dano nam na wieczerzę naprzód jaja na twardo gotowane, potem niezbędny we wszystkich klasztorach, wszystkich pięciu części świata, sztokfisz. Przypomniałem sobie, często w Norwegii powtarzane przysłowie: „Norwegia stoi własnym porządkiem i głupstwem poszczających“. To prawda, że Norwegia żyje prawie całkiem z sprzedaży łowionych na jej brzegach ryb i że w Norwegii najbiedniejszy człowiek gardzi sztokfiszem jako substancją najzupełniej bezsilną, do pożywienia niezdolną. Przeplataliśmy to wszystko *rakiem*. Lecz *rak* tego kraju, nie jest zwierzęciem skorupiakiem, z rzędu słupkowocnych, z podrzędu dziesięcionogich, z działu długonogowych, lecz po prostu bezkolorowym, pędzonym z żywicy, gummy, elemi napojem.

Mnisi tutejsi, uważają ten napój, który się używa tylko prawie kroplami, jako coś dziwnie wykwinętego, ledwo kilka razy na rok przeor raczy ich poczęstować tą substancją, służącą tylko za lekarstwo.

Chciałem sprawdzić na nich skutku wynalezionego przezemnie kordialiku św. Weroniki, i kazałem sobie przynieść półbuteleczki z bagażów moich. Sprawdziłem wpływ tego anielskiego kordyału, na czterech od razu mnichach i osiągnąłem skutek rozczulający serce moje: już za pół godziny zaczęli się oddawać najniewinniejszej, lecz zarazem najwyraźniejszej radości; śpiewali i tańczyli jak nigdy w życiu, a radością swoją, tak zarazili wszystkich, że nietylko śpiewał i tańczył *Van der Bulben* i ojciec *Soragna*, lech nawet *Mister Stick*, który w życiu swoim jeszcze nigdy nie tańczył. Jakie przedziwne skutki wywiera to boskie lekarstwo, któremu dano tak piękne nazwisko: *Veronica-Valeriana-Archangelika*! Kto mu dał te nazwy, musiał dobrze znać jego własności, a nowa medycyna pra-

wie szczydzi z niego jak z chimery i przekłada metal nad rośliny. Że przekłada złoto nad wszystkie inne rzeczy na świecie, tobym jeszcze pojął, lecz tego nie pojmę nigdy, że tylko w metaliczne wierzy lekarstwa i że codziennie więcej wygania Florę z użytku. Prawda, że te trzy wymienione substancje, do wybornej dochodzą siły w ogrodzie Salomona. Zasadziłem je w ogrodzie szpitalnym, zapewne i tu nie tracą wartości, a takim sposobem, dam może początek do pierwszego ogrodu lekarskiego w ziemi świętej.

Zobaczmy później, gdy do nas zawita cholera, ile zawdzięczam mojemu preparatowi dobrych skutków.

Kazałem sobie posłać w tym ogrodzie na dachu, gdzie przylatują azurowe gołębie na zawołanie, gdzie kwitną róże, asklepias, amarillis, lilia, gwoździk, kamelia, rezedą i nyctago, gdzie mogłem patrzeć jeszcze raz na górę Nebo, na miejsce, po za którym znikło słońce, i gdzie z drugiej strony, mogłem patrzeć na góry Efraim, na które za godzin dziewięć, wstąpi toż samo zawsze młode, świeże, dobroczynne słońce.

Miło spać pod gołem niebem ziemi świętej!

## ROZDZIAŁ XII.

### H e b r o n .

---

Pod wieloma względami dobry człowiek powinien być podobnym do koguta, ale już najczęściej pod względem czujności; najlepszy bowiem człowiek, zasypiający swą sprawę, jest niedołącznym i zaufania w nim nie pokładają ani żona, ani dzieci, ani nawet pies domowy. W wielu też razach pewne żony zbytecznie liczą na ospałość swych mężów...

Pod względem czujności, jestem podobnym do tego biblijnego ptaka, który tyle posiada cnót i wpisał się tak niezatarcie w historię świata i religii. Chciałem się obudzić równo ze słońcem, obudziłem się jeszcze przed jego wejściem i tym razem pełniłem sam obowiązki koguta, nie pianiem, lecz dzwonieniem jak na gwałt, nie mało bowiem drogi mieliśmy przed sobą, a wieczorem koniecznie wypadało być w Hebron, jeszcze przed zejściem słońca i przed zawarciem bram. Hebron bowiem jest otoczony murem i w tej chwili znajduje się w stanie oblężenia.

Chciałem tem dzwonieniem obudzić ze snu wszystkich moich towarzyszy podróży, mianowicie owe kobiety, które się guzdrzą tak długo, nim są w stanie wybrać się w podróż. Jeszcze prawdziwe szczęście, że nasza ex-księżna nie miała włosów i że się niepotrzebowała czesać po włosku, podziwiając, mierząc ich barwę i długość. Nuna umiała się wybrać szybciej, i zaraz po zatętnieniu dzwona alarmowego wstała i prze-

syłała mi ukłony. Potem zgwiszała sobie gołębie, które się też zbiegły i siadały na jej ramionach i na głowie: było ich ze dwadzieścia, otoczyły ją żywym wieńcem azurowym. Słońce wstało sobie wygodnie, bez chałasu i bez okazałości na niebo rozpaczliwie pogodne i natychmiast rozpuściło wilgoć z przeszłej burzy pozostałą.

Nagie skały Efraimu ukazały się w całej swej nudnej suchości i smutnej jednostajności: kopuła, wieże, ogrody, dziedzińce, dachy, skały, przepaści, jaskinie tego dziwnego klasztoru, wyszły z ciemnic jak widma, jedno po drugim; ruchu w nich żadnego, ostatni pies Bazyljanów sparszał i trzeba go było wrzucić w przepaść, w głębie, w której znalazł śmierć natychmiastową; kogut zaś klasztorny umarł z tęsknoty, zapewne dla tego, że reguła klasztorna wzbrania temu zakonowi chować kury.

Ojciec Prokop przybył jednakże wkrótce po zadzwonieniu z arkuszem papieru, z kałamarzem i z niedzwoim stalowem piórem w rękę, prosząc mnie prawie na klęczkach, bym mu napisał receptę na mój doskonały kordialik św. Weroniki, który tak cudowne sprawia wrażenia i skutki.

— Słuchaj, dobry ojcze, chętnie ci ją napiszę, więcej jak to, dam ci *in natura* tyle weroniki, walerjany i archangeliki, ile będzie potrzeba na zrobienie pół beczki tego niezawodnego, odżywiającego, a jednak nerwy uspakajającego kordyału; ale pod jednym warunkiem, pod tym, żebyś tę receptę zachował w sekrecie i nigdy, broń Boże, jej nie zdradzał żadnemu aptekarzowi, chyba tylko najdyskretniejszemu członkowi waszego braterstwa, by ono przecież jakąś odniosło korzyść z mojego w waszych świętych murach pobytu.

— Zobowiążę się na to przysięgą, przed ołtarzem Przenajświętszej Trójcy, — rzecze mi ojciec Prokop z gotowością.

— Wiesz jakiego jestem wyznania, wiesz, że przysięgi ani żądać, ani przyjąć nie mogę. Boga mego i Twojego, ojcze, ani nadaremnie, ani też na błahe rzeczy wzywać nie powinniśmy. Twoje słowo mi wystarczy. Z resztą, sam poznasz wkrótce, że dotrzymanie

tej obietnicy jest w interesie waszego klasztoru. Przeczuwam, że wkrótce będziemy nawiedzeni przez cholere i zdaje mi się, prawie o tem przekonany jestem, że mój kordjalik wielkie jest w stanie oddać usługi osobom przez cholere trapionym, zwłaszcza takim, które do wysokowych trunków nie są przyzwyczajone, a zatem, Beduinom, Arabom, z którymi widzę, że pozostajecie w ciągłych stosunkach. Sprawcie sobie wielką ilość małych buteleczek i dobrze zapieczętowane rozdawajcie je ubogim, bogatym zaś drogo, bardzo drogo sprzedawajcie. Lecz z kądże dostaniecie starego rumu Jamajki? Wprawdzie, aptekarz konsulatu angielskiego ma go podostatkiem, lecz i u niego jest on drogim.

— Oh! Panie kochanezku, dobrodziejku drogi,— na to się znajdzie fundusz u przeora, on nie żałuje pieniędzy na cele dobroczynne, — a potem wróci się, taki grosz wróci z wielkim procentem, my umiemy wychodzić z korzyścią na takich rzeczach. Nasza palma daktylowa przynosi nam przeszło trzy tysiące franków rocznego dochodu.

— Tem lepiej, życzę Wam z całego serca szczęścia i wpływów. Uważam Was za ludzi świata pożytecznych,—basta.

— I mogę tę tajemnicę powierzyć przeorowi?

— Zdaje mi się, że to jest Twoją powinnością.

— Teraz poznaję, że nas znasz i cenisz, Panie kochanezku i przeczuwam, że będziesz dobroczyncą naszego klasztoru. Wierzysz w skuteczność modłów?

— Najzupełniej wierzę i im się polecam. Bóg żyje naszymi modlitwami, dziękczynieniami i zazdrośnym jest o nie.

Napisałem mu tedy w języku włoskim, dobrze znany przeorowi, żadaną receptę, a on, podziękowawszy mi jak mógł najserdeczniej, zaraz pobiegł do przeora.

W minut kilka potem byliśmy znów zebrani w re-fektarzu, dokąd przyniesiono dla nas wyborną kawę, której imbryk przesłano i naszym kobietom. Przeor nadszedł i serdecznie mnie uściskał— odgadłem, że mu ojciec Prokop wszystko, co pomiędzy nami zaszło, opowiedział. Potem poszliśmy wszyscy do kościoła, do

którego, na osobnej galerji, przypuszczono także nasze kobiety i kilka innych ormianek i koptówek. Przeor in pontificalibus, dał nam, po odmówieniu pacierzy, solenne błogosławieństwo, każdego z nas, nawet Amerykanina i Anglika uściskał, obaj przyjęli to wdzięcznem sercem; są chwile, w których człowiek przestaje być sekciarzem i zbliżając się do Boga, jest bratem każdego w Chrystusa Pana wierzącego.

Z rozrzewnionem sercem opuściliśmy te mury, w których za naszą świętą wiarę cierpieli współwyznawcy nasi, od ośmnastu z okładem wieków, a wszyscy wyznaliśmy w sercu, żeśmy choć cokolwiek lepszemi ludźmi z nich wyszli, niżej byli, szukając tu przytułku.

Ojciec Prokop istotnie płakał, żegnając się zemną; miło mu było mówić choć raz jeszcze po sławiańsku.

— Ojcie Prokopie, my się zobaczymy jeszcze, takie mam przecucie, a rzadko mnie myślą przecucia, — rzeknę do Sławianina.

— I ja mam to samo przecucie—zobaczymy się—będę o to Boga prosił często na kolanach.

Jesteśmy na koniach—jedziemy, lecz każdy z nas patrzył jeszcze po za mury gościnne klasztoru Mar-Saba. I długo nam towarzyszyło usposobienie uroczyste.

Nie wiele się będę rozpisywał o wrażeniach doznanych w tej długiej, nudnej i przykłej podróży z Saba do Hebron. Z tego, com już opowiedział o sceneryi miejscowej, można odgadnąć i resztę, nie wiele różną od poprzednich rysów okolicy. Głów pociętych spotkaliśmy jeszcze kilkanaście, lecz głów ściętych, Bogu dzięki, już nie: owej ustrzelonej głowy, tkwiącej na żywych barkach, już także ani śladu. Musiał pan hrabia obrać inną drogę, lub też wrócić do Jerozolimy. Czy go jeszcze raz na drodze życia mojego spotkam, tego niewiem, pragnąłbym jednakże wiedzieć, do kogo należała owa rzeczywiście ustrzelona głowa i czy kaślub ma zaszczyt być pochowanym jako hrabia, w marmurowym grobie. Czy się znalazł na tym świecie człowiek, któryby sobie dał ustrzelić głowę, dla przyjemności kosztowania wiecznego odpoczynku w marmuro-

wym grobie? Lub też, czy się znaleźli jeszcze na tej ziemi lekarze, którzyby nie poznali, że głowa odstrzeżoną została trupowi?

Te mnie i podobne zaprzętały myśli, gdy przejeżdżał przez te krainy przewrócone, potrzaskane, przetumanione, zawalone do tego stopnia gruzami i kamieniami, że najmniejszego śladu ziemi roślinnej nie pozostało na wierzchołku. A przecież na tych nieszczęsnych, strasznych obszarach, spoczywało błogosławieństwo Bóże, hojniejszą ręką rozsiane niż na każdym innym kraju! Świadczą o tem zwałiska pozostałych tu miast, gdzie zaś istniały miasta, tam przecież musiały istnieć i ziemie, zdolne utrzymać przy życiu ich mieszkańców! Tu żyli sobie żydzi spokojnie, bez handlu, szachru, lichwy, przemycarstwa, szpiegostwa i frymarczernia towarem żywym. Każdy kąt był tu niegdyś ogrodem, noszącym winogrona, oliwki, figi, pomarańcze, migdały i wiele innych owoców, które my kupowałam musimy za trzecią lub czwartą granicą. Pod cieniem owocowych i wielkich drzew, mogli tu kochać swe piękne, rozumne, czysto ubrane, zdrową atlasową skórą otulone żony i nauczać owe przesliczne czarnookie dzieci, które i dziś jeszcze Bóg daje w naszym kraju żydom, dzieci, których im zazdroszczę, z którychby można wychować najlepszych ludzi, gdyby byli wychowywani w trwodze przed jednym tylko Bogiem i w miłości rodzinnego kraju.

Tu, gdzie nieforemne skały przewaliły jedne drugie, roztrzając ogromem ogrom spodnich, rozdrabniając się i niszcząc wszelkie ślady życia, nietylko w drzewie i w krzewie, lecz w mchu nawet, — tu się pasły krowy, owce, antylopy, sarny i zające. Tu się rozlegały okrzyki radości i wdzięczności, błogie Bogu i ludziom, i tu skowronek chętnie przenosił ku Niebu uczucia szczęsnych ludzi.

Gdzie tu teraz skowronki? nad czem będą śpiewać? nad żółtozakrwionym ślipiem Beduina, który nic nie sieje, nic nie zbiera, nic nie pasie, nic, prócz uzdy ręką swą zrobić nie może i który tylko czycha na życie bliźniego, by mu mógł zedrzyć skórę, z której sobie plecie uzdę dla konia!



Któremużby to ptakowi chciało się być pośrednikiem, pomiędzy takim człowiekiem a Bogiem? ani krakowi, ani sroce, ani nawet sowie. Ale i tej tu niema — z czegoży żyła? tu i myszy nie ma. Szarańcza zdycha z głodu, gdy na te kamienie padnie, często gniją tego miliony miliardów na tych skałach i nieznosną rozsiewają zarazę, tyfus płodzącą.

Bez jakiejś siły z wnętrza ziemi działającej, nie mogły się jednakże te skaliste góry skruszyć i zlecieć w dolinę tak ogromnemi bryłami. Musiało tu mieć miejsce jakie trzęsienie ziemi silne, gwałtowne, chociaż o tem historycy nie piszą. Warstwy skaliste, wprzódy poziome, podniosły się w wielu miejscach do pionowości, wypchnięte z wnętrza na zewnątrz, — niesposób temu przeczyć: przecież widzimy, że tak jest, że to co stało się ścianą, wprzódy było pokładem. Żydzi! Bóg wam powierzył tę ziemię i pozwolił wam wytepić dotychczasowych jej właścicieli; staliście się potem jej niegodnymi. *On* zniszczył ziemię, *On* wytepił was ze trzy miliony mieczem Rzymian, a reszta poszła w rozsypkę. Sprzedawano żydów, karmiono niemi ryby systematycznie, nareszcie tak żydzi stanieli, że ich nikt nawet za grajcara kupić nie chciał, bo pracować nie umieli, sił nie posiadali. Niechciano ich żywić, — zabijano ich tedy po ośmset na dzień, raz nawet 11,000 na jednym targu, jako towar nic nie produkujący. Zabiliście waszego Messyasza, srogo też odpokutowaliście za to!

Wasza ziemia oddaną została Bisurmanom, licznym potomkom tego Ismaela, tego dzikiego człowieka, tego syna Agary, której Anioł Boga powiedział: „mnożąc, rozmnożę nasienie twoje, iż nie będzie mogło być zliczonym przez mnóstwo“. I rozmnożyło się istotnie to nasienie starego Abrahama i młodej służebnicy egipskiej, lecz porachowanem zostało: jest ich trzysta milionów, tylko o jeden milion mniej, niż teraz istnieje chrześcian wszelkiego wyznania na kuli ziemskiej. Anioł nieprzewidział, że wszystko się da policzyć, dzięki statystyce.

Podziwiam gienialność Volneya, nawet w jego dziele „Voyage en Syrie et en Egypte“, ogłoszonym

w r 1787, chociaż on się zbytecznie urągał z prorocstw, którym usiłował odebrać wszelką wiarogodność, dowodami, świadczącymi właśnie nie przeciw, lecz za prorocstwami, i za ich dziwnem ziszczeniem. Żadne dzieje świata, nie są tak pewne i niezaprzeczalne, jak dzieje prorocstw. O Volneyu śmiało rzec można, „że jego własne usta go skazują“. Usiłował obalić podstawy Chrystianizmu, przecząc wiarogodności prorocstw, a postępując w duchu samą naturę ludzkości i świat wyszydającego Voltaira, ale „*placuit Caesari sed non Catoni*“. Wprawdzie został hrabią pierwszego cesarstwa francuzkiego, ozdobionym był wielką wstęgą, senatorem, zbałamucił miliony słabych chrześcian, przysposobił sobie następców, zwłaszcza pana Józefa Ernesta Renana również gienialnego człowieka, który swym rzeźwym zobustwieniem Chrystusa człowieka, usiłuje tak statecznie i pracowicie zniszczyć w nas wszelką wiarę w Chrystusa Boga, a tym sposobem wpędza masy w obóz ateuszów; wybrane zaś intelligencye, czyli raczej wyszukane intelligentki, w ramiona Jezuitów! Czyż ta Francya ciągle ma dążyć na naszą zgubę? Czy jeszcze tęższych potrzeba będzie Bismarków, na skrócenie wiary w te prawdziwie *zachodnie* opinie, na dowiedzenie, że nie wszystko złoto co się świeci? Zdrowa północna wiara, nie chce zachodzić w zachodnich wątpliwościach, lecz niestety, grzać się chce w zdradliwym ciepłiku południa.

\* \* \*

Po pięciogodzinnym pochodzie, gdy słońce już nam znowu nielitościwie dokuczać zaczęło, droga nasza rozszerza się, spłaszcza, umaja jakąś problematyczną chudą zielonością,—wchodzimy nareszcie w ciasną dolinę i znajdujemy w niej szalas, źródło, piękne drzewo dębowe z gęstym liściem i trzy jaskinie, a na nasze szczęście, nie spotykamy tu żadnych pielgrzymów, ani żołnierzy, więźniów, ani też katów. Tylko trzech Arabów, jakoś nie zbyt barbarzyńsko wyglądających i dwie arabki, panią i służbę, obie ładne, jeśli się nie mylę, bo

zakwefione za jaszmakami. Ale że na naszych młodszych towarzyszach zerkają ciągle swemi dużemi, śliwkowatemi oczyma, więc wnoszę, że są kokietki, a zatem muszą być ładne, bo brzydkich kokiet nie wiele, ani w Paryżu, ani nawet w Warszawie. Wszędzie wie brzydka, że przez kokieterę staje się śmieszna, a nawet nieznośna—pour ne pas dire obrzydliwą, i że skromnością zyskuje litość, współczucie, uwagę, a nawet czasem, interes i miłość.

Rozpięliśmy namiot kobiecy zaraz przy wejściu do jednej z jaskiń, — jednej z tych, w których Loth miał przebywać w swym pochodzie z pogrążonej Sodomu do Hebronu, po zasoleniu swej żony. Nie długo jej płakał, ani też córki jego nie martwiły się długo po stracie matki!...

Będą miały nasze kobiety wielką wygodę z namiotu dotykającego jaskini.

Przedewszystkiem, pokrzepiliśmy się wodą, która nam się zdawała nektarem, a potem legliśmy w drugiej jaskini ciężkim snem znużeni, na ziemię; ta woda działała na nas jak narkotyk. Lecz jeden z nas musiał pilnować kolejno. Spaliśmy jednak każdy przeszło cztery godziny, aż przebyło słońce wyższą część sfery. Dopiero potem myślano o posileniu się. Lecz tymczasem już mnóstwo nadeszło innych gości, i wtargnęło do naszej jaskini prawie przemocą. Nie można też było stawiać oporu: byli to oficerowie armii ottomańskiej, powracający z wyprawy przeciw zbuntowanym arabom i beduinom, pomiędzy nimi jeden stary miralaj, to jest półkownik ranny w ramie kulą, która pozostała w ranie i której ich lekarz nie miał zręczności wydobyć. Zaraz się dowiedziano, że jestem Hakim, to jest lekarzem. Syn półkownika, młody porucznik, przybiegł do mnie i prosił ze łzami w oczach, żebym opatrzył ojca, który cierpiał okropnie. Nie jestem w stanie odmówić tej usługi, lubo już byliśmy na wsiadaniu.

Kula wpadła przez muskul zwany deltoideusz do wnętrza ramienia, okropnie spuchłego: sprawdziłem, że kula pozostała: okoliła kość ramienną w ten sposób, że była o półtora cala tylko oddaloną od miejsca, przez

które wpadła. Trzeba było jednakże zrobić na to osobny otwór. Przystano na wszystko. Nuna pomagała mi zręcznie w operacyi, dla której udzieliłem staremum miralajowi datkę mojego cudownego kordjaliku św. Weroniki. Wszystko poszło jaknajlepiej,—zaprowadziłem w ranę flejtuszki ze skubanki napawane najczystszą oliwą z odrobiną balsamu Mekki i przyłożyłem bandaż, na którego zrobienie pani Roux poświęciła połowę swojego prześcieradła.

Wielką to wszystko sprawiło ulgę panu Miralajowi sam to uznał Turek słowami: „Uff! uff! jakże mi też dobrze, jak gdybym był już w Abrahama łonie! Uff! jakże ta twoja niewolnica zręczna, — ta czarna! uff! sprzedaj mi tę twoją niewolnicę na miłość Boga,—drogi Hakimie serca mojego. Dam Ci za nią klacz, dwa razy więcej wartą — klacz prawdziwie arabską, która rodzi z siebie, już dwoje miała źrebiąt pięknych jak anioły,—uff! jakże mi dobrze“.

— Drogi Miralajku:—obaj jesteśmy chrześciance, jej niewolno być niewolnicą, mnie zaś niewolno być właścicielem niewolnicy, ani żadnej rzeczy wieczną duszę posiadającej,—przedstawiam turkowi.

— Alboż to kobieta posiada duszę! — zwłaszcza kolorowa. Ale wiem, że wy macie wasze przesady, — wy myślicie, że w raju są kobiety. Nie potrzeba ich tam,—tam są huryski dla prawowiernych. Uff! jakże mi dobrze.—Ale dla was nic nie ma w raju, tylko li-tanie i pacierze.

Usnął nareszcie turek jaknajspokojniej, a my mogliśmy się udać w dalszy pochód. Zmitrężyliśmy prawie godzinę czasu, — niewiadomo czy będziemy mogli przybyć do Hebronu przed zamknięciem bram, a lubo nam udzielili wszyscy tu przytomni oficerowie tureccy jaknajserdeczniejsze polecenia, do wszystkich władz wojskowych i cywilnych, powątpiewaliśmy o ich skuteczności. Turcy bowiem pod tym względem są cokolwiek *blagueurs*, to jest lekkomyślni, zwodzącymi ludźmi. Widać, że przyjmują od Europejczyków najłatwiej to, co mają ci ostatni w sobie najmniej dobrego.

Szczyście dla nas, że droga chwilami coraz lepsza, że wychodzimy z labiryntu skalistego, w kraj

więcej płaski—jednem słowem, że wstępujemy w dolinę Hebron, prawie tak słynną z żyzności, jak płaszczyna Saronu, poprzedzająca góry Efraim.

Flora tutejsza jednakże o wiele się różni od Florry Saronu. Powinnaby być południowszą jeszcze, o pół bowiem stopnia geograficznego jest zbliżoną więcej do równika, a przeciwnie, jest północniejszą, mniej kwiecistą a więcej drewniastą, rośnie tu więcej dębów, jaworów, klonów, orzechów i lip, a mniej daleko drzew delikatniejszych. Tu się naocznie przekonać można, że zony isotermiczne, to jest jednociepłowe, wcale nie są równoodległe od równika, co najlepiej daje się czuć w Nicei kwiecistszej i cieplejszej od Neapolu, więcej jak dwa stopnie zbliżonego do równika, a posiadającego tuż w bliskości swojej, takie ognisko ciepłika i ognia, jakim jest Wezuwiusz. Ale, że Neapol nie jest zasłoniętym od północy i od wschodu wysokimi górami, jak jest Nicea Alpami morskimi, więc też z tego wypada, iż klimat jest o wiele zmienniejszym i tak częściej zwiedzanym przez deszcze nawet i w lecie, że najpiękniejsza, najlepiej wychowana Neapolitanka, nazywa swą ojczyznę *pisciatoio d'Italia*, bez zająknięcia się, bez zarumienienia i bez ceremonii. Powiewy ze strony Martwego morza i z gór Mohabitskich, muszą także wpływać niekorzystnie na wzrost delikatniejszych drzew a zaś korzystnie na wzrost grubszych, północniejszych, którym sól rozdrabniała służy,—dość, że tu pod względem roślinności wcale inna strefa. Wielka kukurydza zwana zębem końskim, dochodzi tu do wysokości jeszcze większej od owej węgierskiej.

Tu już gdzieniegdzie zaczynamy spotykać stada białych owiec i inne na wzgórzach czarnych kóz, i znówu widzimy kozły wkradające się pomiędzy owce, wcale się z resztą nie broniące. Ale też i widzimy pasterzy uzbrojonych w kije jak dysze, wyganiających kóz i owiec jak wilki. Ciekawym, czemu koziół może pożerać liście tytoniu najzupełniej bezkarnie? czy ten pokarm wznieca im skłonności przewrotne? jedzą nawet pieprz turecki bez szkodenia sobie, toby już niezawodnie powinno wzniecać w nich skłonności niemoralne. Jednakże Noé nie

liczył ich między zwierzęta nieczyste i zabrał sześć sztuk do arki, zającą zaś uważał za nieczystego i zabrał tylko jednego; tak tu przynajmniej utrzymuje podanie. Zadnego wszakże nigdy zająca nie obwiniano o kazirództwo, ani o cudzołóztwo, a kozioł ma już od najdawniejszych egipskich czasów, najgorszą pod tym względem reputację.

Nienadarmo wprowadziłem tutaj zającą na widowię: nasz amerykańnin i francuz, ubili ich pięciu w polu, w którym dziko rosły jakieś kalaflory. Były to koty, krępe z rodzaju śródziemnych, mniejsze od szaraków polskich, lecz z dłuższemi jeszcze słuchami i skokami, z wierzchu więcej rude z brzuchem białym. Polowanie to i kilka kuropatw ubitych przez Nunę, uwolniło nas od potrzeby kupienia barana, mieliśmy z sobą kocioł żelazny, wewnątrz polewany, w którym się wszystko razem, po cygańsku gotowało nad ogniem, z sokiem winogron, które tu są doskonałe, soczyste, słodkie, duże i prawie zupełnie bezpestkowe.

Wszystkie góry około Hebronu zaokrąglone, niskie i wybornie na słońce wystawione, są pokryte winnicami mało wymagającemi zachodu; góry te bowiem są już z przyrody uterafiowane i ciągłego nie wymagają podpierania kamieniami, by zapobiedz spłynięciu ziemi. W zimie, latorośle się ścinają, a pomiędzy korzeniami ich, orze się i sieje ziarno, mianowicie pszenica, lub nawet kukurydza, co wcale nie wyczerpuje gruntu. Winorośl tutejsza, ma dziwną siłę wegetacyjną, którą chyba tylko chrzan lub łapucka posiadają u nas. Wdzieliśmy tu wszyscy winorośl, która świeżo ścięta bez korzeni, zasadzoną w doniczkę, wydała już w trzy miesiące winogrodę wprawdzie jeszcze chudy, rzadki, lecz zupełnie do jedzenia dobry. Ten fenomenalny wzrost, nie był tu uważanym za ciekawość. — Tenże sam gospodarz wiejski, arab izraelski, sprzedał nam sześćdziesiąt funtów winogrodu, który dojrzał na jednym pniu, rosnącym w trzy stopy kwadratowe obszaru mającej starej szufadzie. Było także ziemi na półtrzeciej stopy, a tę ziemię odwilżano co pięć dni moczem krowim, ścinanym z wodą za pomocą rurek żelaznych. Izraelici tutejsi, jedynie wyrabiają wino z winogrona,

arab muzułmanin tego nie robi, brzydzi się niesłychanie trunkami wysokowemi i wszelkim fermentem, nawet chlebem kiszonym; winogrona świeże służy mu za pokarm, suszy je także na rozenki, wygotowuje na powidła, marynuje nawet w oliwie i robi z nich placki z mąką i migdałami.

Kraj ten może jeszcze stać się rajem, jeśli raz się uciszą nienawiści,—jeśli z Beduinów pozostaną tylko kości. Wkrótce tu się zjawią pruscy kulturtregierzy i nauczą arabów i żydów gospodarstwa, a może nawet religii i filozofii. Ale ich i pić nauczą niestety, bo najlepszy niemiec, ani kropli nie wyleje za kołnierz, i gratis udziela lekcji pijatyki, którą nazywa vielsanferei.

Na pół godziny przed zejściem słońca, zoczyliśmy Hebron jak na dłoni, w oddaleniu o jakie półtóry mili geograficznej. Leży pomiędzy dwoma zielonemi wzgórzami, otoczony jest na odległość wiorstową dziesięcioma innemi pokrytemi winnicami. Wysoki, nie wysmukły, lecz wieżowy minaret wznosi się nad meczetem, dawniejszą świątynią, wystawioną przez Cesarzową Helenę, nad grobem Abrahama, Isaka i Sahry.

Droga się zniża w dolinę, nie zdążemy do miasta na noc, lecz mniejsza o to: przepędzimy ją pod najstarszym dachem, jaki istnieje na tym świecie, nie pod dachem nieba gwiazdzistego, nie pod dachem jaskini, nie pod dachem owych świątyń przedpotopowych Indyj Wschodnich, lecz pod dachem gałęzi i liści najstarszego drzewa, jakie zapewne na tym świecie istnieje, pod sławnym dębem, pod którym już przed czterdziestu wiekami, Patryarcha Abraham, kołysał na kolanach swe dzieci. Tak przynajmniej utrzymywano już za czasów Chrystusa, i później, kiedy Józef Flawiusz zwany Żydowin, pisał w Rzymie swą księgę o starożytnościach żydowskich; a dziś tu tak utrzymuje każdy żyd, chrześcjanin i mahometanin, że to Abrahama autentyczne drzewo, a za tę wiarę dałby się żyd powiesić, tak mu jest drogą sława tej olbrzymiej rośliny.

Ależ to drzewo mogące iść w zawody z największemi o jakich wzmiankują dzieła, piszące o cieka-

wościach świata, lubo nie dochodzi jeszcze wysokości bajecznej pięciuset stóp, wysokości piramid, do której mają się wzbijać Eukalyptusy austalskie. Dąb Abrahama jest objętości dwudziestu pięciu stóp, wysoki na 280 stóp, a miejsce ocienione jego gałęziami przechodzi pięćdziesiąt stóp na około pnia. Należy do małosłociowego, zawsze zielonego, słodkie żółędzie wydającego rodzaju i tysiące rozmaitych ptaków, gnieździ się ciągle w jego gałęziach, świergocząc, skacząc swobodnie, nikt bowiem nie śmie go tu zaczepiać, tak są pewne tego. Jest i kilkaset wiewiórek nawet owych myszy z ogonami kosmatymi, jak ogony wiewiórcze. Lecz niema tu ani żbika, ani owego niedźwiedzia bartnika, który lubi mieszkać na wysokich, gęstych drzewach i karmić się miodem. Gnieźdzą się na tem drzewie sowy i sokoły, razem z gołębiami i słowikami, i taki duch spółobywatelstwa panuje pomiędzy temi stworzeniami, że i drapieżne ptastwo nic nie zrobi na tym samem drzewie złęgo innemu. Nikt też nie śmie strzelać na ptaki w te się gałęzie chroniące, ani ścinać to drzewo.

Właściciel tej rośliny i gruntu, na którym stoi, jest ubogi arab, niedaleko ztąd chatkę posiadający: pilnuje on całości swego historycznego, patryarchalnego dobra, zazdrosnem okiem. Inny gospodarz ofiarował mu 300 franków w złocie za tę roślinę, którego drzewa potrzebował na pługi, lecz napróżno, gdyż zaręcza arab, żeby i za dziesięć razy większą summę jej nie był sprzedał. Jeden Pasza hebroński, chciał raz ścinać kazać jeden z bocznych konarów, którego potrzebował na zrobienie prasy do oliwy; posłał więc pomimo protestacyi właściciela, wyrobnika na gałąź, by ją ścinał, lecz ten spadł z gałęzi po pierwszym ciosie, złamał sobie nogę i umarł we dwa dni. Niedawno jeden Frandzi, chciał rozpalić ogień z tego drzewa, lecz ono za nic w świecie rozpalić się nie dało. Innych drzew ułamki jednakże zaraz się zajęły ogniem.

— Allah pilnuje drzewa, pod którego cieniem Abraham chwalił Boga, — niech mu Allah da pokój i wszystkim co się pod nie chronią. Nigdy piorun nań nie padł, ma ono atmosferę odpychającą elektryczność.



Tak nam zaręczał arab, który jednakże pozwolił nam się rozgościć pod jego gałęziami i rozniecić pod nim ogień, lecz nie pozwolił zawiesić na gałęziach jego nasz cygański kocioł, tylko musieliśmy sobie pożyczyć trzy tyczki, połączyć ich wierzchołki i zawiesić pod niemi kocioł, w którym jak powiedziałem, w soku winogrodu ugotowaliśmy zające, kuropatwy, kawał baraniny, różne włoszczyzny i korzenie, wszystko razem pod dobrą pokrywą tak, że wynik tej kuchni był wybornym, tylko że się baranina przejęła zajacem, kuropatwy zaś baraniną.

I przemocować nam pozwolił pod tym drzewem, pod którym dla kobiet rozpieliśmy namiot. Byliśmy tu bezpieczni, pół bataliona wojska regularnego stało w bliskości, a dowódzca jego zapewnił, że nikomu z nas włos nie spadnie z głowy. Pani Roux powiedziała, że o tem jest najzupełniej przekonaną co do własnej osoby, gdyż wypadnięcie włosa, było dla niej cudem najzupełniej niemożliwym.

— Jakto, jeszcze pani nie odrosł ani jeden włossek od wczorajszej kąpieli w Jordanie?

— Ani jeden, — chyba jaki mikroskopowy okiem gołym niewidzialny, — odpowie pani Roux jakając się niewiem dla czego.

— Święta Marya Magdalena nie pomogła, jeśli niepomocze i święty Jan Chrzciciel, to pomoże zapewnie baron Dupuytren i jego odżywiająco-irytująca pomada z niedźwiedziego sadła, z chinu i z kantaryd, bądź pani spokojną,

— Raczej urosną brody na tym kamieniu, jak na mej skórze włosy, tracę wszelką nadzieję.

— Nie w jednym dniu Rzym stanął, — trochę cierpliwości, co pani po włosach w podróży? nie ma czem się frasować.

Przez całą noc słyszeliśmy szum fali, chociaż morze było dalekiem, a najmniejszy wietrzyk nie wiał.

Lecz ta fala szumiała nad naszymi głowami i pochodziła z ciągłego szmeru liścia potrącającego się nawzajem. Tu już ani można było zaprzeczyć, że ten ruch samoistny pochodził z oddychania liści, które w nocy wycziewają gaz kwas węglowy i wprawiają liście, owe

płuca rośliny, w drobniutkie poruszenia, udzielające przez dotknięcie, pewien przeciąg tej całej okazałej budowie liściastej.

Żadne najmniejsze działanie obejść się nie może bez ruchu, tylko częstokroć jest on trudnym do spostrzeżenia, a któż wątpi o wpływie myśli na organizm zwierzęcy? myślą rosną rozmaite organa, które niedotykane myślą, gdy nie są używane. Od myśli rośnie nawet mózg, który wykonywa tę czynność i do późnego wieku rośnie on, bo do lat mniej więcej sześćdziesięciu kilku; a sam znam ludzi, którzy w tym wieku nauczyli się jeszcze obcego języka, nie tak szybko jak dzieci, lecz zawsze szybciej od owych ludzi dorastających, którzy tylko o jedzeniu, piciu i innych materialnych potrzebach myślą, a wszystkie swe organa potęgują prócz mózgu.

*Et numerus eorum legio est* w niektórych szczęsnych krajach, w których mózg na to dany człowiekowi, żeby myślał o psich figlach.

Te i podobne uwagi robiłem stojąc na warcie i chodząc naokoło rozległych galezi drzewa, ze strzelbą w rękę, czuwając nad wszystkimi ruchami zewnątrz z przodu drogi tu doprowadzającej, ze strony wzgórza, na którym roztasowane wojsko, ze strony beduinów, którzy powinni czuwać nad nami, lecz radziby nam coś świsnąć, jeśli się sposobność nadarzy, i ze strony owego tam lasku, w którym niezawodnie kryją się przynajmniej szakale, zawsze gotowe do korzystania z nieczujności ludzi i psów.

Hyena nawet nadejść może, nie mało tu pochowano trupów w ostatnich dniach, a pochowano ich zwyczajem muzułmańskim miało, najwięcej trzy stopy pod powierzchnią ziemi. Warty nie powierzę, jak się znużę, chyba Alfredowi Stick, a ten ją powierzy nie francuzowi lub nawet amerykańnikowi, zmęczonym polowaniem, lecz Van der Bulbenowi, czujnemu Jezucie.

Wszyscy moi towarzysze chrapią, nawet owe kobiety pod namiotem, które nigdy nie chrapały, lub jeśli to czyniły, to delikatnie jak chrapaszczce, nic więcej. Czemu dziś chrapią? Bez przyczyny niema skutku.

Odgaduję dla czego:— nawet pod drzewem Abrahamowem niezdrowo jest spać, bo w nocy wyziewa gaz kwas węglowy i ten, jako cięższy od powietrza atmosferycznego, opada na ziemię, nieporuszony prawie tam ją zalega i tworzy ciężkość oddechu, objawiającą się często chrapaniem. O tem wpływie nieoddychalnego powietrza na płuca i na wszystkie organa oddechowe, ani wątpić można. Jestem pewnym, że się obudzą z bólem głowy, mniej więcej wyraźnym i z niedobrym przynajmniej humorem. Żal mi ich bardzo, lecz pomimowolnie życzę sobie jednakże, by to według mnie konieczne następstwo działalności wspomnionego gazu, dać się czuło, by miało miejsce; byłoby to dowodem, że się nie mylę, ani w przyczynach, ani w skutkach, a któryż to spostrzegacz, mianowicie lekarz, mylić się lubi? Egoizm naukowy jest dozwolonym, jeśli nie dochodzi do stopnia zbyt niedelikatnego, bezwzględnego okrutnego, którego dał dowód amerykański Doktor, sławny frenolog Webster, co najlepszego swego przyjaciela w własnym swym domu zarznął, by się przekonać, czy istotnie jest chorym na pewną część mózgu, w której jest siedlisko poczucia indywidualności. Znalazł istotnie potwierdzenie owej diagnozy w mózgu zarzniętego i pocieszył się, bo jego przyjaciel byłby niezawodnie wpadł później w obłąkanie, i byłby sobie sam zadał śmierć: uchronił go tedy od najgrzeszniejszej śmierci, a dobry wykonał czyn, jako naturalista, jako lekarz i jako chrześcjanin. Wydała się jednakże rzecz, pociągnięto D-ra Webster pod odpowiedzialność i skazano go na śmierć przez powieszenie. Sędziowie, którzy go skazali, upewniając jednak, że przez tę zasłużoną karę, wcale nie traci ich szacunku, tylko że jakoś to surowością chcieliby zapobiedz powtarzaniu się podobnych dociekań, i że wypadła jemu, tak zacnemu obywatelowi, zrobić chętnie dla tej niedogodności poświęcenie z własnego życia. A zatem, wyrok został wykonany jaknajgrzeszniej, ale też jaknajsumienniej. Doktor sam nauczył kata, jak go ma wieszać i prosił, by mu otworzono po śmierci głowę, aby się przekonać czy sam nie ma wybujałości chorobliwej w części mózgu, która jest siedliskiem

ciekawości. Istotnie znaleziono ją i bardzo z tego był zadowolonym,—nie nieboszczyk, lecz najlepszy uczeń jego młody Doktor Sharprow, który z wdzięczności za doznane dobrodziejstwa, ożenił się z wdową jego nieutuloną w żalu, w kilka miesięcy potem.

Nie! do tego stopnia niema we mnie rozbijałości organu ciekawości. Radbym jednakże sprawdzić i na sobie, czy chrapanie i ból głowy, następuje po oddychaniu powietrzem ociążałem; zaraz też po obudzeniu Alfreda Stick, i po powierzeniu mu warty, hasła, odezwy i nabitej broni, położyłem się spać, tuż obok tych dwóch chrapiących niewiast, z zewnątrz namiotu rozumie się.

I ta noc przeszła, obudziliśmy się wszyscy, Bogu dzięki z bólem głowy, jak przewidziałem, lecz ból ten nie był tak nieznośnym i przeszedł skorośmy tylko wyszli z atmosfery nocnej drzewa i stanęli na wzgórzu, gdzie czyste, kwasorodne wiało powietrze.

Tu zoczyliśmy Hebron w całej jego okazałości, dość malowniczej, lubo nie wielkiej, pewno nie w stosunku z swą starożytnością, gdyż to miasto było założonem siedem lub ośm wieków przed założeniem miasta Zoan w Egipcie, a zatem około 3250 lat temu. Zoan znikł, lecz Hebron trzyma się jeszcze dobrze i trzymać się będzie długo, jeśli mu gniew Boga nie zniszczy okolicznych winnic, dostarczających tyle i tak dobrego owocu.

Hebron ma wielkie znaczenie w historii świata i w dziejach myśli ludzkich. Tu leży pochowany człowiek, który Boga do tego stopnia kochał, że na jego życzenie gotów był poświęcić, zabić własną ręką syna swojego ukochanego. Takie wyrzeczenie się samego siebie, jest straszliwym, lecz zarazem szczytnie pięknem.

Kochać coś po nad wszystkie rzeczy widzialne do tego stopnia jest cnotą, którą wszystkie upadłe narody szczyć się nie mogą, bo swym upadkiem dowiodły, że prócz własnego swego indywidualnego, sobkowego życia, nic kochać nie zdołały.

Tu Abraham miał stosunki z samym Jehową, — tu się ożenił, tu wydała na świat Agara Ismaela,

później Sahra, Izaaka, tu Izaak spłodził z Rebeką Esaua i Jakóba, i tu żarłoczny Esau, sprzedał pierworodztwo swoje Jakóbowi za talerz gotowanej soczewicy. Jakób zostawszy ojcem wielu synów, umarł w Egipcie u syna swojego Józefa, zaprzedanego przez własnych braci Egipcyanom, lecz ciało swoje rozkazał zawieść i pochować w Hebron. Józef wyszedł na bardzo wysokiego pana w Egipcie i tam umarł przepowiedziawszy braciom powrót żydów, tu w Egipcie rozmnożonych, do ziemi ojczyściej, którą tymczasem Chanaaneczycy zawojowali. Istotnie Mojżesz wyprowadził żydów z Egiptu a Jozue zdobył Hebron i oddał go Kalebowi. Później to miasto wyznaczone było dla lewitów i kapłanów. W Hebron Dawid namaszczoneym został na króla i tu miał stolicę swą przez lat ośm, lecz tu także własny syn jego Absalon, podniósł bunt przeciw ojcu. Roboam obwarował Hebron, a ślady tych fortyfikacji pozostały do dziś dnia, zwłaszcza trzybramy, przez które się wchodzi do miasta. Lecz i to miasto uległo, również jak Jeruzalem, najprzód Rzymowi, potem Bisurmanom, którzy grób patriarchów za najświętszą uszanowali relikwię. Arabi zowią to miasto Kulil, to jest przyjaciel Boga. Jest ono wcale dobrze zabudowanem, mieszkańców ma stałych do 8,000, lecz podczas pielgrzymek przeszło 10,000, dzisiaj zaś z powodu stojącego tu wojska jeszcze więcej.

Chrześcian oprócz pielgrzymów, niema tu żadnych, żydów bardzo wiele, mieszkają oni tu daleko porządniej jak w Jerozolimie i w ogólności czystiej się noszą; nędza nie wyziera z ich łachmanów, ani rozpaczliwa rezygnacya z ich oczu. Gubernator Kuper Aali-Bey, pilnuje porządku i przewiduje, że wkrótce tu nastąpić może zaraza z powodu źle pochowanych trupów. Jest on Arabem, i chociaż im się kłania, nie cierpi Turków, którzy dziś tu gospodarują samowładnie.

Dzielnica żydowska, jest labiryntem dziwacznym, na skałach i urwiskach zbudowanym, do której się wchodzi tylko przez jedną bramę. Ulice tutejsze, są to kręte ścieżki, wijące się pomiędzy innemi jeszcze krętszemi, spadzistszemi i ślizkiemi. Dreszcze prze-

mowały na ten widok, zatęskniliśmy do puszczy, którąśmy przebiegli z takim mozolem, by tu podziwiać z daleka meczet, pod którym odpoczywają patryarchowie.

Nareszcie stajemy przed domem, który mi wskazała pani Silberbaum w Jerozolimie: mieszka w nim wdowa żydówka polska, jej synowie, córki, zięć, izraelita hiszpański i ładnych dzieci kilkoro. Jeszcze rozumiała z niemiecka po polsku i była mi bardzo rada. Wszyscy wyglądali zdrowo i porządnie, a dwie córki nawet bardzo ładne i wcale nie były dzikie, tylko uprzejme, zaraz też nasz francuz wziął się do firkowania i do fircykostwa ręczo i chyżo.

Kobietom dano na wyższym piętrze osobną komnatę, my zaś roztasowaliśmy się w dziedzińcu, gdzie nam podano doskonałą kawę i gdzie nam don Mosé Orizabal usługiwał z grzecznością i maniernością hiszpana godną. Świadomy był miejsca, świadomy okoliczności obecnych, wiedział nawet co się dzieje w Hiszpanii, żałował, że don Amadeo ją opuścił, był to monarcha tak uprzejmy, waleczny, un verdadero Caballero, mas Castellano da todos los espannoles. Que lastima! prawdziwy kawaler więcej kastelanczyk od wszystkich hiszpanów—jaka szkoda! Pragnie wrócić do Hiszpanii, lecz nie bez pieniędzy i nie przed końcem wojen; tu mu zupełnie bezpiecznie, bo uzyskał prawo do protekcji angielskiej tem, że się przypadkowo urodził w Gibraltarze; nie trudno też zarobić pieniądze, bo tu często przebywają w jego domu Anglicy, a chociaż dzisiaj już nie tak hojni jak byli kiedyś, lecz jakoś zawsze idzie i teraz. „Szkoda żeście panowie wszyscy nie Anglicy—proszę najświetniejszego pana, czy rachunek podać w ogóle, czy też każdemu z osobna?—lepiej będzie każdemu z osobna, już to ja z panem Doktorem, będę miał względy, — bardzo wielkie względy,—zwłaszcza, że moja Eester słaba, — radbym się tak nawiasowo, mimochodowo, tak cokolwiek poradzić“.

— Wiesz co don Mosé Orizabal, Kochajmy się jak bracia, a drzyjmy się jak żydzi. Rachunek podaj ogólny, a ja za konsultacye każę sobie zapłacić szcze-

gólnie. Z resztą ja nie dzisiejszy, miałem do czynienia z izraelitami wszystkich krajów i nigdy nie dałem się zedrzyć,—owszem, ja ich zdzierałem jak potrzeba było koniecznie.

Zadarł don Mosé głowę, jak gdyby chciał powiedzieć, „dam sobie radę“,—i pytał nas co będziemy jeść na śniadanie, potem na obiad, na podwieczorek, nakoniec na wieszczę.

— Będziemy śniadawali, obiadowali, podwieczorowali i wieszczęrowali o godzinie piątej, popołudniowej rosolem z trzech dobrych kur i pieczenią baranią z kartoflami—basta, — taki u nas zwyczaj. Z resztą możecie przystroić to wszystkimi możliwymi przysmakami w ten sposób, żeby na osobę nie wypadło więcej jak pięć franków francuzkich w srebro,—jeśli jednakże nas zadowolnicie zupełnie, to wam się da bakszysz mniej lub więcej wspaniały i świadectwo wpisane w wasze album, że jesteście najnotliwsi zydami w całej Palestynie. Habeis entiendido?

— Carramba muy bien!

Natychmiast po kawie, wybiegliśmy na zwiedzenie miasta. Nie jest ono wcale tak posępnem i brudnem, jak prawie wszystkie miasta, w których gospodarują mahometanie; nie braknie mu wody, to już wielki dar ułatwiający czystość i utrzymujący świeżość w powietrzu.

Zewsząd prawie na wzgórzach miasta, oko przeciąga większe jeszcze gaje, pokryte nawet i teraz, wśród tak wielkiego gorąca, majową zielonością, pomiędzy którą dojrzewają te ogromne, częstokroć jak purpur czerwone winogrona.

Tu niedaleko wytryskającej ciągle fontanny, grób Abnera, ofiary nie uczciwości i ambicyi Joaba. Sam Dawid towarzyszył zwłokom do grobu, płakał rzewnymi łzami, ryczał z żalu i lamentował, jak mówi biblia.

Za miastem ze strony północnej, znajdują się dwa częścią wycięte w skale, częścią głazami murowane stawy. Jest to dzieło Dawida. Tu w przytomności swojej, kazał stracić morderców Iszoretę syna Saula, swego tak zaciętego wroga; kazał im naprzód uciąć

nogi, potem ręce i później powiesić ich nad temi stawami. Głowę zaś Izobreta pochował w grobie Abnara.

Dawid zostawszy królem całej Palestyny, przeniósł stolicę do Jerozolimy, Hebron przez to stracił swe wyższe znaczenie; skorzystał z tego Absalon własny syn Dawida i tu podniósł sztandar buntu. Przyplącił to życiem.

Jezus raz tylko uświęcił to miejsce swą obecnością, kiedy był dzieciątkiem, kiedy Marya i Józef unosili go do Egiptu przed srogością Heroda.

Dzisiejszy meczet wystawiony nad jaskinią, w której spoczywa Abraham i jego rodzina, jest wcale nie architektonicznym ogromem, datującym z trzech głównie wieków, od Dawida, od św. Heleny i od Omara. Dawidowskie mury są wzniesione kamieniami do 32 stóp długimi i pięć stóp wysokimi; helenskie z mniejszych głazów, omarskie z jeszcze mniejszych, lecz zawsze ciosanych. Wieża służąca za minaret, jest całkiem budowlą bizantyjską. Muzułmanie niedopuszcili nigdy żadnego chrześcianina a nawet żyda do widoku tych grobów, czuwają nad nimi z zazdrośnie srogą czujnością. Lecz w r. 1862 po długich trudnościach, dozwolono nareszcie następcy tronu Angielskiego, księciu Walii zwiedzić te groby z swą świtą. Opisał je starannie dziekan Stanley, kapelan księcia w bardzo kosztownie wydanem dziele. Tu jednakże utrzymują wszyscy, gubernator, muzułmanie i żydzi, że zdurzono księcia, kapelana i świtę, że im pokazano tylko na prędko wzniesioną imitację grobu, bo grobu *nikt a nikt* prócz Sultana samego, jako Kalifa prawowiernych, zwiedzić nie może, gdyż cień Abrahama, jest tam jeszcze w ciągłych konferencyach z samym Ałlahą. Wszyscy o tem przekonani, że książę widział wiele rozmaitych grobów, lecz że nie widział grobu Abrahama. Z resztą, on o to wcale nie dba, woli patrzeć na inne rzeczy jak na groby,—woli patrzeć na butelki.

Obok wejścia do meczetu, znajduje się w kamieniu dziura, w którą wolno za opłatą i żydom wkładać petycye odezwowe, do Abrahama. Często te petycye otrzymują tajemnym sposobem skutek pożądaný, nigdy jednakże odpowiedzi piśmiennej. Widzieliśmy



na własne oczy żydówkę, wkładającą tamże petycję, zapłaciła za to trzy franki i jest pewną, że ją duch Abrahama wysłucha. Muszą tam księża muzułmańscy tak robić, jak niegdyś robili Jezuici w Fryburgu, gdzie istniała podobna dziura supplikowa w kościele kolegium jezuickiego. Adressowano *tamtędy* proźby, nie do Abrahama, lecz do św. Ignacego Lojoli i otrzymywało czasem dobre z tego skutki, tajemniczemi, cudownością tchnącemi drogami. Po wyproszeniu tego bractwa w r. 1847 przez armię federalną, żadna supplika już nie skutkowałą: dziura pozostała zupełnie nieczułą na proźby wiernych.

Dzięki usłudze jednego z oficerów tureckich, mogliśmy bez wystawienia się na niebezpieczeństwo, zwiedzić dziedziniec cytadeli nowo wzniesionej na jednym wzgórzu, tuż po za miastem. Garnizonem tam stały dwie kompanie nowo uformowane zuawów ottomańskich, które swemi szasopotami dali się Beduinom straszliwie we znaki przed kilku dniami: położyli ich na placu przeszło 300 między Hebronem a morzem Martwem.

Oficer oprowadzający nas, był właśnie instruktorem tej nowej broni, paryżaninem z rodu. Służył jako francuzki zuaw w Algierji przeciw Kabailom, we Włoszech przeciw Austryakom, później jako Cesarsko-Meksykański zuaw przeciw republikanom, jeszcze później jako pontyfikalny przeciw Garibaldićzykom, teraz przeszedłszy do obozu Turków i pod sztandar Mahometa, służył przeciw Beduinom w randze porucznika, już nawet otrzymał dekoracyę Medżida. Nie bardzo pan de Mornay chciał w nim uznać brata i ziomka, owszem, obchodził się z nim zimno, prawie opryskliwie, nie mógł mu wybaczyć zbisurmanienia. Jednakże Morand-Effendy obronił go przeciw Arabom, którym się nasz rycerz naraził swą kokieterią z arabkami, tu w Hebron wcale nie zalotnemi, jak betanianki ani też pięknemi jak betlehemki, lecz raczej silnemi, ogromnemi i surowemi, gotowemi do brutalstwa i do walki nawet. Bez wdania się renegata w sprawę, pan de Mornay byłby został zbity na kwaśne jabłko, przez te mężczyźniaki, umiejące władać pięścią i drewnem.

Zuawi ottomańscy, ubrani są w lejbiki granatowe, wyszywane na rękawach czerwonymi sznurkami, w hajdawery czerwone, dochodzące tylko do kolan, nogi pozostają gołe, stopy zaś są odziane sandałem. Każdy ma czerwoną koldrę, służącą za płaszcz i zawieszoną na tornistrze, uzbrojeni są w doskonałe karabiny tylcowe i w pałasz służyć mogący za bagnet. Na głowie noszą zwyczajny fez. Oficerowie noszą buty i wyszyte mają rękawy mniej więcej suto złotem. Morand-Effendy nie żali się na swoje położenie, pobiera poczwórny żołd, trzyma sobie konia i dwie żony, spodziewa się zostać wkrótce kapitanem i chętnie pije wino.

Zaprowadził nas potem do jednego właściciela ogrodu Araba—izraelity, słynnego z swych win, z owoców i z doskonałości swych wyrobów nabiałowych. Był to wielebnie wyglądający pięćdziesięcioletni Arab, z piękną czarniuteńką brodą. Przyjął nas bardzo grzecznie ofiarując natychmiast kawę, wino, jaja, placki i co miał najlepszego. Oświadczyliśmy mu wręcz, że pragniemy jeść i pić à discretion to znaczy, co się zmieści za dwa franki na głowę. Przystał na to chętnie oświadczając, że jesteśmy niezdolni tyle przejeść i tyle wypić nawet za tydzień.

— Nie troszcz się o to Abrambik, ja starczę za czterech,—rzekł mu Morand i istotnie wziął się energicznie do dzieła. Fig lepszych nie jedliśmy nigdy, chyba w Efezie, — rosną one na dziko rozrosłych, brzydko rozkrzewionych drzewach z małym liściem.

— Nie możnaby chodować tego drzewa lepiej i dać mu kształt nadobniejszy?—spytał Abrambika.

— Figę nudzi chodowanie,—odpowie Arab—chce rosnać dziko i przybierać takie dziwaczne kształty. Winorośl, znowu lubi być chodowaną i wyradza się bujnie bez pomocy człowieka. W dawnych czasach kiedy jeszcze drzewa i wszystkie rośliny gadały, jeden z ogrodników, niezadowolony z urodzaju jednego winorośla swojego, powiedział mu z gniewem: „skąpo mi wydajesz, zabiję cię, obetnę cię aż do korzenia“. Na to mu winorośl: „to nie pomoże, na wiosnę wyrosną mi nowe gałęzie i owoc będą wydawać obfity“. „Więc ci

spalę gałęzie, i tak cię zgładzę“.--„I tem mnie nie zabijesz,—gałęzie mi jednak odrosną, zaręczam ci słowem honoru“, — rzecze winorośl. — „Więc cię utopię w wodzie i zgnijesz“.— „Wybudaj lepiej jak kiedykolwiek“, odpowie śmiejąc się winorośl. „Więc cię opuszczę i pójdę sobie precz“ rzecze nareszcie ogrodnik. „Oh zlituj się panie“ zapłaczę teraz winorośl, „tego nie rób, musiałabym zginąć będąc opuszczoną przez ludzi“. Udobruchał się ogrodnik, pozostał, chodował swą winorośl, która jeszcze istnieje.

Lubił nasz ogrodnik legendy, tradycje, porównania, bajki i przypowieści. Przy zdarzonej sposobności opowiem, co nam opowiedział zupełnie nieznanego o mądrości Salomona i o cnocie królowej Saby, która umyślnie doń zjechała, by sprawdzić tę jego słynną mądrość.

Daliśmy mu Napoleona złotem, a on ucieszony naszą hojnością, podarował nam przeszło tuzin żywych przepiórek, które złowił tej nocy pod siecią, gdyż był przelot tego ptastwa. Nuna uplotła natychmiast z gałązek wierzbowych koszyk i wzięła ze sobą tę zwierzyne, którą przeznaczylśmy dla Azzimy.

Nakarmieni, lecz znużeni gorącem, wróciliśmy do domu pani Nathanowej i udaliśmy się na spoczynek, bośmy wszystko już zwiedzili, co tylko można zobaczyć w Hebron.

Byłbym chętnie zaprosił Moranda na obiad, lecz prócz Amerykanina i Nuny, wszyscy wręcz oświadczyli, że z renegatem niechęcą jeść przy jednym stole. Przechywał to z resztą wyklęty, gdyż nas pożegnał grzecznie lecz sucho, oświadczając, że jest proszony na obiad do Kuper-Aali-Beya, co wiem, że było nieprawdą.

Niestety, ja się w ciągu mych podróży po Turcyi przyzwyczaiłem do przestawania z renegatami, z owymi nieszcześliwymi, w nie dobrze niewierzącymi ludźmi, z którymi kolegowałem niegdyś na ławkach szkolnych, później w szeregach. Nie jeden z nich prześladował mnie niegdyś jeszcze w szkołach za moje wyznanie, na śmiech mnie wystawiał... Ja mojej nie opuściłem wiary, bo ona wsparta na rozumie i na głębo-

kim uczuciu, nie może być zachwianą niczem, a przeciwności tylko ją szczerzej w serce moje wplatały, wykryształizowało. Oni zaś, — Boże ulituj się nad nimi, jeszcze nim ich śmierć zaskoczy; opuszczać Chrystusa obiecującego nam królestwo Boskie nie wolno bezkarnie.

Pani Nathanowa, wystawiła nam suty obiad, podała go czysto i pięknie, na talerzach szklanych tutejszego wyrobu, a tak mocnych, jak najlepsze fajansowe. Hebron słynie ze swych wyrobów szklanych, to dowodzi, że tu nie braknie ani dobrego piasku, ani drzewa. Przeszło trzysta ludzi zatrudnionych jest tym wyrobem. Umieją dać hart temu szkłu tak, że w garnkach szklanych tutejszych gotować można, nie przy ogniu, lecz nad ogniem. W skład tego szkła wchodzi ołów, tak jak w szkło kryształ naśladowujące.

Kupiliśmy tych garnków kilkanaście, przez co wystawiliśmy się na nie małe kłopoty, przewozić bowiem rzeczy łamliwe po tych drogach tylko przez jedną godzinę, to już tantalowska praca i kłopoty wyrównywające kłopotom owej poczciwej baby, która ich niemając sobie kupiła protegowanego przez świętego Antoniego Opata — śpiewaka. Ale tak kobiety chciały — sic fata voluerunt.

Strasznieśmy się rozochocili przy obiedzie w tem świętem miejscu, i aby wyrzec ochęć na coś pożytecznego, biblijnego, młodsza część naszego towarzystwa, nawet serjozny missjonarz, zgodziła się na propozycję don Abrahama i sprowadziła sobie muzykę dyrygowaną przez starego Lajbę, zawołanego cymbalistę Pinczowskiego, który przybył przed dwoma laty do Palestyny, by umrzeć i być klassycznie pochowanym w Józefata dolinie, lecz który swym prawdziwym talentem wybrnął z biedy, choroby i starości, i włączając się z swemi dwoma pomocnikami z jednego miejsca Palestyny do drugiego, potrafił uciuć sobie cokolwiek grosza i nowy kontrakt zawarł z życiem. Znał wszystkich obywateli w okolicach Pińczowa mieszkających, a pomiędzy nimi wielu było kolegów moich ze szkół, z wojska, z tułactwa, a nawet powinowatych i krewnych. Beczał z rozrzewnienia, gdy we mnie po-

znał człowieka tak dobrze z owym krajem obznajmionego, i napiwszy się dzielnie starego hebronu, jał się do cymbałek, i z nich wydobywał tony, którychby się Rubinstein, Wieniawski i Lewandowski nie powstydzili. Wtórował mu Icyk jego wnuk na cymbałach i Farkasz cygan węgierski na skrzypcach. Umieli grać kontredanse, reale, walce, cholupce, oberki, sztajery, czardasze, fandangi, a nawet mazury i krakowiaki, — umieli grać wszystko, co jakikolwiek bądź naród mogło pobudzić do ochoty.

Przedwczoraj tańczyliśmy z mnichami, dziś tańczemy z ładnymi kobietami wszelkich stanów, z rozwódkami, wdowami, mężatkami i pannami, — ale tańczyliśmy tylko takie tańce, w których się nie bierze kobiety za pas, tu bowiem zupełnie inne niewiasty pielęgnują wyobrażenie o swej godności i nie pozwalają ścisłejszych zbliżeń — in publico.

Jeden tylko ojciec Soragna tańczyć niechciał, zapewne jedynie z powodu swej długiej brody, która rozplatając się ruchem, stałaby się śmieszna, a nawet niewygodna. Van der Bulben a nawet pan Stick, tańczyli do późnego wieczora, ale nie do białego dnia, tak jak się to robi w wesołej Warszawie.

Tym razem spaliśmy lepiej jak ostatniej nocy pod olbrzymim drzewem Abrahama.

Już bardzo rano, zaraz po świcie, puszczaamy się w podróż powrotną do Jerozolimy, prostą, najbliższą drogą przez Betlehem, przez to lube nam wszystkim miasto.

Wyszedłszy z urodzajnych gruntów Hebronu, wstąpiliśmy znów w puszcę nie tak odludną, dziką, rozpaczliwą i uciążliwą, jak owe przez które dotychczas przedzierać się musieliśmy. Tu przecież nigdzie jakiś ślad roślinności nie znikał nam z oczu.

W Mareth odpoczęliśmy godzinę. Była to mała osada Azasów Dawida miastem obronnem i nieraz się o nie bito zapamiętane.

I przez tę okolicę przeszedł archanioł zniszczenia i stóp swych niezatarte pozostawił ślady.

Deszcz kroił prawie bezprześcannie i znakomicie nam ułatwił podróż. Jeszcze przed wieczorem byliśmy

w Betlehem i w godzinę po zawarciu bram stanęliśmy pod murami Jerozolimy.

Nasz firman i spory bakszysz utorował nam drogę przez bramę św. Szczepana.

Jestem znów w ojczyźnie, to jest w szpitalu, w którym Bogu dzięki nic nie zaszło złego.

Ale Azzima zapadła na odrę w domu biskupa anglikańskiego i Mylady biskupowa wręcz mi oświadcza, że mi jej już nie odda, że chce być jej opiekunką, że ta młoda, dobra, ale już wrażliwa osoba, nie powinna mieszkać pod jednym dachem z missjonarzem tak młodym jak jest pan Stick, który pod wszystkimi względami jeszcze sam siebie znać nie może i przez zbytnią niewinność może sam siebie i innych wystawiać na pewne pokusy, które — które — przecież djabeł nie śpi — mogą zamącić pokój i duszę...

Słowem nie mam kucharki.

Szczęściem, że moja poczciwa Nuna ofiaruje mi się służyć za kucharkę, najwierniej i najpokorniej i bez żadnych zasług.

## ROZDZIAŁ XIII.

### Cholera Azyatycka w Jerozolimie.

Pospolicie najniezwyklejsze warstwy towarzystwa jakiegokolwiek bądź narodu, nie bardzo są skłonne do zbytniego trwożenia się obawą i postrachem, które wznieca zbliżająca się, nieubłaganie coraz prędzej nadchodząca epidemia, lecz i w tem dość zogólnionym prawie, zdarzają się wyjątki. Ubodzy muzułmanie jerozolimscy wiedzieli, że nadchodzi cholera, a przesiąkli stoicyzmem fatalizmu mahometańskiego, nie okazali żadnej widocznej trwogi, lubo wierzyli w *epidemię*, lecz także i w zaraźliwość cholery azyatyckiej pomimo że i do dziś dnia nie wszyscy najgłębiej uczeni teorytycy i najrzęczniejsi praktycy wierzyć w to nie raczą, nawet w Niemczech, gdzie w kale wyrzuconym jakimikolwiek bądź drogami z cholerycznych Dr. Halle odkrył drobne pasożyty, które nietylko życia nie zatrują gdy z po za organizmu schorzałego wyjdą, lecz którym nawet podobno skrzydelka wyrastają, tak, że zarazę roznieść są w stanie od jednego miejsca do drugiego wcale odległego, pędzone wiatrem jak szarańcza, lub nawet obłokami i deszczem, nawet śniegiem.

Basza Jerozolimski dość tłusty, lubo zaledwie 38 lat liczący dygnitarz, którego później poznamy, spędził lat ze sześć czy siedem w najczelniejszych stolicach Europy, i lubo nie pogardzał szumnym życiem w wytwornych a nawet hulackich towarzystwach, sumiennie jednakże zwracał okomiar na wszystko, co pod najmniej-

szym względem mogło dotyczyć życia muzułmańskiego, którego sam nam to wyznał, od bardzo dawna widział osłabiające się tętno. A z prawdziwą boleścią serca spostrzegał te martwiące objawy, był bowiem szczerym patriotą, upójsstwa się nie nauczył, ani w Londynie, ani nawet w Berlinie, niewyszeptał się z wiary w usilność rozumu i woli ani w Paryżu, ani w Rzymie i ufał w siebie samego, wyposażony do tego wcale dobrze siłą i sprężystością.

Jednakże nasz wyjątkowo dobrze i zdrowo ucivilizowany patriotyczny basza, straciwszy z pół tuzina żon muzułmańskich różnego koloru, kalibru i zapachu, na cholere, ospę, petocie, suchoty, i obdarzony przez nie tuzinem dzieci rozmaitych rodzajów, kształtów i uosobień, wyszukał sobie nareszcie zdrową, ładną i roztropną chrześciankę Alzaczkę i połączył się z nią, nie odstępując swej wiary i nie wymagając od niej odstąpienia własnej, węzłem nierozzerwalnego i jednożeńskiego małżeństwa, za co nie bardzo był dobrze widzianym przez owego wówczas jeszcze żyjącego, dziś nieboszczyka Padiszacha, nie gardzącego wcale, ani sfermentowanym sokiem winnicy, ani fermentującymi córkami Grecyi, Italii i Gallii.

Istotnie Diar Bekir Basza został tu za karę przesłany do Jerozolimy, gdzie dla magnata tureckiego kres działań szczupły, nudny a nawet niebezpieczny.

Dziwić się odwadze Alzaczki, także nie można. Już od wielkiej rewolucyi Francuzkiej, kiedy Izraelita francuzki dostąpił praw człowieka i obywatela i kiedy ślub cywilny był z konieczności prawa uważanym za dostateczny, chrześcianki obu wyznań skłoniły się chętnie do wejścia w związki małżeńskie z kilku Izraelitami, którzy w służbie wojskowej francuzkiej zdołali się odznaczyć, i zostali ozdobionemi bronią, później zaś oznakami honorowemi. Później szły i za cywilnych i niedekorowanych, teraz idą i za muzułmanów pod warunkiem monogamii i pod drugim, przesłaną pod potężną protekcją rządu, do którego obecnie należy owa Alzacya, zaczynająca się bardzo dobrze oswajać z berłem swojej własnej narodowości — i swego własnego języka.



Tym sposobem wkracza germanizm nawet w życie muzulmańskie i kto wie, czy się weń nie wszczepi zdrowo, silnie i czy plony nie wyda bardzo pocieszające, dla prawdziwego filozofa, to jest dla filozofa humanitarnego, którego jest największą rozkoszą patrzeć na doskonalące się plemię ludzkie, i w nim upatrywać nadzieję urzeczywistnienia tej naszej tęsknej prozby: *adveniat regnum Tuun*.

Pani Baszowa stała się godną zaufania, które w niej położył małżonek: dobrze mu wychowuje różnokolorowe dziatki, spłodzone mu przez nubijkę, maurytankę, czerkieskę, mulatkę, etiopkę i arabkę, i jak się właśnie dowiaduję, jeszcze mnoży jego rodzinę własnymi utworami, które karmi własnym mlekiem systematycznie, według prawideł najrozumniejszej i najświętszej higieny.

Powinności swego własnego wyznania wiernie dopełnia; nie wychodząc jednakże prawie nigdy do kościoła, tylko koncentruje się w tym świętym kościele, które zwolennik prawdziwego Chrystusa zawsze nosi w swem sercu. Widuje się dość często z biskupem angikańskim i z innym pastorem swego wyznania, naturalnie w przytomności małżonka, a nawet żon tych duchownych, — przyjmuje nawet katoliczki zezwalające na powierzenie swych cnót murom haremu, a jedną z tych dam jest nasza zacna ex-księżna.

Wiemy z pewnością, że Diar-Bekir Basza uwiadamił o nadchodzącej z Egiptu pladze, nalegał na żonę, by się z całym haremem przenieśli na góry Libanu, osłonięte cedrami, jodłą i cyprysem i innymi iglasami drzewami, gdzie prawie nigdy, ani dżumy, ani dury, ani cholery nie dotrą, — lecz baszowa, córka Wosegów dzielnego plemienia, chciała dać dla dobra ogółu dowód odwagi, a zarazem przezorności, nietylko nie opuściła stanowiska, lecz wymogła na małżonku, by wszelkie przedsięwziął środki ostrożności, któreby zdołały od miasta, stosunkowo do obszaru bardzo ludnego, odwrócić klęskę mu grożącą, lub przynajmniej stępić, ułagodzić, umniejszyć jej szkodliwe, śmiercią tyła ludziom grożące skutki.

Obrona przed cholera, powinna być rzeczą nie tylko każdego człowieka, lecz nawet całego państwa, alez gdzież tu w jakimkolwiek zakątku państwa Otomańskiego pomyśleć o wielkich kosztownych, a zatem skutecznych srodkach zaradczych, o kwarantannach, o osuszaniu gruntów błotnistych, o usuwaniu gnicia wypróżnień, o srodkach dyzinfekcyjnych przez chlorki, siarczany żelaza, palenie prochu armatniego, kiedy w kolebce światła europejskiego, w rajskiej Italii lat temu kilka, w r. 1873, Minister spraw wewnętrznych, którym przypadkowo był wówczas Doktor medycyny pan Lanzi, do tego stopnia nie wierzył w zaraźliwość cholery, że pomimo praw już istniejących wówczas zwiedziwszy Ankonę, gdzie wówczas właśnie wybuchła cholera z wilczo-zjadliwą wściekłością, nie raczył się poddać dizinfekcyi powracając do Rzymu, bo sam mając kaszel, znieść nie mógł wyziewów chlorkowych, wprawdzie nader niewygodnych kaszlącym. I nie poddała się Jego Ekscelencya ustanowionym prawom, złamała prawo, *duram et proclamatam legem*, i zawlokła cholera do Rzymu, zaraziła własną rodzinę i także też nie długo popasała pod błogiem azurowym niebem krainy, w której kwitnie i dojrzewa zarazem tysiąc pomarańcz, na jednym i tem samym drzewie! Pan Lanzi dla swego własnego kaszlu zapomniał, że przed pięciu laty uznał cholera za zaraźliwą, tak jak pan Crispi, stając się ministrem wewnętrznym, tegoż samego niebieskiego kraju, zapomniał na śmierć, że dziesięć lat temu ożenił się z damą, że ta żyje jeszcze i — zawarł związki małżeńskie z inną.

Zadnych zatem nie przedsięwzięto w paszalicu Jerozolimy srodków zaradczych państwowych, przeciw wkraczającej klęsce. Jednakże dzięki wpływowi pani baszowej, urodzonej pannie Rauschenbach i jej doradcom, dzięki także ludzkości i patryotyzmowi Diar-Bekir Baszy, zawiadomiono ludność Jerozolimy, i wszystkich okolicznych miast i miasteczek, lakonicznemi, olbrzymiemi, czerwonymi zgłoskami, wytłoczonymi na plakatach o zbliżającej się pladze.

Jednego pięknego poranku, znaleziono na stu rogach ulic następujące obwieszczenie:

Tym sposobem wkracza germanizm nawet w życie muzułmańskie i kto wie, czy się weń nie wszczepi zdrowo, silnie i czy plony nie wyda bardzo pocieszające, dla prawdziwego filozofa, to jest dla filozofa humanitarnego, którego jest największą rozkoszą patrzeć na doskonalące się plemię ludzkie, i w nim upatrywać nadzieję urzeczywistnienia tej naszej tęsknej prozby: *adveniat regnum Tuun*.

Pani Baszowa stała się godną zaufania, które w niej położył małżonek: dobrze mu wychowuje różnokolorowe dziatki, spłodzone mu przez nubijkę, maurytankę, czerkieską, mulatkę, etiopkę i arabkę, i jak się właśnie dowiaduję, jeszcze mnoży jego rodzinę własnymi utworami, które karmi własnym mlekiem systematycznie, według prawideł najrozumniejszej i najświętszej higieny.

Powinności swego własnego wyznania wiernie dopełnia, nie wychodząc jednakże prawie nigdy do kościoła, tylko koncentruje się w tym świętym kościele, które zwolennik prawdziwego Chrystusa zawsze nosi w swem sercu. Widuje się dość często z biskupem anglikańskim i z innym pastorem swego wyznania, naturalnie w przytomności małżonka, a nawet żon tych duchownych, — przyjmuje nawet katolicki zezwalające na powierzenie swych cnót murom haremu, a jedną z tych dam jest nasza zacna ex-księżna.

Wiemy z pewnością, że Diar-Bekir Basza uwiadamiy o nadchodzącej z Egiptu pladze, nalegał na żonę, by się z całym haremem przeniósł na góry Libanu, osłonięte cedrami, jodłą i cyprysem i innymi igłami drzewami, gdzie prawie nigdy, ani dżumy, ani dury, ani cholery nie dotrą, — lecz baszowa, córka Wosegów dzielnego plemienia, chciała dać dla dobra ogółu dowód odwagi, a zarazem przezorności, nietylko nie opuściła stanowiska, lecz wymogła na małżonku, by wszelkie przedsięwziął środki ostrożności, któreby zdołały od miasta, stosunkowo do obszaru bardzo ludnego, odwrócić klęskę mu grożącą, lub przynajmniej stępić, ułagodzić, umniejszyć jej szkodliwe, śmiercią tyła ludziom grożące skutki.

Obrona przed cholera, powinny być rzeczą nie tylko każdego człowieka, lecz nawet całego państwa, ale gdzie tu w jakimkolwiek zakątku państwa Otomańskiego pomyśleć o wielkich kosztownych, a zatem skutecznych środkach zaradczych, o kwarantannach, o osuszaniu gruntów błotnistych, o usuwaniu gnicia wypróżnień, o środkach dyzynfektacyjnych przez chlorki, siarczany żelaza, palenie prochu armatniego, kiedy w kolebce światła europejskiego, w rajskiej Italii lat temu kilka, w r. 1873, Minister spraw wewnętrznych, którym przypadkowo był wówczas Doktor medycyny pan Lanzi, do tego stopnia nie wierzył w zaraźliwość cholery, że pomimo praw już istniejących wówczas zwiedziwszy Ankonę, gdzie wówczas właśnie wybuchła cholera z wilczo-zjadliwą wściekłością, nie raczył się poddać dizynfektacyi powracając do Rzymu, bo sam mając kaszel, znieść nie mógł wyziewów chlorkowych, wprowadzie nader niewygodnych kaszłącym. I nie poddała się Jego Ekscelencya ustanowionym prawom, złamała prawo, *duram et proclamatam legem*, i zawlokła cholera do Rzymu, zaraziła własną rodzinę i także też nie długo popasała pod błogiem azurowym niebem krainy, w której kwitnie i dojrzewa zarazem tysiąc pomarańcz, na jednym i tem samym drzewie! Pan Lanzi dla swego własnego kaszlu zapomniał, że przed pięciu laty uznał cholera za zaraźliwą, tak jak pan Crispi, stając się ministrem wewnętrznym, tegoż samego niebieskiego kraju, zapomniał na śmierć, że dziesięć lat temu ożenił się z damą, że ta żyje jeszcze i — zawarł związku małżeńskie z inną.

Żadnych zatem nie przedsięwzięto w paszaliu Jerozolimy środków zaradczych państwowych, przeciw wkraczającej klęsce. Jednakże dzięki wpływowi pani baszowej, urodzonej pannie Rauschenbach i jej doradcom, dzięki także ludzkości i patriotyzmowi Diar-Bekir Baszy, zawiądomiono ludność Jerozolimy, i wszystkich okolicznych miast i miasteczek, lakonicznemi, olbrzymiemi, czerwonymi zgłoskami, wytłoczonymi na plakatach o zbliżającej się pladze.

Jednego pięknego poranku, znaleziono na stu rogach ulic następujące obwieszczenie:

„Ludzie! my wszyscy bez wyjątku, zasłużyliśmy na karę Boga. Zbliża się ona w postaci znanej nam ze zjadliwości choroby zwanej *cholera czarna*“.

Drugiego dnia obwieszono: „Kto w niebezpieczeństwie mądry i ludzki, ten wiele grzechów z karku swojego zwala i na pobłażenie Boga zasłuży“.

Trzeciego dnia: „Spożywaj tylko dwa razy na dzień mało, pożywne proste rzeczy, nie wzniecaj apetytu jęczącymi pokarmami—aby ci wystarczyło na udzielenie pokarmu bliźnim w bliskości ciebie pozostającym, bo i głód usposabia do zachwycenia grożącej choroby“.

Czwartego: Kto niekoniecznie potrzebny w naszym na obręb zbyt ludnym mieście, niech się zeń wyniesie. Zmuszonym do tego nikt atoli nie będzie. Gniew, troski, smutek przyciągają chorobę. Rozmyślaj o czekających cię po pogodnej śmierci szczęściach w raju“.

Piątego dnia: „Brzuch utrzymuj w ciepłe przepaską fanelową i taką rozdaj przynajmniej pięciu z twych biednych sąsiadów, żeby nawet byli twemi wrogami“.

Szóstego dnia: „Jeśli masz siłę, to wychódź codziennie z rydłem po za miasto i głęboko zakopuj w ziemi swoje kały, by cię nie zarażały“.

Siódmego: „Żadnych innych trunków nie używaj prócz kawy czarnej, ukropu mięty, ryżu, walerjany, anielskiego korzenia, wody nie pij bez kilkunastu kropli raki (rodzaju wódki pędzonej z gummy elemi, a smakiem podobnej do kminkówki).“

Ósmego: „Czystość najskrupulatniejsza, pogoda umysłu, ludzkość, modlitwa, — lecz w uodosobnieniu, wszelkiego skupienia unikanie, bo gdzie wielu ludzi odrycha, tam powietrze nieczyste“.

Następne rady udzielane patryarchalnie, lakonicznie i prawie biblijnie, wchodzące już daleko więcej w szczegóły życia i pod względem estetyki nie mają prawa podobania się ogółowi czytelników, szukającego cieniów w każdym dziele przeznaczonym do srogiej krytyki, z powodu osobistości jego autora. Winniśmy tedy wstrzymać się od ich ogłoszenia, chociaż to prawdziwie ujmę czyni wartości naszej pracy.

Jednakże winniśmy zaręczyć, że owe rady, dane publiczności bezimiennie, lecz jak każdy odgadł za pozwoleniem i z woli rządu, skutecznie nań wpłynęły. Nie każdy muzułmanin jerozolimski umiał czytać, owszem analfabetów w tem mieście pomiędzy wierzącymi znajdzie jeszcze prawie tylu, ilu ich było w Neapolu niedawno temu, pod błogiem rządem burbonów, mnichów i dewotek, lecz jeden czytał owe plakaty drugiemu, a że były krótko i treściwie skreślone i małych dozach codziennie podawane, więc na mózgi wyskokiem nie zalewane, i na wiarę chroniczną podejrzliwośćią niezachwianą, wywarły wcale korzystne i trwałe wrażenie. Mielśmy sposobność przekonania się, że się dzieci koranu zastosowały sumiennie do podobnych rad i że spokojnie, przygotowani na wszystko, oczekiwali grożącego im wroga.

Nie tak żydzi, najnędniejsi pod wszystkimi możliwymi względami, mieszkańcy odwiecznego świętego miasta. Znaczna ich liczba przybyła tu umyślnie, ale najwięcej z dawnych polskich krain, by tu umrzeć spokojnie i być pochowaną na Józefata dolinie, gdzie ich trąba Archaniola zawezwie do wiecznego życia majestatycznej chwały. Wielu, bardzo wielu z tych wychodźców, wyżebrało sobie koszta podróży, poddając się niesłychanym niedogodnościom, niebezpieczeństwom i upokorzeniom. Żyją tu chlebem wyżebranym od chrześcian, muzułmanów i izraelitów, nigdy nie pracując, ani nawet szachrując, bo na to im nie starczy czasu, całkiem bowiem modlitwie i obrządkom religijnym są oddani—i spokojnie oczekują śmierci, śmierci głodowej, nadchodzącej nieubłaganie, ale powoli, paulatim, adagio. Na tę śmierć najzupełniej przygotowani i uzbrojeni byli, lecz nie na inną, bo jak się tylko rozgłosiło, że cholera przeszła przez puszcę Kadesz-Barnea do Palestyny niższej, natychmiast większa połowa żydów i żydówek, przybyłych tu z daleka na wolne i powolne wymarcie, pierzchła z Jerozolimy mokrą i suchą drogą, jedni nazad do obrzydłej im Europy, drudzy do nienawistnej im Galilei, do ojczyzny Jezusa Chrystusa, bo na to przystać w żaden sposób niechcą, żeby On się był rodził w Betlehemie, w świętej ojczyźnie Da-

wida, tylko Go uważają za nazareńczyka. Umrzeć powoli z głodu i z niewygód—à la bonne heure, na to chętnie przystają, — ale być uduszeni przez cholere w parę godzin, albo nawet tylko w pół godziny, jak się to niestety zdarza— ah pfe! to trefne, już raczej wolą uciec z Jerozolimy i wrócić, jak cholera minie.

Wielu też innych cudzoziemców pierzchło z Jerozolimy, naprzód nasz junacki hrabia de Mornay, kawaler św. Grobu, niepomny na przysięgę złożoną przed ołtarzem św. Maryi Magdaleny, że w potrzebie będzie pełnił obowiązki szpitalne, w razie pojawienia się zarazy w odwiecznym mieście, w którym Chrystus został umęczony. Niewiele znać dbał o tę zasługę i niewiele więcej okazał się mężniejszym od swych entuzjastycznych współbraci zuawów pontyfikalnych, którzy walczyli tak nieszczęśliwie pod Castelfidardo, Mentona, w Rzymie i na tyłu polach bitw w własnej ojczyźnie w 1870 roku...

Nasi przyjaciele Jezuita także odwołani zostali do Sahleb w Syryi, gdzie pełnili obowiązki profesorów sławnego kolegium Jerozolimskiego. Młody ojciec Van der Bulben chętnie się oddalał od zagrożonego morową zarazą miejsca; nie tak podeszlejszy i waleczniejszy ojciec, książę Soragna: powziął on szczerą przyjaźń dla idei postępowych i dla naszej nieszczęśliwej, zawsze jeszcze pięknej i dość młodej ex-księżnej, która, niezwalczona żadnymi niedolami, postanowiła pozostać w mieście, do którego przybyła po odrośnięcie włosów, i dać w niej, w trudnych czasach dowody owego chrześcijańskiego, bezgranicznego poświęcenia, do którego jej szlachetna, siebie samej wyrzekająca się dusza najzupełniej była gotową. Polot tej duszy wybujał w ostatnich czasach do wysokiej potęgi, nie wiem, czy to dzięki obcowaniu z ojcem Soragna, czy to rozmowom z nami, owego ciemżonego, znieważanego, biczowanego, zakatowanego a jedynie zupełnie świętego Chrystusa szczeremi zwolennikami.

To tylko wiem i to zobaczymy w końcu tej książki, jeśli czytelnikowi starczy zdrowia i cierpliwości, że w sześć miesięcy potem, ex-księżna w Malcie zaślubiła najregularniejszym ślubem księcia Soragnę. On wcale

nie przestał być katolikiem, ani księdzem, wyborne mówi kazania w kościołach kollegialnych i katedralnych, przytem msze odprawia, spowiada, komunią udziela, i maści ostatecznie, tak jak inny ksiądz katolicki, tak jak księża innych wyznań, co wszystko to odbywają i jeszcze obok tego żonę pielęgnują, własne dzieci na ramionach kołyszą, i nie łakomią się na cudze dobro i szczęście.

Zobaczmy go w pełnieniu tych wszystkich świętych i naturalnych obowiązków, a jeszcze większe dlań poszanowanie zdobędziemy.

To jednakże dla pocieszenia dewotek, któreby przejście ks. Soragna z neo do starokatolicyzmu zgorzzyć by mogło, dodać winniśmy, że nowożeniec zgubił swą ogromną ryżą brodę, która raczej jak olbrzymia miotła wyglądała, że teraz nosi na głowie elegancki cylinder, a na innych częściach ciała okoliczności czarne, czego nigdy nie robił, dopóki był Jezuitą, bo jak wimy, ubierał się tak, jak inni ojcowie jezuiti w Syrii.

Nie opuścił nas jednakże ani kapitan Robinson, choć tak swywolny i płochym rozkoszom życia zbytecznie oddający się, ani też młody missjonarz angielski, oddany posłannictwu swojemu z taką gorliwością, z takim poświęceniem, z jakim tylko rzeczywisty sługa Bóży może być objawcą prawdziwej Chrystusowej wiary, przypuszczającej do wiecznego Nieba wszystkich, co w Boga, Ojca Chrystusowego wierzą. On wybaczy temu co wierzy w coś więcej, chociaż woli by wierzone tylko w to, co istotnie jest.

Szczęśliwy młody missjonarz dokonał najpiękniejszego dzieła, jakiego człowiek dokonać może, — przeprowadził na łono Kościoła chrześcijańskiego czystą duszę, serce wielkie i proste, a jasny rozum mej młodej, dobrej murzynki, Azzimy. Ceremonia egzaminu i chrztu odbyła się w koncu Października solennie w kościele anglikańskim, wobec prawie wszystkich chrześcijan wszystkich wyznań (prócz księży i mnichów, rozumie się), bawiących w Jerozolimie, a matkami chrzestnymi była sama małżonka celebrującego biskupa anglikańskiego, sama pani baszowa, choć żona muzułmana, pani Roux (ex-księżna), chociaż katoliczka i jakaś zamożna angiel-



wida, tylko Go uważają za nazareńczyka. Umrzeć powoli z głodu i z niewygód—à la bonne heure, na to chętnie przystają, — ale być uduszeni przez cholere w parę godzin, albo nawet tylko w pół godziny, jak się to niestety zdarza— ah pfe! to trefne, już raczej wolą uciec z Jerozolimy i wrócić, jak cholera minie.

Wielu też innych cudzoziemców pierzchło z Jerozolimy, naprzód nasz junacki hrabia de Mornay, kawaler św. Grobu, niepomny na przysięgę złożoną przed ołtarzem św. Maryi Magdaleny, że w potrzebie będzie pełnił obowiązki szpitalne, w razie pojawienia się zarazy w odwiecznym mieście, w którym Chrystus został umęczony. Niewiele znać dbał o tę zasługę i niewiele więcej okazał się mężniejszym od swych entuzjastycznych współbraci zuawów pontyfikalnych, którzy walczyli tak nieszcześnie pod Castelfidardo, Mentoną, w Rzymie i na tyłu polach bitw w własnej ojczyźnie w 1870 roku...

Nasi przyjaciele Jezuita także odwołani zostali do Sahleb w Syryi, gdzie pełnili obowiązki profesorów sławnego kollegium Jerozolimskiego. Młody ojciec Van der Bulben chętnie się oddalał od zagrożonego morową zarazą miejsca; nie tak podeszlejszy i waleczniejszy ojciec, książę Soragna: powziął on szczerą przyjaźń dla idei postępowych i dla naszej nieszczęśliwej, zawsze jeszcze pięknej i dość młodej ex-księżnej, która, niezwalczona żadnymi niedolami, postanowiła pozostać w mieście, do którego przybyła po odrośnięcie włosów, i dać w niej, w trudnych czasach dowody owego chrześcijańskiego, bezgranicznego poświęcenia, do którego jej szlachetna, siebie samej wyrzekająca się dusza najzupełniej była gotową. Polot tej duszy wybujał w ostatnich czasach do wysokiej potęgi, nie wiem, czy to dzięki obcowaniu z ojcem Soragna, czy to rozmowom z nami, owego ciemionzonego, znieważanego, biczowanego, zakatowanego a jedynie zupełnie świętego Chrystusa szczeremi zwolennikami.

To tylko wiem i to zobaczymy w końcu tej książki, jeśli czytelnikowi starczy zdrowia i cierpliwości, że w sześć miesięcy potem, ex-księżna w Malcie zaślubiła najregularniejszym ślubem księcia Soragnę. On wcale

nie przestał być katolikiem, ani księdzem, wyborne mowi kazania w kościołach kollegialnych i katedralnych, przytem msze odprawia, spowiada, komunię udziela, i maści ostatecznie, tak jak inny ksiądz katolicki, tak jak księża innych wyznań, co wszystko to odbywają i jeszcze obok tego żonę pielęgnują, własne dzieci na ramionach kołyszą, i nie łakomią się na cudze dobro i szczęście.

Zobaczymy go w pełnieniu tych wszystkich świętych i naturalnych obowiązków, a jeszcze większe dlań poszanowanie zdobędziemy.

To jednakże dla pocieszenia dewotek, któreby przejście ks. Soragna z neo do starokatolicyzmu zgorzycić by mogło, dodać winniśmy, że nowożeniec zgubił swą ogromną ryżą brodę, która raczej jak olbrzymia miotła wyglądała, że teraz nosi na głowie elegancki cylinder, a na innych częściach ciała okoliczności czarne, czego nigdy nie robił, dopóki był Jezuitą, bo jak wiemy, ubierał się tak, jak inni ojcowie jezuiti w Syryi.

Nie opuścił nas jednakże ani kapitan Robinson, choć tak swywolny i płochym rozkoszom życia zbytecznie oddający się, ani też młody missjonarz angielski, oddany posłannictwu swojemu z taką gorliwością, z takim poświęceniem, z jakim tylko rzeczywisty sługa Boży może być objawcą prawdziwej Chrystusowej wiary, przypuszczającej do wiecznego Nieba wszystkich, co w Boga, Ojca Chrystusowego wierzą. On wybaczy temu co wierzy w coś więcej, chociaż woli by wierzone tylko w to, co istotnie jest.

Szczęśliwy młody missjonarz dokonał najpiękniejszego dzieła, jakiego człowiek dokonać może,—przeprowadził na łono Kościoła chrześcijańskiego czystą duszę, serce wielkie i proste, a jasny rozum młodej, dobrej murzynki, Azzimy. Ceremonia egzaminu i chrztu odbyła się w końcu Października solennie w kościele anglikańskim, wobec prawie wszystkich chrześcijan wszystkich wyznań (prócz księży i mnichów, rozumie się), bawiących w Jeruzolimie, a matkami chrzestnymi była sama małżonka celebrującego biskupa anglikańskiego, sama pani baszowa, choć żona muzułmana, pani Roux (ex-księżna), chociaż katoliczka i jakaś zamożna angiel-

ka, wdowa po oficerze angielskim, Lady Flirtingwell, którą później bliżej poznamy. Pomędzy ojcami chrześtnemi, był i pan Stick misjonarz. Obdarzoną została wspaniale, publiczność choć różnorodnej wiary, lecz jednego Boga czciciele, natychmiastowem i jednogłośnie w zruszeniem tknięta, złożyła się na wyposażenie neofytki; zebrano się przeszło 2,500 franków gotowizny w złocie i srebrze. Azzima ma teraz zabezpieczoną przyszłość. Lecz czy ta przyszłość potrwa długo? Rozkwita pięknie, lecz tak jak owa róża, do której wnętrza dobrał się ów cieniutki drobny robaczek—który przyspiesza rozwój gorączkowym ciepłikiem swoim i—zabija.

Znacznie się zmienił klimat w Jerozolimie: jesień nastąpiła przedwczesna, burzliwa,—nagle krążące, bardzo silne wichry, wyrrywają jak grajcarkiem duże drzewa z korzeniami, zwłaszcza takie, co wiele liścia mają, jak drzewo świętojańskie i tak nazwane drzewo Judei rodzaj olbrzymiego kwiecica i liścia akacji. Krynolinowym damom, taki wichur staje się nadzwyczaj niedogodnym, a nawet niebezpiecznym; wydyma je, wyrwca jak deszczochrony i nawet zanosi o kilkanaście kroków: jedną, właśnie żonę konsula austriackiego zaniósł aż na dach jednego z niskich domów i osadził ją tuż obok komina, którego się czepiła jak kotwicy zbawienia. Szczęściem dla moralności i wstydlivosti mieszkańców świętego miasta, że i tu, gdzie nowe mody bardzo późno dochodzą, damy zaczynają się ubierać opięto jak kiszki, ale za to przyczepiają sobie ogony, któremi tu wichry miotają, tak jak latawcami. Wielka to szkoda, że nawet cnotliwe kobiety europejskie stroją się zawsze i wszędzie w sposób dla moralności niebezpieczny, dla publiczności niedogodny, albo przynajmniej śmieszny. Kobiety muzułmańskie nie wpadają na szczęście w te zdrożności i nie wystawiają bliźnich swoich, chodząc po ulicy, na żadne pokusy. Baszowa Jerozolimy ubiera się naturalnie à la turka i tak ubrana, przyszła pod eskortą eunuchów i odalisków do kościoła anglikańskiego brać komunię i trzymać murzynkę do chrztu. Lecz jaszma, to jest zawoju nie zdejmowała, nawet podczas tych ceremonij;

kommunią pod postacią chleba wzięła sama w palce i zręcznie ją pod jaszlakiem wsunęła w usta, wino zaś z kielicha piła cyfką kryształową. Ale tęgo ciągnęła i piła dzielnie, tę jej sprawiedliwość, jako spółwyznawca i jako współuczestnik świętego obrządku, oddać winieniem. Nie wystarczyłyby gąsiory wiua, gdyby każdy z komunikantów chciał tak serdecznie obchodzić pamiątkę ostatniej uczty Zbawiciela. Widać że w haremie Diar-Bekir Basza wykląć musiał wino od stołu swej małżonki, tak że się tu od czasu do czasu winem kommunii zadawałniać musi.

Nie ma w tem nic zlego. Z resztą in vino veritas. A kto prawdę kocha, ten i Boga uznać musi, bo tylko kłamca zdoberdzie się na Jego zaprzeczenie.

Nie wiem czy pani paszowej zbiełało oko post sanctum haustum, bo choć z nią kilka razy i dość długo rozmawiałem, najmniejszego nie mam wyobrażenia o barwie jej oczu, lica, zębów i włosów. Lecz rodzona jej siostra, tu w Jerozolimie osiedlona, którą widuję prawie codziennie, utrzymuje, że do niej zupełnie podobna, a zatem musi mieć oczy seledynowe jak ryba, włosy jak len, lica jak pomidor, a zęby jak wosk. Ta siostra poszła za mąż także za najzupełniej niechrzzonego członka ludzkości, pana Izaaka Flohberg, który, jak to z nazwiska odgadniemy, nie jest muzułmaninem, lecz izraelitą, bankierem, fabrykantem wyrobów tabacząnych, właścicielem szlachtuza koszernego, dzierżawcą kopytkowego na drodze prowadzącej do Galilei, kasyerem gminy izraelskiej Jerozolimskiej, prezesem towarzystwa dobroczynności, przedsiębiorcą szosy prowadzącej do Betlehem, właścicielem gazety żydowskiej „Wszędzie i zawsze“, drukarzem, nakładcą, architektem nowej synagogi, pełnomocnikiem baronów Rotszyld i konsulem rzeczypospolitej amerykańskiej Araukania, której prezydentem jest generał Pereira izraelita wychrzcony na katolika, ten zaś kiedyś był furierem w wojsku francuzkiem i nigdy innych szlif nie nosił prócz tych, któremi sam siebie ozdobił, proprio motu et sua sponte zostawszy mianowany prezydentem swej rzeczypospolitej, liczącej 80,000 mieszkańców. Dokładnie ją opisał nasz ziomek, pan Ignacy Domejko, w dziele po hiszpańsku napisanem.

Pojmujemy, że pan Flohberg jest dygnitarzem i dobrodziejem takim, jakich tu na naszą niedolę nie mało znamy, a chociaż nie jest jeszcze teściem książąt, ma zawsze niezaprzeczone prawo chlubienia się szwagrostwem z Jego wysokością, Baszą Jerozolimy, nosi stósowany kapelusz z strusiem plużem, szpadę ze złotą rękojeścią, mundur haftowany, lampasowe spodnie, i wcale się nie zadziwia jak go Ekszellencyą tytułują, owszem, przyjmuje to za dobrą monetę, i zawsze pomimowolnie nadyma policzki, jakby się był napił wody gazowej, gdy go ten zaszczyt spotka.

W częstych byliśmy stosunkach z panem Flohberg, nie z powodu jego posłannictwa politycznego, religijnego, kopytkowego lub literackiego, lecz z powodu mięsa, które dostawiał do szpitala; a tego byłem teraz rzeczywistym Dyrektorem, Dr. Meyer bowiem, którego małżonka raczyła zająć w stan *interessowany*, pierzchnął także przed zbliżającą się cholera, nie do Aleksandryi egipskiej, gdzie wprzód zamierzał, lecz przez Samaryę, Manasę, Izaszar, Sabulon, Galileę, Damaszek i Syryę, w góry Libanu.

Mięso liwerowane przez Flohberga szpitalowi, było wprawdzie bardzo kosztowne, lecz tak jałowem, chudem, włóknistym, słowem niepożywnem, że nim dobrze wychowane psy gardziły; moi szpitalni pacyenci ciężko narzekali, pacjentki jeszcze więcej, a najwięcej moja kucharka Nuna;—groziła mi nawet, że mnie opuści jak pies złego strzelca, i wróci do swego aptekarza do Betlehem, jeśli nie wymogę jakimikolwiek bądź sposobami, w razie potrzeby nawet obiciem, lepszego mięsa od niesumiennego liweranta.

Niemaló mnie te pogrózki strwożyły, Nuna bowiem była węgielnym kamieniem szpitala mojego i w potrzebie zastępować mnie umiała bardzo korzystnie, zwłaszcza u tak zwanej płci pięknej starozakonnej, najczęściej tak mocną warstwą świerzby i trądu pokrytej, że nieprzezwyjężony wstręt wzbudzała, nawet w lekarzu, oswojonym od lat tylu i tylu z widokiem najobrzydliwszych plag ludzkości. Pod swą śniadą, prawie gumelastyczną skórą, Nuna chociaż ekstrawagantka i sceptyk, nosiła serce tak litościwe, jakie

rzadko było pod cerą delikatną, blado-różowo kwiecistą owych eleganckich sióstr miłosierdzia, które się litują tylko nad temi, co wierzą jak one—w przesady.

— Nuno! warjatko!—rzeknę oburzony do kucharki,—ja dla skopowiny miałbym obić konsula, szwagra samego baszy? A tobym się dobrze sprawił!

— Ah—to znów prawda, o tem zapomniałam,—powie zafrasowana Nuna, a namyśliwszy się chwilkę, rozjaśniła zmarszczone czoło i rzekła: —więc sobie sama dam radę i skończę sprawę, à l'aimiable, sama go obiję na własną rękę. Mój konsul, baron Fressard, nie opuści mnie w potrzebie, chociaż jest tylko przedstawicielem makmałońskiej rzeczypospolitej.

Mniemałem że mulatka francuzka wyrzekła te słowa na wiatr, tak jak wiele innych,—tymczasem inaczej się stało: p. Flohberg bardzo drogo, bo własnym życiem, przypłacił krzywdę, wyrządzaną swym własnym chorym współwyznawcom.

Nuna chodziła codziennie dwa razy raniuteńko i późniuteńko po wodę do wodotrysku, gdzie tylko w pewnych godzinach i to za opłatą można było dostać wody dobrej, przepuszczanej przez żwir i węgle, i tam zawsze przegawędziła z innemi służącemi przynajmniej z pół godziny. Flohberg mieszkał na przeciwko wodotrysku i z przyrody dość sprośny, tak jak wszystkie dobrze się żywiące przyrody żydowskie, korzystając z błogiego snu swej żony, która się już dobrze roztyła, lubił załazić do wodotrysku i tam gawędzić, żartować, a nawet figlować ze służącemi cudzoziemkami, mianowicie z francuzkami, sam bowiem na gwałt uczył się po francuzku, a nie miał zaufania w wymowie żony, która, jako alzacka, brała i za u i nawzajem, wszystkie twarde spółgłoski za miękkie i nawzajem, z czego wynikały quiproquosy niesłychanej i obrzydliwej śmieszności. Za nic w świecie nie powiem, co raz powiedziała chcąc mi oznajmić, że z powodu deszczu, piłaty nie mogą drzewa rąbać na ulicy: *aujourd'hui on scie dans ma buanderie.*

Więc konsul lubił rozmawiać z prawdziwemi francuzkami, mianowicie z moją kucharką, mulatką paryzką, która urodzona i wychowana w dobrej kuchni pa-

ryzkiej, wystawiała się wybornie, kwiecisto i dźwięcznie, choć przemawiała wargami mięsistemi, odziedziczonemi od matki, mającej tego wdziałku z pół funta. Jednego pięknego poranku, wkrótce po rozmowie Nunny zemną, dalej mój Flohberg z hawaną w ustach w zaloty z mulatką, do wysokiego stopnia rozłoszczoną, lecz umiejącą pokryć swój gniew maską zalotniczą, jak wszystkie kobiety, mianowicie znane z tego mulatki. Ośmiela go,—to go wniesca, bo żyd ma wiele fosforu we krwi, a zawsze cokolwiek świerzby, przynajmniej w nerwach. Ośmiela go coraz więcej owemi wielkimi, czarnemi oczami i wyszczerzaniem dużych, odstających od siebie, lecz równych bielutkich zębów. Nuż mój żyd w ekstazie, krysypacy dostaje w palcach, które chcąc nie chcąc zbliżają się do lic i innych wdziałków mulatki. Tego też właśnie czekała mulatka, teraz odmaskowuje swoje baterye i bije Flohberga w twarz nie tylko pięściami, lecz zdradliwym sposobem murzynów, w dolną szczękę, pod brodę, nogą prawą. Żadna baletnica nie potrafi zadrzeć tak wysoko nogi jak murzynka lub nawet mulatka, pochodzi to z szczególnej konformacyi wstawu udo-miedniczego, wszystkie ich tańce odznaczają się zuchwałością choć pewno nie gracyą. Sprośny Flohberg wypluł ledwie napoczętą frankową hawanę i zakrwawiony, schronił się do domu, przy odgłosie śmiechu wszystkich służących i wykrzyku Nunny: „masz za mięso, którem trujesz chorych w szpitalu“.

Dyspozycya choleryczna już była w powietrzu, to rzecz pewna, bo wiatry wiały z zachodu i sprowadzały deszcze, niezawodnie zarazą obciążone; wielu dzielnych lekarzy przyjmuje bezpośredni wpływ zarazku cholerycznego na systemat nerwowy, zwłaszcza kiedy jest wzniesionym, rozdrażnionym lub osłabłym z gniewu, z trwogi lub kłopotu — lub też nagłym ubytkiem sił w skutek wybryku rozpustnego.

Dość, że biedny pan Flohberg w kwadrans po scenie wodotryskowej, dostał najregularniejszej, wcale nie sporadycznej suchej, lecz tak mokrej, kurczowej, martwiczej cholery, jaka się tylko zjawić może. Starania i wysilenia kilku lekarzy okazały się płonnemi,

nawet wstrzykiwanie dobrze rozgrzanej wody wprost do naczyń, wykonane przez śmiałego Doktora amerykańskiego Webster. Umarł pan F... w dwie godziny po romansowej scenie i zaraz tego dnia kilkanaście osób zapadło na cholere.

Głos publiczny ajwajowy oskarżył biedną Nunę o sprowadzenie cholery: wiedząc co się w mieście dzieje i przeczuwając, że rozdrażnione a zawsze przesądne żydostwo, mogłoby tłumnie wkroczyć do szpitala i tam pomścić się krwawo na mulatce, odesłałem ją przebraną za mężczyznę, pod eskortą walecznego kapitana Robinson i jego służącego, do konsula francuzkiego, gdzie została przyjętą i bronioną. Diar-Bekir Baszy ani przyszło na myśl mścić się na Nunie za szwagra swojego, który go już od dawna był znudził ciągłemi natrętnemi wyzyskiwaniami protekcyi, w wielkich i drobnostkowych sprawach.

— „Allah-Bismillah“ — rzekł ze stoicyzmem Basza, „cholera miała przyjść i przyszła, — a jeśli ją kobieta sprowadziła, to nie potrwa długo. Allah łaska wuj wie, co czyni“.

I po chwili dodał; „Bakałum!“

Bakałum znaczy „namyślił się“, a gdy dostojny Turek powie bakałum, wtenczas na pół zamrószy oczy, udaje że głęboko myśli, najczęściej zasypia, albo też udaje że zasypia. A to wszystko znaczy po prostu: „dość tego, dajcie mi święty pokój i idźcie sobie z Panem Bogiem“.

Dobrzy ludziska owi Turcy, i jak będą wszyscy w Azyi i przestaną nękać Sławian, to im z całego serca życzę długiego i spokojnego życia. Ale i tego nawet życzę żydom, gdy będą wszyscy a wszyscy w Palestynie.

Tymczasem ja, po wydaleniu się Nuny do mak-mahońskiego konsulatu, pozostałem osieroconym; miałem wprawdzie na moje usługi sześć żydowskich infirmierek i tyłuż infirmierów, pomiędzy któremi znalazł się nawet skrzętny misiurys z Rzeszowa, z kraju lubego mi od dawna, — lecz nikt mi nie umiał zgotować kawy jak ona, pomódz mi w operacyach, podać mi laskę i kapelus, gdym wychodził, przywitać mnie wesolym



okrzykiem, gdym wracał do domu, pilnować moich gołębi i kwiatów i przewidzieć owe tysiące drobnych potrzeb, o których człowiek nękany ciężkim do wykonania posłannictwem, ani mówić, ani nawet myśleć nie ma czasu, a które uczuwa jednakże. Moi lokatorowie, kapitan amerykański i missjonarz angielski, szybko się także spostrzegli na próżni nastąpionej w domu: wszyscy szukaliśmy czegoś, czego znaleźć nie można było i czegośmy niczem zastąpić nie mogli: duch kobiety dobrochętnej, czynnej, obmyślniej, wesołej, jest wielką potęgą, chociażby była mulatką, grzesznicą i— cokolwiek waryatką. Takim kobietom wiele wybaczać należy, wszakże sam Chrystus Pan wiele im wybaczył, a tu w Jeruzolimie, niech ona będzie jaką chce brudną, niewygodną, niebezpieczną, wszystko tu jednakże przesiąknięto więcej lub mniej atmosferą Chrystusową, nawet i muzulmanin do pewnego stopnia, ba! nawet i wielu żydów. Odpychają tę świętą atmosferę, a jednak w nich wkracza;— duch chrystianizmu zrazić się nie da żadnym uporem, żadną niechęcią, żadną niewdzięcznością,— przeniknie raz wszystkich i wszystko, nastąpi królestwo Boskie jeszcze przed skruszeniem naszego globu i uści się przepowiednia, zapowiedziana naszą własną modlitwą, nam nauczoną przez Syna.

Nunie także nudno w konsulacie, w którym wszystko na pańską stopę urządzone było, i w którym panował nie miecz, lecz kądziel w osobie pani baronowej córki bogatego korzennika, to jest tutkarza, czyli epiciera en gros paryżkiego. Baron Fressard był sobie po prostu z baronów pierwszego cesarstwa francuzkiego, wnukiem mężnego, walecznego pułkownika, który zginął pod Eylau, niepozostawiwszy synowi tytułu i prawie żadnego majątku. I wnuk także, pomimo powrotu Bonapartego na tron, dostał posady dopiero za pomocą posagu swej żony, to znaczy, za pomocą tych protekcyi, które się zjednywa pieniądze. Po skapaniu drugiego, Boże daj, ostatniego cesarstwa we Francyi, uzyskał nie bardzo zyskowną posadę konsula w Jeruzolimie, a żona umiała przytem prowadzić zręcznie pod firmą cudzą, dość zyskowny handel wina, rumu, koniaku, wermutu, absyntu i kommersem pieniędzy grani-

czącym cokolwiek z lichwą. Lichwa? gdzie jej teraz nie znajdziesz? Znają ten nerw życia nietylko arabi, żydzi, nawet i chrześcianie wszelkich religij, oh zgrozo! nawet i kapłani! Żaden rodzaj, żadna wiara, żadne posłanictwo z góry płacone, nie przeskodzi człowiekowi być lichwiarzem, jeśli nie jest ciągle i bezprzestannie zajęty zatrudnieniem ściśle naukowym, niepozwalającem mu zwracać uwagi na nic, coby się nie dotyczyło jego zawodu. Tak już jest niestety w Europie, a gorzej jeszcze pod tym względem na wschodzie. Wszyscy tutaj wiedzieli, że pani baronowa pożyczła pieniądze na dobre procenta, na zastaw, lub na wiarogodne podpisowe poleczenia, lecz nikt ją za to nie ganił, bo żyła po pańsku, wystawnie i przyjmowała w domu swoim magnateryę francuzką, która bez odwiedzenia grobu świętego, nie pojmowała już uroków podróży i nie zadawała się już ucałowaniem stopy Ojca świętego, od czasu jak Ten został zdegradowanym na króla in partibus infidelium i nie był prawdziwym królem, bijącym monetę i mianującym szlachtę.

Nuna, uważana w konsulcie przez kilka dni jako ciekawość (Fressarowie, ojciec, matka, córki i syn znieść nie mogli żydziarstwa) została relegowaną potem do kuchni, gdzie pełniła obowiązki kuchcika, skrobiącego marchew, pietruszkę, kartofle i obracającego rożen, na którym codziennie, bez wyjątku Piątku, jako w czasie zarazy, piekł się higienicznie, jeśli nie cały baran, to przynajmniej pół cielecia, lub nawet całe udo owych niewielkich, lecz aromatycznych wołów, które się karmią wyborną paszą w dolinach gór Samaryi. Czła się nieszczęśliwą i tęskniła do nas, którym wiernie służyła z wszelkiem wylaniem, lecz z któremi żyła także na stopie braterstwa przynajmniej przez kilka godzin na dzień, wieczorem, kiedy rozpostarta na podłodze na baraniach skórach, ćmiła chrapiący nargill, z jednego naczynia z nami i słuchała nabożnie missjonarza, wzywającego o ją do poprawy i nawrócenia się, lub też, co się daleko częściej zdarzało, kiedy nam opowiadała dzieje swego szalonego żywota, spędzonego w kuchni D-ra Ricord, potem na poddaszu ze swym studentem medycyny, później na górach Delinatu, gdzie polowała konno na za-

jące, wreszcie w pożyciu swem prawidłowem z starszym o lat dwadzieścia małżonkiem w Rzymie, Neapolu, Atenach, Konstantynopolu, Smyrnie, Beyrucie, Jeruzolimie i Betlehemie. Umiała to opowiadać z nieprzewyższonym w żadnych podróżach i romansach dowcipem i zapałem, z ujmującą werwą i giestykulacją; kapitan parskał wówczas ze śmiechu, ja ścisnąłem usta, by nie wtórować, młody missjonarz płonił się i wstydział—lecz nie uciekał, tylko czasem nakłaniał do powrotu na tor pobożniejszej, rozumniejszej, mowy.

\* \* \*

Teraz Nuny nie było, herbatę nam przyrządzał niezgrabny Joba, służący Amerykanina i dla zabicia czasu, musieliśmy grać w wista. Lecz mnie odwoływano często, deszcz zimny chociaż wschodni prał ciągle i zanosił miąsamę przesiąkniętą zaradkiem, szpital przepelnił się cholerykami, z których, pomimo dzielnej i zdaje mi się, rozumnej pomocy mojej, rzadko którego można było ocalić, wszyscy bowiem tu zanoszeni pacyenci, należeli do najuboższych warstw najędźniejszych mieszkańców Jeruzolimy,—do przybyszów, którzy się tutaj z daleka, najczęściej z Rosyi lub z Galicyi przywałaszali, by tu—być pogrzebanemi w dolinie Józefata.

Umierali przynajmniej—odważnie, szybko, nie żałując straty mozolnego życia, znosząc cierpliwie ostatnie, wcale srogie bóle i pełni zaufania, że im dobrze będzie na tamtym świecie. Żydom polskim miło było mówić w ostatnich chwilach z istotnym polakiem po polsku. Zupełnie wyzutym z przywiązania do kraju, nie jest i żyd polski, w ostatnich momentach ziemskiego pobytu jawią się w zatrutych bólach sercach szlachetne uczucia, dusza się oczyszcza, brudną niechce pójść tam, gdzie się spodziewa wiecznej pogody, czystości—wiecznego światła.

Kto często słyszał z uwagą ostatnie słowa umierających ludzi, ten nie wątpi o pochodzeniu boskim człowieka—mens diviniior, anima aeterna.

W ciągu tych okropnych czterech miesięcy, nie sto, nie dwieście, lecz trzysta siedemdziesiąt cztery dusz, izraelskich przez moje ręce, czyli raczej przez moje serce przeszło z tego świata w inny, gdzie ostatnich chwil dobre uczucia za wielką zasługę poczytane będą przez naszego Stwórcę, który, stwarzając nas z dużą pamięcią, obawy, trwogi i nadziei, nie chciał nas zapewnić dać na łup wiecznemu piekłu, ani wiekotrwalemu ogniu czyśćca, lecz największemu zbrodniarzowi wymierzy zapewnić tylko karę odpowiednią długości jego życia i umniejszyć ją w stosunku znoszonych cierpień i wyświadczonych w Jego imieniu dobrodziejstw, podejmowanych prac, a nawet i dobrych chęci.

\* \* \*

Lecz „*lento festinandum est*“ nie pospieszajmy zbyt szybko, nawet gdy postępować naprzód winniśmy. W owych czterech okrutnych miesiącach, podczas których panowała śmiertelna, zimna, skrzące cholera w świętym mieście i podczas których nie zdziesiątowała lecz zpiątkowała ludność zaledwie do 27,000 dusz dochodząca, podczas tych czterech miesięcy, wydarzył się nie jeden wypadek zasługujący na wspomnienie i na zapisanie w pamięci, gdyż podobny może się wydarzyć w każdej miejscowości, w której rozum, rozsądek, roztępienie nie przewodniczą działaniom ludzkim; — takich zaś wiele jest na tym naszym okrągłym, wirującym świecie, nawet pomiędzy miastami w których żyje, to jest dyszy i o niebieskich migdałach marzy przeszło 250,000 ludności.

\* \* \*

Wypada mi z konieczności podróży i dziejopiskarskiej wspomnieć tutaj o rewolucji, która się wydarzyła w Jerozolimie z jakie dwadzieścia dni po pojawieniu się w niej straszliwej cholery morbus azyatyckiej.

Nie twórzcie się zacni czytelnicy, nie wprowadzajcie tu na scenę żadnych Robespierów ścinających, ani żadnych Antoniettek, Charlottek — i żadnych Lambalek, świątyn lub zamęczonych.

Nie wszystkie rewolucye sprowadziły na świat chęci zmian politycznych, oburzenie ciemzonego ludu, zuchwałość uzurpatorów, zdrada potężnych intrygantów lub też wiara entuzjastów w natychmiastowe uszlachetnienie rodu ludzkiego przez wielkie czyny poświęcenia i bohaterstwa;—były i takie przewroty, które historya błałym a nawet śmiesznym, najzupełniej nieprzewidzianym przypadkowością zawdzięcza, a które, prócz niepotrzebnego rozlewu krwi i potoku łez, nic innego nie spowodowały.

Wiemy z historyi, a więcej jeszcze z opery „Niema z Portici, że w Neapolu przed dwustu laty krwawa wybuchła rewolucya z powodu ryb i pomarańcz, a wcale nie w skutek nieprzyzwoitości, wyrządzonej głuchoniemej siostrze; Tomasza Aniello rybaka,—Fenela bowiem i jej słaba cnota są utworami wyobraźni pana Scribego.

Przy tej sposobności lud Neapolitanski dowiódł że jest mocnym, kiedy działa zgodnie, lecz już w trzy dni potem dowiódł także, że jest głupim i niewdzięcznym, kiedy się daje wodzić za nos przez księży, bo własnego swego oswobodziciela walecznego Tomasza Aniello, czyli Masaniellę najsromotniej zabił.

\* \* \*

Dwadzieścia siedem lat temu, zaprowadzono w Hiszpanii monopol tytoniowy, w skutek tego zdrożały i cygara: publiczność mniej paliła i fabryki tytoniu, mianowicie cygar, ustawały w działaniu. Tego stanu rzeczy znieść niemogły ogniste Sewillianki, zatrudnione w fabryce tytoniu. Było ich przeszło tysiąc, zmuszonych pracować za połowę ceny. Zniesły się pomiędzy sobą i jednogłośnie ogłosiły naprzód strącenie z tronu królowej Izabeli, potem rzeczpospolitę, nareszcie zniesienie monopolu tabacznego. Stoczyły nawet bójkę z częścią garnizonu, pozostałą wierną królowej i wyгнаły żołnierzy z miasta, krzykiem rwetesowym i grozbami. Same uzbroiwszy się w noże, zajęły odwachy i cytadelę. Biada temu, który nie za-

tknął czerwonej kokardy i nie poddał się ich woli. Królowa, uwiadomiona o tym kokoszym rokoszu, wysłała całą armię przeciw zbuntowanym Sewilinnkom i kazała je wytepić wszystkie co do nogi, nawet te, które miały dzieci. Waleczna armia, kommanderowana przez pięknego generała Serrano, el general bonito, uśmierzyła rewolucję, lecz nie wszystkie wytepiła Sewilianki. Mężczyźni nie chcieli wykonać wszystkich rozkazów rozgniewanej kobiety. Pięćset siedemnaście Sewilianek po większej części młodych i pięknych, jak są Andaluzki, padło ofiarą tego rokoszu cygarowego.

\* \* \*

Rewolucya Paryzka lutowa 1848 r., także tylko śmiesznemu przypadkowi winna swój wybuch. Patrioci chcieli sobie wyprawić ucztę antiguizotowską, bo cierpieć nie mogli tego upartego, często paradoksalnego doktrynera. Więc wyprawili sobie tęgi bankiet i tyle złego o panu Guizocie mówiono, ile się tylko zmieści w niepopularnego ministra. Przytem pito chwalebnie, mianowicie Szampana. Przez pomyłkę przedsiębiorca uczyty podał im szampana francuzkiego, naturalnego lekkiego, szampana takiego, który się fabrykuje w Aij, Eperny i Rhims dla cudzoziemców przebywających w Paryżu, lub też dla zagranicy. Taki szampan powinien być daleko mocniejszym od naturalnego i istotnie jest przesycony, sztucznie lecz zręcznie, jaknajczystszy alkoholem winnym. Niespostrzegli się patrioci, pili zbyt wiele, upili się i zrobili z natychmiastową ochotą rewolucję, przechodzącą programat intencji, bo razem z panem Guizotem wygnali z kraju Ludwika Filipa z całą jego liczną, piękną i w każdym położeniu życia majątek robić umiejącą rodzinę.

Nie wiele na tem zyskali, bo sobie sami wkrótce potem na kark wsadzili innego pana, który naród swój jeszcze daleko więcej uciskał i do tego stopnia zniżenia doprowadził, że dziś wszelkiego jest pozbawiony rycerskiego uroku, że drży, gdy Bismark brwi zmar-

szczy i że zebrze o przyjaźń u narodu, który niby jest zazdrosnym o potęgę dawnego margrabiego Brandenburgu.

\* \* \*

W Bawaryi, w samej stolicy, dwa krwawe wybuchły rokosze z bardzo ważnego powodu, bo w skutek cła nałożonego na piwo, bez którego bawarczyk a nawet bawarka tak mało obejść się mogą, jak ryby bez wody, nie wyjąwszy węgorzów i alochotłów, ryby na czterech nóżkach biegające, które będziemy mieli sposobność poznać później dość z bliska. Lecz jeszcze krwawsza rewolucya nastąpiła, z powodu tancerki Loli Montes, znanej także u nas w Warszawie, z kąd dla niesforności została wydaloną. Wkrótce potem owa z przygód znana tancerka, objęła dostojęństwo faworytki króla Bawawaryi Ludwika I, i tytuł hrabiny Landzfeld. Słynnym był ten monarcha ze swych poezyi, które noszą piętno pewnej oryginalności i ze swych romansów, nie pisanych, lecz odbywanych. Obok przewagi jezuityzmu, zapanował jednocześnie z nim razem i przez wzajemne współdziałania wpływ tancerki: jezuci posługują się, jak to najlepiej wiemy, każdym narzędziem, nawet przyszłemi magdalenami. Niesłychana zuchwałość tancerki, umiejącej także posługiwać się jezuitami, wzburzyła lud, a mianowicie studentów wszechnicy mnichowskiej, czuwających w owym czasie rozbudzenia nad dobrem kraju i postępu. Wybuchł rokosz, w skutek którego król postradał koronę, jego faworytka zaś władzę tańczenia. Studenci postąpili sobie tym razem zbyt doraźnie i nader niegrzecznie, wywlekli piękną zaledwie 27 lat liczącą królewską hrabinę z powozu i wymierzili jej denudato coram populo podice, chłostę tak silną, rękodzielną i wspólną, że jej sparaliżowali prawie zupełnie oba nerwy *sciatici*. Biedna Lola! od owego czasu już nie mogła unosić światu w wyższe sfery, owemi zadarciami nóg, któremi zachwycała jeszcze przed rokiem publiczność warszawską, tak estetyczną, że choreografię nieskończenie

wyżej ceni od śpiewu, muzyki i deklamacyi. Lecz w Loli tlił więcej jak jeden talent, znała kilka języków, biegle niemi rozmawiała i będąc w blizkich stosunkach z niejedną znakomitością literacką, nawet z Alfredem de Musset, przyswoiła sobie *per applicationem et per absorbtionem cutaneam* talent rozmówczy do tak wysokiego stopnia, że w Anglii, Ameryce a nawet w Australii, występowała publicznie jako konwersantka i rozmowy toczyła z temi, którzy 5 funtów szterlingów za pięć minut rozmowy płacili. Nareszcie, z fanatycznej katoliczki, nawróciła się do protestantyzmu i—umarła w Nowym Yorku, syta tego awanturniczego życia, bardzo przykładnie, mając lat 40, zupełnie sparaliżowana na nogi, tak potrzebne hiszpance do tańca i chodu.

\* \* \*

Berlińczycy także się zdobyli na rokosz w Marcu 1848 roku z powodu nowego cła, nałożonego na kimmel czyli kminkówkę, bez której estetyczny berlińczyk, syn Apolina i Filozofii, nie pojmuje uroków życia. Wygnali wówczas z kraju tego księcia, którego dziś uważają za największego z Cesarzów i najlepszego patriotę, a z więzienia uwolnili ludzi, którym potem—w miesiąc jeden, nieubłagany bój wytoczyli. Tak się zmieniają wyobrażenia w uczonej stolicy sceptycyzmu i sarkazmu.

\* \* \*

Teraz, wytłómaczywszy, jakim sposobem z lada czego może przyjść do wielkich katastrof, przystępujemy do opisu rewolucyi żydowskiej w Jerozolimie.

Tu nie poszło o ryby, o pomarańcze, cygara, szampana, piwo, tancerkę, kminkówkę, lecz poszło o coś dla żyda daleko ważniejszego,—o czosnek i cebulę.

Wkrótce po wybuchu cholery w Jerozolimie, wszyscy prawie lekarze bawiący tu spostrzegli, że użycie



owoców niezupełnie dojrzałych i wszelkich surowizn roślinnych, przyspiesza nadzwyczajnie rozwój cholery. Było wówczas w Jeruzolimie, z lekarzami garnizonu tureckiego, do dwudziestu, niektórzy bowiem lekarze angielscy, jeden amerykański, trzech niemieckich i jeden francuzki, zjechali tu umyślnie do Jeruzolimy, w celu studjowania tej straszliwej choroby, a każdy znający zaułki jerozolimskie i brudy żydowskie przewidywał, spodziewał się nawet, że zaraza mordować tu będzie nieubłaganie ludzkość i że nie zabraknie, ani dziwaczności w formach, ani różnorodnych komplikacji. Medycy dla uczenia się, chętnie wystawiają własne życie na niebezpieczeństwo.

Niestety, nie mylili się.

Prosiłiśmy tedy Baszy, aby dla zapobieżenia złemu, nie tylko zabronił przywozu owoców niedojrzałych i surowizn roślinnych do miasta, lecz żeby w bramach kazał troskliwie rewidować ludzi, czy przy sobie nie noszą jakich zabronionych pokarmów.

Przystał na to Basza z największą chęcią, bo w istocie był światłym i najlepszym chęci urzędnikiem i natychmiast wydał rozkazy, aby we wszystkich bramach Jeruzolimy rozporządzenia dotyczące się zdrowia publicznego, najściślej wykonywane zostały. Uczęstował nas nawet najlepszą moka, najwykwintniejszym tytoniem sułtańskim, nawet najstarszym rumem Jamaiki.

Wyjątkowe okoliczności dozwalały mu odstąpić od zakazów Mahometa, który z resztą nie znał ani cholery, ani rumu i do tego stopnia nie był prorokiem, żeby był mógł przewidzieć, że jedna się wylegnie, a drugi się zrobi na miejscach nieznanego ludziom świata.

O cholery i o rumie, nawet o araku i absyncie, nie ma mowy w Koranie.

Już w godzinę po naszym zjawieniu się w Seraju Baszy, nowe tu, niesłychane rozporządzenia zostały wykonane z surowością w bramach Jeruzolimy i obwieszczono lakonicznym stylem, że kto spożywa owoce i surowizny, ten wykracza przeciw Ałahowi, Sułtanowi i Baszy i nieubłaganie będzie bity pod podeszwy przez szauszów i baszibuzuków.

Teraz wiemy, że żyd w jakimkolwiek żyje kraju i do jakiegokolwiek należy warstwy, obejdzie się bez czystego powietrza, bez wody, mydła, brzytwy, szczotki, grzebienia, bielizny, odwagi, lecz się bez czosnku i cebuli obejść nie może. Żyd musi się cybulizować, tak jak się krawiec i warszawianka muszą wytańczyć. W parę dni wyczerpały się wszystkie czosnki i cebule w kramikach jerozolimskich, nowych dowozów nie było, żydzi przepłacają te ponętne wiktuały na wagę srebra, już ich i na wagę złota niedostaniesz;— chcą je wprowadzać kontrabandą, nie mogą, sycą się po za miastem cebulą, ale zimno, deszcze padają, mrą gdy się zaziębią, spokojnie jeść czosnki i cebule przy kominku nie mogą. Nareszcie przywieźdzeni do ostateczności, do prawdziwej rozpacz, a widząc że mało woj-ska w mieście, wpadają na zuchwałą myśl wprowadzenia szturmowej kontrabandy podczas nocy, w chwili gdy się otworzy brama św. Szczepana dla przeniesienia nieboszczyków na cmentarze doliny Józefata.

Wiemy, że żyd wpada czasem w szalone junactwo, zdające się być niezgodnem z tworzliwą duszą tego rodu, od tak dawna upokorzonego, a według nas, co ich dzieje z skwapliwością śledziliśmy, nigdy odwagą męską nie celującego, nawet gdy się bili z Flistynami i Moabitami, także niewielkiemi bohaterami.

Ale największy tchórz wpada czasem w junacki szal, wydarza się to zatem i żydom, a chęć zysku robi z żyda niekiedy bardzo przedsiębiorczego, przebiegłego, śmiałego człowieka,—zwłaszcza kiedy idzie o kontrabandę.

Więc ich się zmawia z dwóstu: wyjdą wieczorem po dwóch, po trzech różnemi bramami z miasta, zbiorą się w lubej Betanii, gdzie rośnie cebulków i czosnków cały gaj, tam zakupią wiktuały, nocą wrócą wszyscy, choćby i razem z kijami pod bramę św. Szczepana, czekać będą aż się o północy brama otworzy dla przepuszczenia nieboszczyków, a jak się brama otworzy, więc oni raptem podniosą kije i wrzeszczeć będą rwetes i wbiegną w bramę, powalą na ziemię struchlałych od strasznego harmidru turków i wkroczą do Jerozolimy, a potem szybko, chyżo do dzielnicy żydow-

skiej i jeść będą cebulki spokojnie, przy kominku, a większą połowę wniesionego towaru sprzedadzą za drogie pieniądze.

Taki sobie podyktowali program działań i przysięgli sobie wierne dochowanie tajemnicy i wiary.

I powymykali się z miasta po dwóch, po trzech, jednego piękniejszego dnia, kiedy deszcz mniej padał i znaleźli się w Betanii o jakie 9 wiorst od bram wschodnich Jeruzolimy. W mieście Magdaleny nie mieszka żaden żyd, bo nie jest ono otoczone murem, żyją tylko Arabi dość cywilizowani i kilkanaście rodzin chrześcijańskich, z rodu maronitów Libańskich dobrze umiających przestawać z Arabami, bo pomiędzy niemi wzrosła i ich język znają.

Betania jest istotnie, jak już mieliśmy sposobność mówić o tem, rajem zupełnie różnym z klimatu od niezastłonietej żadną górą, skalistej na wyniosłości wystawionej Jeruzolimy. Tu wiele rzeczy jeszcze rośnie podczas całej zimy, mianowicie kapusty, sałaty, marchew, rzepy, selery, pory, a wysoką kwitnącą cebulą i czosnkiem tak jest powietrze przesiąknięte, że najtwardszy żyd, żeby nawet był bankierem, konsulem i orderowym kawalerem, płacze z rozczulenia, gdy się w tej błogiej, tyle lubych nasuwającej wspomnień znajdzie atmosferze! „Co to za raj, co to za raj! a cebulków cały gaj! Aj waj—aj waj! Adonaj!“ Tak śpiewały żydy gdy się tu zebrały w nieogrodzonych i niepilnowanych ogrodach, i zawinawszy poły od długiego, błotem zawałanego kaftana, płaśały przysiadowego tak ochoczo, jak gdyby nie było cholery w kraju. I skubali i pożerali cebulę, czego im nikt nie bronił, bo tego było podostatkiem, a mieszkańcy Betanii chrześcijanie i mużłmanie, unikali wstrzemięźliwie wszelkich szkodliwych żywności.

Wyładowali sobie kieszenie zakazanym owocem, niejeden zebrał sobie owego przysmaku ze czterdzieści funtów, napili się wódki raki w szynku maronickim i jak noc nadeszła, pospieszali wolno do miasta, uciawszy sobie laski z owej grubej trzciny, której tu nie brakło nad jeziorkiem.

Ale już na drodze kilku zapadło na cholere w skutek objedzenia się surowizną, a jeden zupełnie umarł na ramionach tych co go nieść musieli. To spóźniło ich pochód; gdy przyszli pod bramę św. Szczepana, ta jeszcze była otwartą, ale trupy już były wyprawione na cmentarz. Teraz, skupiwszy zważloną odwagę, zaczęli się drzeć w niebogłoso i chcieli przemocą wtargnąć, — ale w tem rykło sześć karabinów ogromnego kalibru, nabitych kryształową solą: żydzi drała w nogi, ci co byli obsoleni i co niemi nie byli, a tu jeszcze raz zarykło sześć innych karabinów i nie jeden co był obsolony z przodu, został jeszcze obsolonym z tyłu, tak że się stał żywym pekieflejszem.

Teraz się brama św. Szczepana zawarła i żydzi, czekając pod bramą miasta na przybycie cybulizatorów, wiedząc co się stało, zaczęli wyci skowyczyć, skamleć i ryczyć aż ich rozgonili szausze, baszibuzuki, niżany i kapicibaszi kijami i niejednemu dostała się sowita bastonada, w skutek której, przy połączeniu innych przyczyn przygotowujących, zapadł na cholere i umarł.

Smutny był stan biednych żydów wykluczonych z miasta, zwłaszcza tych, których obsolono: deszcz był nielitościwie, zimno było nieznośne, a tu żadnego pokrycia, żadnego dachu. Niektórzy najwięcej cierpiący znaleźli w jaskiniach Józefata i wsi Silloë przytułek, lecz tej nocy umarło już siedmiu. Pozostali wśliznęli się nazajutrz do miasta, ale bez cebulków, bez czosnku i bez odwagi, a nie jeden tak osolony, że ciągle lamentował. Jednemu sól oko wystrzeliła, a trzem czy czterem twarz rozskaradziła okrutnie. Ze trzydziestu z tej *swoloczy* wcale już nie wróciło — woleli emigrować.

Turcy dość litosciwym okiem patrzali na te swoje ofiary i wcale się z nich nie urągali.

Wszystko to stało się na rozkaz Baszy, któremu ktoś zdradził tajemnicę tego zamachu przeciw władzy, porządkowi i zdrowiu publicznemu, w skutek którego przez śmierć i emigrację ubyło z kopę dorosłego żyda w Jeruzolimie.

Mnie się zdawało, że tym zdrajcą był mój własny misiurys i nadinfirmier Jankiel Klauberfisz z Rze-

szowa. Widziałem go od dni kilku w kunsztaftach z jednym z tych biedaków, którym osolono twarz i plecy, a którego przyniesiono do szpitala rannego i chorego na cholere. Tak z miny wygląda na jednego z hersztów spisku. O Janklu także wiem, że nie jest jednym z najmoralniejszych Rzeszowiaków. Służył on trzy lata z w wojsku austriackim, a w tem wojsku rzadko kto się nauczy czegoś dobrego. Przybył tu do Jerozolimy jako sługa hrabi Dziedusz.... skupującego dla swych klaczy konie arabskie. Tu się zakochał w bardzo ładnej hiszpańskiej żydówce i tu chciał pozostać, ale że pił, więc dziewczyny nie dostał; zapadł w biedę i uwiesił się przy szpitalu, gdzie dobre oddawał usługi, lecz gdzie nie wiele mógł zarobić, bo tu i mnie trudno wyjść na swoje, tak jest wszystko skąpo obrachowane przez wspaniałych fundatorów. Teraz widzę Jankla przy pieniądzach, a nawet przy złocie; zaniedbuje chorych i moją klacz. Jak tylko postawię na nogi owego przesolonego cybularza, to go wybadam, a jeśli się wykaże że Jankiel istotnie zdradził, to mu każę dać, pomimo usługi, którą tą zdradą oddał publiczności, dwadzieścia pięć podogoni, bo jako dawnemu kawalerzyscie, należy mu się zaszczyt. *Vae traditori.*

W skutek zamachu żydowskiego, Basza ogłosił dzielnicę żydowską w stan oblężenia: nikomu nie wolno z niej wychodzić ani weń wchodzić, kto się przy wejściu nie ogłosi warcie, ani nawet mnie, ani wdowie po panu Flohberg, ani jej córkom, ani innym dostojniejszym mieszkańcom dzielnicy. Patrole tureckie przebiegają wolno, lecz regularnie dniem i nocą wszystkie ulice, uliczki, ścieżki i zaułki: wolno im wejść do wszystkich domów, które nie uzyskały firmanu przywilejowego, za co dość drogo płacić trzeba. Pocziwy Basza, zna się także na wartości pieniędzy, które jednakże umie użyć na dobro publiczne. Prawda, że to wszystko doprowadziło do porządku i spokojności, — nie ujrzyysz żyda zanieczyszczającego ulice, bijącego się, drącego i kłóćącego. Z resztą ubyło tego dużo przez śmierć i emigrację. Cholera ordinem creavit ubi desertum fecit!!

Kapitan Robinson korzystał z tego porządku i bezpieczeństwa, z tej sforności wprzód tak burzliwego judajstwa i nazad nam z konsulatu Francyi sprowadził naszą kucharkę, której nieobecność dała się czuć tak dotkliwie, nietylko nam w domu, lecz także wszystkim chorym w szpitalu.

Wstępując w te brudne, smętne, śmiercią cuchnące mury, Nuna zapłakała z radości: tu pomiędzy nami, dla niej zupełnie cudzoziemcami, znalazła serce, a tam w tym wykwintnym domu, zamieszkałym przez rodaków, znalazła tylko—zimną litość.

Biurokracya z epicierstwem nie może spłodzić nic bardzo pociesznego, jeśli to połączenie nie okraśli ów gieniusz dobroci, który nie jest dany wszystkim zwyczajnego pomiotu duszom. Nuna wzięła się natychmiast do fajki, której jej niewolno było palić w konsulacie, potem do chorych, następnie do mej klaczy, która jako prawdziwa arabka, poznała ją natychmiast i wesółem przyjęła rżeniem. Zadowolone znów wstąpiło w dom, który jeszcze przez dwa miesiące miał pozostać siedzibą cierpień, kłopotów i śmierci.

\* \* \*

W pierwszej połowie pobytu cholery, prawie tylko ubodzy, słabych sił i słabej duszy, lub złego prowadzenia się ludzie ulegali klęsce; prawie wszyscy trędowaci, suchotnicy, katarem kiszek trapieni, paralitycy lub do apopleksyi, lub hypokondryi skłonni ludzie, padali ofiarą zarazy, lecz teraz w drugiej połowie pobytu, cholera, wypleniwszy słabszych i posłedniejszych, zaczęła wyrwać lepszych i mocniejszych, moralniej i rozumniej się prowadzących;—widać że z popsuciem powietrza nastąpiło i nadwężenie konstytucyj mocniejszych. Panowie Silberbaum, ojciec i mąż towarzyszeki mej podróży z Gałacz do Warny, legli ofiarą tej kapryśnej choroby, chociaż nas było pięciu lekarzy ratujących ich z całym oddaniem się i pani Silberbaum winna ocalenie, muszą to przyznać, tylko wstrzykiwaniem wody dystylowanej dobrze ocieplonej. We dwie go-

dziny trzy razy te wstrzykiwania zostały wykonane, po 12 uncyj każde i to razem z lodowemi pigułkami, z opiatami wstrzymało womity, przywróciło ciepłik i puls, prawie już ustający. Na siedemnastu osobach, na których Dr. Webster wykonywał wstrzykiwanie, sześć osób zostało ocalonych i jestem pewien, że bez tego środka byłyby *może* umarły. Innego zdania pewniejszego o skuteczności tego środka dać nie mogę, lecz w razie potrzeby niezaniechałbym go.

Apparat Webstera, jest dość skomplikowany, wykonany ze szkła, ze srebra i z gutaperki: innego tu niema w mieście, zawsze go nosi z sobą, gdziekolwiek się ruszy, w szkatułce, wodę sam dystyluje w retortach, wężach i recipientach szklanych, lecz potrzebuje zręcznego pomocnika do wykonania wstrzykiwania, a czasem nawet do otworzenia żyły, bo bardzo ma słaby wzrok i niekoniecznie pewną rękę. Nigdy niestety nie wylewał za kołnierz i do dziś dnia nie wylewa, jak to wiem z pewnością.

Pani Silberbaum ocalona, lecz osierocona, samotna, smętna, przedstawiała widok nadzwyczajnie smucący. Przeżyła wszystko co miała najdroższego w życiu, rodziców, męża, braci, siostry i dziewięcioro własnych dzieci. Rzadko kogo trapiła taka niedola; ona umiała uczuć całe jej brzemie, nie wiedziała już dla kogo i dla czego ma żyć i spoglądała swem wielkiem, puszczowem okiem w przyszłość, która dla niej była także puszczą. A jednak jeszcze była piękną, piękną i okazałą. Boleść zdarła z jej twarzy świeżość i plastyczność, lecz nie podarła żadnego z muszkułów, któremi dusza objawia swe uczucia: owe wielkie czarne źrenice tego dużego ciemnobrunatnego oka, pływające w czystym, lśniącym białku, owe długie gęste rzęsy, owe brwi czarne w łuk zatoczone pod czystem, niewysokiem i w boleści pogodnem, nieskurczonem czołem, ów nos dość długi, szlachetnie poprawny i te usta, goryczą w kątkach w górę wygięte, szczególne znamie żydowskiego, lecz szlachetnego pochodzenia, szczęka dolna cokolwiek wystająca, lecz w środku tylko rozdzielona, nie zmieniły się! — prawdziwie żałowałem zem nie był malarzem lub rzeźbiarzem, piękniejszego

modelu nie znalazł nigdy Rafael, Tizian i Murillo. Życzylbym takiego modelu przyjacielowi memu Teofilowi Godeckiemu.

Czemże tu uratować tę kobietę?

Pani Silberbaum golila głowę od czasu jak była mężatką, a choć jej włosy cokolwiek odrosły od czasu śmierci męża, miała głowę prawie gołą i w mej obecności nie pokrywała jej ani zawojem, ani czepek, bośmy się mieli czas przyzwyczaić do siebie, tyle podróżując i przestając z sobą.

Czemże tu uratować tę kobietę, tyle duszy wyjawiającą i należącą niezaprzeczenie do rzędu wyższych istot? zapytałem siebie raz jeszcze jeden, i niewiem czemu, czy to z powodu łysej głowy stanął mi przed oczyma mej wyobraźni obraz pani Roux, tej osoby pełnej serca, natychmiastowości geniuszu i energii.

„Dalibóg ona jedna w stanie jest przejąć się tak głęboką szlachetną niedolą, i ona jedna zdolna jest wynaleźć w swej genialnej głowie sposoby zgalwanizowania tych nerwów zmarzłych lub obumarłych“, odpowiedziałem sam sobie.

„Ależ jakże się zniesą? pani Silberbaum mówią tylko po niemiecku i po polsku, a pani Roux zna tylko język włoski, francuzki i cokolwiek angielskiego“, przedstawiam sam sobie.

„N'importe! Kobieta genialna, porozumie się nawet na migi z kobietą cierpiącą“, odpowiadam znów sam sobie i spieszę do pani Roux, opowiadam jej spokojniuteńko, jak tylko mogę zwięźle i malowniczo wszystko co tylko wiem o biednej izraelitce i tem konczę, że nie widzę innego sposobu wydobycia jej z duchowego letargu, jak przez zetknięcie jej z taką zapalkową duszą, jaką znalazłem w pani Roux pięknem, choć z włosów ogołocionem ciele“.

— Tylko szkoda, że prócz niemieckiego i polskiego, żadnego innego nie zna języka, — kończę narzeczcie.

— Oh, ja rozumiem cokolwiek po niemiecku, — a mówię nim tyle, ile koza holenderska, — odpowie pani Roux i natychmiast zabiera się do wyjścia.



A wyszedłszy zemną, kupuje słownik włosko-niemiecki i biegnie do dzielnicy żydowskiej i jeśli nie przemawia, to przynajmniej gada do przekonania. Jej to zawdzięczam uratowanie tej kobiety, która od pierwszej chwili zapoznania się tyle mnie zajęła, chociaż należy do plemienia, w którym, nie mogę powiedzieć że-bym się zapamiętała kochała. Lecz żydówkom więcej wybaczam jak żydom, bo kobieta odwagi osobistej, materjalnej, pięściowej nie potrzebuje, a mężczyznami którzy z niej są wyzuci, pogardzam, nawet gdyby byli napisali 20 tomów wierszy, lub 400 tomów powieści, nawet gdyby byli memi ziomkami. Ale grozić pięścią w kieszeni także nieładnie, a takimi groźbami odznaczają się ludzie bez odwagi „protectores judaeorum et ab judaeis protecti.

Już w kilka dni po zaznajomieniu tych dam ze sobą spostrzegłem, że pani Roux katechizuje panią Silberbaum, i że stara się z niej zrobić katoliczkę. Niechże i tak będzie. Niech przynajmniej w krynicy chrystyanizmu ratuje życie i duszę,—to jej już wystarczy na pobyt na tym świecie. Bóg jej przepuści nadmiar czułości dla tego, co nie jest pewnem, z tego powodu, że tę czułość wywiera w chęci podobania się Jemu. Sed religio subdivisa est quasi deligio!

Byłoby zawsze lepiej do Niego Samego się zgłaszać, nam sua sola est Potestas et Majestas in saecula saeculorum, jak powiedział Syn Boga: „Głosu Jego żaden ludzki synod nie ma prawa ani tłumić, ani sępać, ani modyfikować“.

1870

1001

Biblioteka Główna UMK



300049108548